

Odgłosy

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 18 (1362) ROK XXVII

5 MAJA 1984 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Pacjenci nie chronią nas przed krytyką
- Zgodnie z prawem
- Video — pierwsze podejście
- Pielgrzymi donikąd
- Pasje Mieczysława Maki
- Bezdomni Amerykanie

Już w maju 1985 roku

Nagroda Tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury

Waga i znaczenie kultury w życiu społeczeństwa nie podlega dyskusji. Jednak rozwój kultury w trudnym dla nas okresie kryzysu ulega zahamowaniu i napotyka przeszkody. Redakcja tygodnika „Odgłosy”, rozumiejąc swoje miejsce w życiu kulturalnym miasta i regionu, postanowiła przyznawać raz w roku nagrodę za upowszechnianie kultury. Chcemy przyczynić się do rozwijania niezbędnych inicjatyw. Chcemy popierać te wszystkie przedsięwzięcia, które sprzyjają dotarciu wartości kulturalnych do najszerszych kręgów społeczeństwa, do wszystkich środowisk. Kandydatów do nagrody może zgłaszać każdy, jeśli potrafi udokumentować wniosek rzeczywistymi rezultatami. Chcemy bowiem nagradzać rzeczywiste osiągnięcia w upowszechnianiu kultury. Nie stawiamy ograniczeń terytorialnych, ale jest rzeczą naturalną, że będziemy szczególnie uwagę przywiązywali do upowszechnienia kultury w Łodzi i sąsiednich województwach.

Kandydatami do nagrody mogą być wszyscy, którzy w danym roku kalendarzowym wystąpili z interesującymi inicjatywami, pomysłami, koncepcjami, rozwiązaniami organizacyjnymi i poprzez ich realizację przyczynili się do upowszechniania kultury. Chcemy spowodować, aby inicjatywy w tej dziedzinie zostały dostrzeżone, a przez to, aby nastąpił ich dalszy rozwój. Liczymy na współpracę i pomoc naszych Czytelników. Poniżej publikujemy „Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury”.

Regulamin

NAGRODY TYGODNIKA „ODGŁOSY” ZA UPOWSZECHNIANIE KULTURY

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” w wysokości 30 tysięcy zł przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, towarzystw regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatów do nagrody należy zgłosić do końca roku kalendarzowego.
3. Kandydaci do nagrody powinni być ludźmi, którzy w danym roku kalendarzowym wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, poczynaniami organizacyjnymi, przyczyniającymi się do upowszechniania kultury, które zostały potwierdzone praktyką.
4. Do nagrody może też kandydować zespół ludzi zajmujących się upowszechnianiem kultury, z tym, że wielkość przyznanej nagrody nie ulega zmianie.
5. Nagroda nie może być przyznawana instytucjom czy stowarzyszeniom za ich statutową działalność.
6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie z obszernym uzasadnieniem i w miarę możliwości poparty niezbędną dokumentacją.
7. Jury może odstąpić w danym roku od przyznania nagrody, jeśli ilość kandydatur będzie mniejsza niż trzy oraz jeśli nadane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom niniejszego regulaminu.
8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”.
9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek naczelnego redaktora „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.
10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi:
 - przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,
 - dwóch przedstawicieli zespołu tygodnika „Odgłosy”,
 - przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,
 - przedstawiciele stowarzyszeń twórczych i zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL oraz innych stowarzyszeń zawodowych.Jury nie może przekraczać 11 osób. Obradom jury przewodniczy redaktor naczelny tygodnika „Odgłosy”.
11. Wynik pracy jury ogłasza się w maju każdego roku, po czym od 1 maja 1985 roku.
12. Po raz pierwszy nagrodę przyznaje się w maju 1985 roku. Kandydatury do tej nagrody należy nadsyłać do 31 grudnia 1984 r.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Skok na wariata

RYSZARD BINKOWSKI

20 września 1982 roku, w czasie wykonywania czynności służbowych, dzielnicy KD MO Widzew, w toku kontroli dokonanej u ob. Mirosławy C., zam. w Łodzi przy ul. PKWN, zastali u niej trzech mężczyzn. Byli to: dwudziestosześcioletni Czesław P., zam. w Pszanie, gm. Koluszki, dwudziestosiedmioletni Wiesław P., zam. w Bedoniu oraz dwudziestoczworoletni Bogdan S., mieszkaniec Andrzejowa.

Gospodyni oświadczyła, że są to jej znajomi i przebywają w mieszkaniu od wczoraj. Ale milicjanci wiedzieli, po co przyszli, i zrobili przeszukanie. Znaleźli telewizor marki „Beryl”, dwa radioaparaty: „Donatina” i „Boston”, dwa rowery składaki, dwa rowery zwykłe, ramę od roweru i młynec do kawy. Na narzucie z frezami nie zwrócili uwagi, bo na razie nie wchodziła w rachubę, chociaż później okazała się ważna.

„W wyniku rozpytania” ob. C. oświadczyła, że zakwestionowane przedmioty stanowią jej własność a telewizor to kupiła przed trzema laty.

Z notatki urzędowej: „Przedmioty i osoby przebywające w tutejszym mieszkaniu przewieziono do KD MO celem sprawdzenia”.

Po „sprawdzeniu” trzech mężczyzn

Dwuklatkowy wieżowiec prawie na końcu ulicy Aleksandrowskiej. Nad wejściem czerwona tablica „Hotel robotniczy”. Mieszkańcy okolicznych bloków o hotelu „Skogaru” mówią bardzo różnie. Najbardziej popularne określenie to „kolchoz” i „tartak”.

Hałas dochodzący z hotelu nie pozwala co bardziej nerwowym spać w nocy, młode kobiety boją się wieczorem przechodzić koło „kolchozu” ponieważ obiegający wejście mężczyźni mylą je z mieszkankami hotelu.

„Kolchoz” Skogaru znany jest w całej dzielnicy, a nawet w podlódzkich miejscowościach.

Taki jest obraz „tartaku” z zewnątrz. Podobno każdy hotel robotniczy, choćby najbardziej porządkowy, ma przypiętą określoną wizytówkę. Każdy i wszędzie. „Skogar” jest jednak wyjątkowy. Tutaj wrze również w środku.

„Zainteresujcie opinię publiczną tym hotelem... niech ludzie się dowiedzą, jak się poniewiera mieszkańców w hotelu robotniczym...” — pisał do redakcji jedna z lokatorek „skogarskiego” hotelu.

Życie w „tartaku”

JACEK BINKOWSKI

Konflikt zaczął się w lutym. Poszło o sprzeczkę między dziewczynami w pokoju.

ZOFIA GRZELAK:

— W tym hotelu mieszkam od dwóch lat. Przedtem wynajmowałam mieszkanie u ludzi, jeszcze wcześniej mieszkaliśmy z rodzicami, a właściwie z ojcem i macochą. Nie mogłam jednak wytrzymać jak ojciec z macochą znęcał się nad mną. Postanowiłam więc „pójść na mieszkanie”, a później zamieszkałam w „Skogarze”. Po wielu różnych i długich perypetiach zamieszkałam w pokoju jednoosobowym. Do tego mieszkania zakwaterowano jeszcze kilka dziewczyn, a ja zostałam wybrana gospodynią mieszkania.

MARIOLA ZIELIŃSKA:

— Kiedy się wprowadziłyśmy do tego mieszkania nie znałyśmy dobrze pani Grzelak. Niemniej jednak kierownik bardzo dobrze się o niej wyrażał. Powiedział, że ona może wszystko załatwić i można jej zaufać. Wybrałyśmy więc ją na gospodynię mieszkania. Nie mogę powiedzieć, że współpraca między nami układała się źle. Wprost przeciwnie, potrafiłyśmy się porozumieć.

ZOFIA GRZELAK:

— Pewnego dnia wybuchła sprzeczka, dziewczyny się między sobą pokłóciły. Staraliśmy się konflikt załagodzić, ale sprawą zainteresował się kierownik. Wziął nas na rozmowę, a później postanowił wszystkie dziewczyny z mieszkania rozdzielić. Dwie z nas dostały nagane. Ja za karę miałam się jeszcze przeprowadzić do pokoju dwuosobowego. Nie mogłam się z tym zgodzić i powiedziałam kierownikowi, że nie jestem osobą najmłodszą i powinnam mieszkać sama w pokoju. Od kilkunastu lat czekam na własne mieszkanie. Wszyscy mi tylko obiecują, zarówno w kwaterunku jak i w

zakładzie pracy, w którym pracuję dwanaście lat. Nie chciałam być traktowana jako osiemnastoletnia dziewczyna. Kierownik jednak powiedział, że najwyższej mogę się wyprowadzić w ogóle z hotelu. W rezultacie zamieszkałam w „szesnastce”, w pokoju jednoosobowym. Tylko od tej pory kierownik traktuje mnie jak intruza, cały czas robi na złość. Do tej pory nie rozumiem dlaczego dostawałam nagane i musiałam się wyprowadzić z „czwórki”.

ANNA ANDRZEJCZAK:

— Mieszkałyśmy w mieszkaniu 8-osobowym i nigdy nie było między nami kłótni. Któregoś dnia doszło do jakiejś głupiej sprzeczki, o której dowiedział się kierownik. My się zaraz pogodziłyśmy i nawet sam kierownik powiedział, że nie warto do tego

Świętowanie pracy

Już 95 lat manifestujemy pod czerwonymi sztandarami — międzynarodowy dzień solidarności ludzi pracy ustanowiono jako dzień walki — o ośmiogodzinny dzień pracy i inne robotnicze prawa. Pierwszego maja, bo przez pamięć dla ofiar krwawej manifestacji w Chicago w 1886 roku... Z biegiem lat do czerwonych sztandarów przybływały biało-czerwone i niebieskie — albowiem sprawa robotnicza stała się sprawą narodu i pokoju. Nie tylko u nas zresztą — w całym świecie, także tam, gdzie walka o pierwszomajowe ideały jeszcze trwa. Tak jest i będzie nawet wtedy, gdy piękne i realne, choć odległe w dzisiejszym podzielonym świecie marzenie naszych dziadków o „związku bratnim”, który „ogarnie ludzki ród”, ziści się. Tak będzie zawsze, albowiem istotą tego majowego dnia jest świętowanie pracy...

Zanim pójdziesz na zebranie przedwyborcze!

Dzień mija za dniem i każdy zbliża nas do wyborów. Jeszcze parę dni, a do wyborów pozostanie już tylko miesiąc. Czasu mało, a spraw wiele. Przede wszystkim zaczęły się konsultacje kandydatów na radnych. Jest to działanie zgodne z art. 42 „Ordynacji wyborczej”. Artykuł ten głosi:

„Wojewódzkie, dzielnicowe, miast i gmin oraz gminne kolegia wyborcze poddają wspólne listy kandydatów na radnych rad narodowych ogólnospołecznej konsultacji z wyborcami, organizowanej przez Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, na przedwyborczych zebraniach wyborców”.

Ukazały się już „Wytoczne Ogólnokrajowego Kolegium Wyborczego”, które precyzują, jak

takie konsultacje trzeba organizować i kto ma to robić. Konsultacje takie powinny odbywać się w miejscu zamieszkania, w fabryce. Organizuje je oczywiście PRON, ale mogą i powinny też to robić samorządy mieszkańców. Zebrania takie powinny się też odbywać w wojsku. Wyborcy powinni być na 4 dni wcześniej powiadomieni o terminie spotkania, miejscu i godzinie, a także jego tematyce. Kandydat na radnego powinien bowiem wystąpić ze swoim programem. Zebranie takie powinno odbywać się po godzinach pracy.

Nim kandydat na radnego stanie przed przyszłymi wyborcami dokonuje się jeszcze pewien proces. Jak wiadomo — ale może nie wszyscy o tym wiedzą, więc przypomnę — prawo zgłaszania kandydatów na wyborców mają: PZPR, ZSL, SD, Stowarzyszenie „PAX”, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, Polski Związek Katolicko-Społeczny — czyli sygnatariusze Deklaracji w sprawie PRON z 20 lipca 1982 roku. A ponadto: związki zawodowe, organizacje społeczno-zawodowe rolników, ZBoWiD, socjalistyczne związki młodzieży, Liga Kobiet Polskich, rady PRON oraz inne organizacje społeczne, które działają w miejscu zamieszkania lub w miejscu pracy. Proces wylaniania i zatwierdzania kandydatów na radnych w poszczególnych organizacjach nie jest wcale taki łatwy. Odbywa się on również w toku wstępnych konsultacji, a później organizacje te zatwierdzają listy radnych. Członkowie PZPR, kandy-

Wydawałoby się, że tkwi w tym jakiś paradoks: jak święto — to dzień wolny od powszedniego kierunku roboty (choć nie dla wszystkich). Ale praca nie jest smutną, uciążliwą koniecznością ani tylko fatalistycznym przeznaczeniem rodzaju ludzkiego. Dla nas — wolnych i równych, budujących sprawiedliwy ustrój społeczny — jest prawem i obowiązkiem. Gdy świętujemy, to nie dla odpoczynku. Pierwszy Maja jest jednak nie tylko świętem klasowej solidarności ludzi pracy, nie tylko dniem tradycji robotniczej walki. Dla każdego z nas jest to czas na obywatelską refleksję o tych z pracą związanych prawach i obowiązkach.

Prawa — to jasne: pryncypia ustroju, Konstytucja, realne miejsce przy warsztacie dla każdego, kto chce. O obowiązkach myśli się trudniej. Mimo iż określamy je tak proste słowa, od dzieciństwa znane: uczciwość, staranność, odpowiedzialność, odwaga i dyscyplina. Jest czas najwyższy, by słowem tym, nadużywanym ongiś na transparentach i w przemowach z wysokich trybun, przywrócić znaczenia najprostsze, ważne dla nas — zwykłych, świadomych obywateli.

Świąteczny i słoneczny wtorkowy dzień na dawnym Wodnym Rynku, dziś Placu Zwycięstwa w Łodzi stworzył okazję do takiej refleksji tysiącom z nas; stworzył ją uczestnikom dziesiątek pochodów i robotniczych wieców w całym kraju. Sprawa naszych sumień i obywatelskiej troski było czasów rzetelnie wykorzystać, na uciechę z wolnego dnia nie poprzestając. Myślę, że nie był to dzień zmarnowany...

Jest sporo powodów, dla których natarczywie wręcz kierujemy nasze refleksje ku sprawom powszednim. Mocno obciążeni codziennymi trudnościami bytowania — aż do granicy zniechęcenia czy rezygnacji niekiedy — rozpoczęliśmy wspinać się po schodach, stromych i niewygodnych. Trudno ukrywać, że w niewielkiej mierze sami sobie zafundowaliśmy ten upadek i dzisiejszą drogę powrotną do normalności. Trudno ukrywać, choć ciężko, nawet przed sobą samym, do tego się przyczynić — ot, ułomność ludzkiej natury. Jeśli jednak wyłączymy emocje z tego rachunku, to okaże się nader oczywiste, że kryzys, który o-

becnie przeżywamy, nie pochodzi z importu — jak i z importu nie będą sposoby przezwyciężenia tych trudności.

Wszyscy ci (z akcją na akcję coraz mniej liczni), którzy pod kośćcami, za cudze pieniądze i na obcy rachunek, tego światecznego dnia darli się: „chodźcie z nami!” potrafili tylko odpowiedzieć na pytanie — po co? Przecież — mówią z zagranicznych rozgłośni (bo ci tutaj nawet własnego zdania nie mają). Ale odpowiedź na pytanie — dokąd? — przekracza — jak się wydaje — możliwości intelektualne miejscowych krzykaczy i rzeczywiste potrzeby ich zachodnich mocodawców...

Wykorzystywanie robotniczego święta do popychania Polaków przeciwko Polakom przez eks-rzeczników robotniczych interesów, z technicznego punktu widzenia jest środkiem walki politycznej, lecz z punktu widzenia naszych ideałów — jest nadużyciem moralnym. Przeto sprawą honoru, zasadniczym wymogiem klasowego etosu robotniczego jest, by z nadużyciem tym bezwzględnie walczyć. Ten egzamin zdaliśmy nader pomyślnie, jak się wydaje.

W ramach zakreślonych polską racją stanu możemy i powinniśmy nawet gorąco spierać się, ale przy pomocy racjonalnych argumentów, nie na ulicy pod katolikami świątyniami. Nikt z zewnątrz nie będzie się tu wtrącał — to już zrozumieliśmy. To my sami — w najostrzejszej przeciwieństwie — odpowiadaliśmy sobie na pytanie — dokąd? Teraz potrzebujemy konsekwencji, odpowiedzialności i niezachwianej wiary w słuszność wspólnego wyboru.

Pożytek ze świętowania pracy winien być właśnie taki. Związek z tradycją i międzynarodową robotniczą solidarność to dopiero połowa sprawy — reszta to wola działania i wyobraźnia.

T. S.

REDAKCJA TYGODNIKA „ODGŁOSY” poszukuje wykwalifikowanych MASZYNISTÓW

Niezbędne informacje można uzyskać w redakcji „Odgłosów” (al. A. Mickiewicza 11, tel. 36-52-44) lub w dziale kadr Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch” (ul. Piotrkowska 96, IV piętro, tel. 36-44-75).

Ze względu na brak papieru nakład tygodnika „Odgłosy” został zmniejszony do 20 tysięcy egzemplarzy. Czytelników, którzy będą mieli kłopoty z kupnem naszego pisma serdecznie przepraszamy!

DORADCA

daci na radnych, zostaną zatwierdzeni na posiedzeniu Komitetu Łódzkiego PZPR w głosowaniu tajnym. Będą to dla nich jakby prawybory, wcale niełatwe sibo, przez które nie wszyscy przejdą.

A co mówi „Ordynacja Wyborcza” o tym, jak się wyborcom nie spodoba kandydaci i będą mieli wobec nich istotne zastrzeżenia. Co wówczas trzeba robić? Odpowiedź na to pytanie daje art. 43 p. 2: „Zgromadzeni na zebraniu przedwyborczym wyborcy mogą wnioskować w sprawach wycofania określonej kandydatury i przedstawienia przez kolegium wyborcze nowego kandydata. Wniosek w sprawie wycofania kandydatury powinien być umotywowany, a na zgłoszenie zainteresowanego kandydata lub przedstawiciela organizacji, która go zgłosiła — udokumentowany”.

Chodzi po prostu o to, aby nie były te wnioski oparte tylko na zasadzie, że „mi się ten facet nie podoba”, ale zastrzeżenia wobec kandydata muszą być faktycznie udokumentowane. A poza tym wniosek o wycofanie kandydatury „uchwala się w głosowaniu jawnym”, a więc inni muszą go poprzeć.

Po takich konsultacjach sporządzone zostaną w kolegiach wyborczych wspólne listy kandydatów na radnych. Ale to już następny etap przedwyborczej pracy.

DORADCA

RZETELNE TŁUMACZENIE DECYZJI

rzadowych o znaczeniu operacyjnym. A w tej mierze urzędnikom ministerialnym można jeszcze zarzucić bardzo wiele. Temu np., który podwyżkę cen tzw. nieluksusowych artykułów trwałego użytku o podwyższonym standardzie (uff, są i takie...), argumentował koniecznością przeciwdziałania spekulacji, można by przedstawić rzetelny dopuszczenia się ciężkiej obrzydliwej współpracy, albowiem potraktował on nas wszystkich jak idiotów. Publiczne prezentowanie argumentacji na takim poziomie dyskwalifikuje tego człowieka jako urzędnika administracji państwowej w tzw. centrum.

Ala poza tym centrum ma się dobrze — nie tylko Centrum zarządzające państwem, ale i centrum jako formacja intelektualna. Nawet książki wydają...

W tej rubryce na ogół nie zajmujemy się książkami. Wyjątek od tej zasady czynimy wtedy, gdy pojawia się

KSIĄŻKA ZROBIONA Z GAZET

a z taką mamy ostatnio do czynienia nader często. Właśnie świeżo Daniel Passent wydał „Bitwę pod wersalikami” — zbiór swych felietonów z ostatniej strony „Polityki” z lat 1976—82 (86 sztuk za 200 złotych jako „jedenaście tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt dzieł” publikację „Książki i Wiedza”). Ten i liczne podobne zbiorki ulotnych gazetowych plodów twórczości dziennikarskiej ugruntowują coraz bardziej ugruntowanie, że w istocie współczesność w naszym kraju (a może nawet od Prus, Nowaczńskiego i Słonimskiego)

FELIETON JEST ZWIERCIADŁEM DZIEJÓW

alfą i omegą filozofii oraz technologii rozumienia świata,

a także źródłem wiedzy o nim. Są — wprawdzie — liczni ludzie wśród warstw tzw. oświeconych, którzy mają także inne źródła wartościowania, inne drogowskazy, ale — zaliczając się do tych — skłamałbym, gdybym nie przyznał, że w jakimś tam (raczej poważnym) stopniu znajduję się pod wpływem prezentowania rzeczywistości w poetyce i konwencji felietonu właśnie...

Uczni, publicyści, politycy ani tym bardziej tzw. literaci nie są w stanie zapanować na dłużej i skutecznie nad umysłami „oświeconych”, aczkolwiek co jakiś czas pojawia się dzieło wstrząsające w istocie, zmuszające do myślenia, przewracające do góry nogami, prowokujące do określenia swego miejsca pobytu (intelektualnego pobytu) na nowo. Ale zdarza się to rzadko i na domiar złego nie zawsze wytrzymuje ciśnienie rzeczywistości. Natomiast felietoniści są obecni stale, co tydzień — i drażnią powierzchownie, ale po kropli...

Sam za Passentem nie przepadam — bliżej mi są Krzysztof Teodor Toeplitz i Jerzy Urban. KTT przynajmniej ma ambicję urządzania świata, a Urban lubi i umie walczyć, i to lojalnie. Passent zaś jest finezyjnym wprawdzie, ale miłym w istocie ironistą — outsiderem. Stworzył sobie nawet wygodne alibi dla takiej postawy — w „Notatkach peronowego”, felietonie z 8 maja 1983 roku: „Zamiatanie peronu po tych, którzy odjechali, jest na pewno zajęciem łatwym i bardziej bezproblemowym niż podróżowanie parowozem dziejów w rozpedzo-

nym pociągu historii, a zwołująca przekazywanie z pociągu do pociągu. Cóż zrobić, kiedy ja nie zostałem stworzony na kaskadera i nadaje się wyłącznie do motyli. Rok ubiegły (1981) chyba — przyp. TS) pokazał, że kaskaderów mamy dosyć, gorzej ze sprzątaniem”.

Można i tak, choć na ogół warto wskoczyć do jakiegoś pociągu, bo zdarza się, że w młarę rozwoju kolei, przy okazji zmian rozkładów jazdy, wyłącza się z ruchu całe dworce, nawet jeżeli są główne w stolicy. Ale poza tym — można Passenta lubić albo nie, lecz jedno należy przyznać z całą pewnością: umie ten skurczybyk pisać, i to jeszcze jak!

Tymczasem koledy w innych gazetach zatapiają się w oglądaniu własnych pepeków i to z tak bagatelnej powodu jak

SETNE NUMERY

Właśnie odnotowały 10 „Tu i Teraz” oraz znamienite, hałaśliwe „Veto”. Tak, w dziesiątych ciężkich czasach każda setka cieszy...

Koźniewski z okazji „jubileuszu” powiedział, że nie chce wolać w próżnię. Nałęcz-Jawecki, że mleko się kwasi. Co tu dużo gadać, bardziej żywcem trzeciemu, żeby wygrał proces z mleczarzami, niż temu pierwszemu, żeby mu się odbijało echem po całym kraju i nawet dalej.

TOMASZ SAS

PRZEPRAZAMY CZYTELNIKÓW „ODGŁOSÓW”

W 17 numerze „Odgłosów”, na stronie 12, przy artykule Ryszarda Binkowskiego pt. „Talizman”, zabrakło zdjęcia, a w jego miejsce ukazała się biała plama. Stało się to z winy redakcji technicznej pisma. Za to niedopatrzenie i złą jakość naszej pracy serdecznie przepraszamy Czytelników. Podejmujemy wszystkie możliwe działania, aby taka sytuacja więcej się nie mogła powtórzyć.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NR 18 (1362) XXVII 5 MAJA 1984 R.

Przegląd prasy

le jeszcze nie wygasi, ale współcześnie zaczyna stawać się folklorystycznym marginesem. Powszechna w tej mierze praktyka zmieniła się bardzo — stała się po prostu normalna. (Czy nie jest to jednak signum temporis? — Normalne nas cieszy...)

W każdym razie obywateli, i to nie tylko indywidualnie, korespondują z własnym rządem coraz częściej. Ostatnio m. in. rozpowszechniono liczne listy od związków zawodowych do rządu i rządową odpowiedź w sprawie polityki cen.

Sprawa podwyżek cen i kilku związanych z tym kwestii ubocznych, a przede wszystkim społeczna aura wokół tej delikatnej materii gospodarczo-politycznej ujawnia, jakie są w rzeczywistości

GRANICE POŻYTKÓW DEMOKRACJI BEZPOŚREDNIEJ

Jakiż bowiem jest jeden z zarzutów podnoszonych przez zwolenników? Oto kolegium przewodniczących ogólnokrajowych organizacji związkowych w swym liście pisma (w związku z podwyżką cen zaopatrzeniowych i sposobem reglamentacji paliw płynnych): „Jesteśmy zaniepokojeni, że tak podstawowe decyzje dotyczące ogółu społeczeństwa podejmowane są bez jakiegokolwiek konsultacji ze związkami zawodowymi”.

Natomiast federacja „Metalowcy” ucieka się do delikatnego szantażku: „Informujemy również, że w otrzymanych przez federację telexach (z protestami przeciw podwyżkom cen — przyp. TS) przypomniano, iż w sprawozdaniu Komisji KC PZPR powołanej do wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej, test sformułowanie: „brak konsultacji oraz zaskakujące społeczeństwo decyzje cenowe prowadziły w przeszłości do napięć i wybuchów niezadowolonych klasy robotniczej”.

W związku z powyższym domagamy się (...) bezwzględnej przestrzegania zasady konsultowania ze związkami zawodowymi wszystkich zamierzonych podwyżek cen. (...)”.

Wydaje mi się, że obie strony tej kontrowersji w sprawie cen mimochodem

WPADŁY W PUŁAPKĘ KONSULTACYJNĄ

Cóż bowiem odpowiada rząd? Rząd wyraża zdumienie, że związki zawodowe podejrzewają o działania fasadowe; rząd twierdzi, że jest to niesprawiedliwe posądzenie i oczekuje, iż jego partnerzy zrozumieją reguły rachunku ekonomicznego. „Rząd czuje się zobowiązany do konsultowania zmian cen tych artykułów, które bezpośrednio sam ustala, i które pośrednio wpływają na koszty utrzymania większości ludzi pracy. (...) Rząd nie może jednak prowadzić konsultacji i przyjmować na siebie odpowiedzialność za ściśle ustalanie setek tysięcy cen, których wysokość zależy od decyzji przedsiębiorstw, (...)”.

Rząd przypomina, że „projekt Centralnego Planu Roczego był przedmiotem ogólnospołecznej konsultacji, w której brali udział również związki zawodowe. (...) W trakcie tych konsultacji zaakceptowane zostały również ogólne relacje pomiędzy wzrostem cen i płac i w tych ramach rząd czuje się uprawniony do dokonywania konkretnych posunięć. Obecne decyzje cenowe mieszczą się w tych ramach”. I tak dalej, jeszcze bardziej szczegółowo i łopatologicznie...

Ala cóż z tego, skoro związek metalowców przebiega całą tę argumentację żądaniem „skasowania kategorii cen regulowanych i umownych służących jako parawan niegospodarności i złej organizacji (...)”. Innymi słowy — żąda likwidacji reformy gospodarczej i powrotu do centralnego, nakazowo-rozdzielczego systemu sterowania gospodarką. No i gada tu z takim...

Doprawdy, lista tematów nadających się do konsultacji społecznych jest nader ograniczona, poza tym same konsultacje nie są psychodramą — środkiem poprawy obywatelskiego samopoczucia. Chyba, że ktoś chce je tym uczynić...

Wydaje mi się, że równie ważne, a kto wie czy nie ważniejsze, jak zasłaganie opinii jest

W stronę państwa

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„Jeśli kraj ma być dobrze zarządzany, prawa muszą być jasne” — twierdził chiński mędrzec Kung-sun Jang. Myśl tę można byłoby strawić w taki sposób: Jeśli kraj ma być dobrze zarządzany, to cele, jakie stawiają sobie siły polityczne sprawujące władzę, powinny być wszystkim jasne. Jeśli te cele będą jasne, to i prawa staną się również jasne, bo realizacji tych celów będą służyły. Gdzie takie cele sformułowane jasno można znaleźć? Przede wszystkim w dokumentach partii.

Idea opracowania deklaracji „O co walcymy, dokąd zmierzamy” narodziła się na początku 1982 roku. Sama deklaracja rodziła się dość długo. Jej pierwsza wersja poddana pod dyskusję całej partii spotkała się z wieloma różnymi zastrzeżeniami. Nie odpowiadała bardzo różnorodnym oczekiwaniom. Jakże to było oczekiwania?

IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR wypowiedział się w lipcu 1981 roku w najważniejszych i najtrudniejszych dla partii sprawach, nakreślił linię partii wynikającą z twórczego zastosowania zasad marksizmu-leninizmu do konkretnej sytuacji, jaką wówczas w kraju istniała, a która była wynikiem szeregu przyczyn rodzących cykl kryzysy. IX Zjazd PZPR nie odpowiedział — bo nie mógł odpowiedzieć — na szereg pytań i wątpliwości, jakie nurtowały członków partii. Oczekiwali oni, że na pytania te odpowie deklaracja „O co walcymy, dokąd zmierzamy”. Chodziło między innymi o to, czy w Polsce lat osiemdziesiątych funkcjonują zasady dyktatury proletariatu i w czym się one wyrażają, jaką obecnie ma treść sojusz robotniczo-chłopski, jaka droga pójdzie rozwój własności na wsi, czy sprzeczność między dominującą własnością społeczną w mieście, a prywatną na wsi nie jest też powodem rodzącym kryzysy, jakie powinno być miejsce własności prywatnej w socjalistycznym państwie i na jakim etapie budownictwa socjalizmu znajduje się obecnie Polska? Są to — jak widać — pytania istotne i wcale nie jest łatwo uzyskać na nie jednoznaczne odpowiedzi.

W referacie na XIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR próbowano na niektóre z tych pytań dać odpowiedzi.

„Przypomnijmy — mówił Józef Czyrek — że do uniwersalnych prawidłowości i zasad budowy socjalizmu należą: hegemonia klasy robotniczej i jej sojusz z pracującym chłopstwem, zbudowanie państwa spełniającego funkcje dyktatury proletariatu, zniesienie wyzysku kapitalistycznego, ustalenie społecznej własności środków produkcji, coraz pełniejsze zaspokajanie — w oparciu o planową gospodarkę — potrzeb ludu pracy, rozwój socjalistycznej demokracji, rozwój oświaty i kultury, upowszechnienie idei socjalizmu w świadomości społecznej, socjalistyczny międzynarodowy.”

Ale i XIII Plenum KC PZPR nie dało odpowiedzi na wszystkie pytania. W uchwale postanowiono, że zwolana zostanie „ogólnopolska narada nauk społecznych i humanistycznych, która dokona oceny stanu tych nauk w Polsce i określi ich zadania w świetle uchwał XIII Plenum”, a także, że zwolana zostanie II Ogólnopolska Partyną Konferencja Teoretyczno-Ideologiczna, w czasie której przedyskutowane zostaną „najważniejsze problemy teoretyczne związane z przygotowywaniem na X Zjazd perspektywicznego programu PZPR”, a także dokona się „analizy węzłowych problemów ideologicznych”.

Spróbowano natomiast dać odpowiedzi w sprawie pytania, na jakim etapie budownictwa socjalistycznego znajduje się obecnie Polska?

„Prosta formuła — mówił Józef Czyrek — nie może wyczerpać oceny złożonej rzeczywistości naszego kraju, jedno jest pewne: zrealizowaliśmy w Polsce większość zadań okresu przejściowego od kapitalizmu do socjalizmu. Oznacza to istnienie trwałego układu socjalistycznego w życiu gospodarczym i społeczno-politycznym. W wielu dziedzinach wprowadzone zostały rozwiązania społeczne i zabezpieczenia socjalne, które można byłoby zaliczyć do fazy socjalizmu wysoko rozwiniętego. Rozwiązania te wyprzedziły niekiedy nasze obecne możliwości gospodarcze”.

Pytanie o etap budownictwa socjalistycznego nie jest li tylko czystym rozważaniem teoretycznym, ale ma ogromny sens praktyczny. Proces budownictwa socjalistycznego nie przebiega jednakowo we wszystkich krajach i zależy w dużej mierze od warunków, jakie w danym kraju panują, od układu sił społecznych i politycznych, a także od tego, czy kierująca przeobrażeniami partia umie w porę dostrzec narastającą sprzeczność i odpowiednio je rozwiązać. Dotychczasowa praktyka pokazała, że nie można przekraczać etapów w rozwoju społecznym, że nie można żyć i marzyć brać za obiektywną rzeczywistość. Teza o „jedności moralno-politycznej społeczeństwa” lansowana w Polsce w latach siedemdziesiątych i tworzenie państwa więcej dającego niż biorącego od ludzi pokazały, że założenia polityczne nie można budować nie opierając ich twardo na konkretnej rzeczywistości, w oderwaniu od tej rzeczywistości.

W LISTOPADZIE 1943 ROKU

powstał dokument, opracowany przez Władysława Gomułkę na polecenie kierownictwa PPR, a znany jako Deklaracja Programowa Polskiej Partii Robotniczej „O co walcymy?” W dokumencie tym zarysowany został kształt przyszłego państwa polskiego, o jaki walczyła PPR i do walki o jakie państwo skupiała wo-

kół siebie wszystkie demokratyczne siły podziemnej Polski.

Przemawiając 1 stycznia 1947 roku w Łodzi, z okazji przyjęcia 50-tysięcznego członka do łódzkiej organizacji PPR, Władysław Gomułka tak określił koncepcję polityczną PPR, która zaważyła na dalszych losach Polski.

„Jak wiadomo — powiedział wówczas — nasza koncepcja polityczna nowej, odrodzonej Polski zawierała w sobie trzy podstawowe elementy, trzy główne myśli polityczne, a mianowicie:

1) gruntowna przebudowa stosunków społeczno-politycznych w Polsce przez wywłaszczenie obszarników i wielkich kapitalistów,

2) dokonanie zasadniczego zwrotu w polityce zagranicznej Polski i doprowadzenie do trwałego porozumienia i sojuszu ze Związkiem Radzieckim drogą zrzeczenia się przez Polskę obywateli zamieszkanych w większości przez ludność ukraińską i białoruską.

3) przesunięcie Polski na zachód i nad Bałtyk, na jej przetrasie piastowskie tereny.

Realizacja tych trzech punktów oznaczała wprowadzenie Polski i narodu polskiego na nowe tory rozwoju historycznego”.

Władysław Gomułka — współkreator polityki PPR — rozumiał, że nawet najbardziej jasno sformułowane cele można tylko wówczas osiągnąć, jeśli siła polityczna, która reprezentuje klasowe interesy, osiągnie poparcie innych, postępowych, demokratycznych sił. Dlatego od samego początku był zwolennikiem frontu antyfaszystowskiego, który jednoczył postępowe siły w walce z faszyzmem i okupantem, a następnie frontu narodowego, którego celem było zjednoczenie wszystkich sił społecznych wokół realizacji programu demokratycznej przebudowy państwa polskiego. 8 lutego 1945 roku na rozszerzonym posiedzeniu KC PPR mówił:

„Uczestnicząc we froncie narodowym, partia nasza kieruje się tym przede wszystkim, by zdobyć większość narodu polskiego, cały naród polski — w perspektywie — dla tej Polski demokratycznej, o której myślimy mówić. Przez front narodowy chcemy zmobilizować cały naród do wielkiego zadania odbudowy kraju... Problem gospodarczy wysunie się jako problem naczelny, przytłaczający wszystkie inne, i dla celów odbudowy musimy zmobilizować cały naród”.

Przemawiając 21 lipca 1945 roku na VIII Sesji KRN Władysław Gomułka tak mówił,

O WIZJI NOWEJ POLSKI

„Nie mogą być dobre takie stosunki produkcyjne, przy których panuje bezrobocie, kryzysy gospodarcze i marniarstwo przy głodzie konsumpcyjnym. Dlatego nowa Polska odradza się na takich podstawach, które by sprzyjały rozwojowi sił wytwórczych, pozostających we władaniu państwowym i prywatnym, zabezpieczają chleb i pracę wszystkim obywatelom, udostępniały naukę i oświatę każdemu, niezależnie od jego pochodzenia klasowego, gwarantowały wypracowania spokojną starość”.

Było to syntetyczne ujęcie programu, jaki w swojej deklaracji z listopada 1943 roku zaprezentowała PPR.

Stwierdzono wówczas, że będzie ona dążyć do realizacji celów:

1. Uprzemysłowanie kraju w duchu jego potrzeb, ze szczególnym uwzględnieniem elektryfikacji, celem likwidacji zacofania gospodarczego i przekształcenia Polski w nowoczesny kraj przemysłowo-rolniczy.

2. Podniesienie rolnictwa na wyższy poziom przez szerokie zastosowanie nauki i techniki w gospodarce rolnej.

3. Likwidacja głodu mieszkaniowego i niskiej kultury mieszkaniowej.

4. Podniesienie kultury narodowej przez budowę nowych szkół, uniwersytetów, domów ludowych, bibliotek itp.

5. Rozszerzenie sieci komunikacyjnej, w pierwszym rzędzie przez budowę nowych, trwałych dróg bitych i autostrad oraz regulację rzek dla ich uszlachetnienia”.

Realizację tych celów — stwierdza dalej deklaracja PPR — „da się osiągnąć tylko na drodze planowości, której zasady kierują się potrzebami i dobrem ogólnym, a nie chęcią zysku jednostki”. Oczywiście, że realizację tych celów ma zapewnić państwo demokratyczne, na kształt którego decydujący wpływ ma front narodowy i partie w nim sprawujące przewodnią rolę. Wówczas PPR i PPS.

Jeśli przeanalizuje się dokładnie zadania, jakie stawiała sobie w listopadzie 1943 roku PPR, to wyłania się z nich koncepcja państwa, które na plan pierwszy wysuwa ochronę interesów klasowych, a nie „dławienie” byłych wyzyskiwaczy. Nie znaczy to wcale, że problem „dławienia” został całkowicie pominięty. Władysław Lenin w pracy „Państwo a rewolucja” przypomniał, że „w okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu dławienie jest jeszcze niezbędne, ale już dławienie wyzyskującej mniejszości przez wyzyskiwaną większość. Specjalny aparat, specjalna machina do dławienia, „państwo”, jest jeszcze niezbędne, ale jest to już państwo przejściowe, nie jest to już państwo we właściwym znaczeniu tego słowa...” Jest więc to państwo dyktatury proletariatu, ale — jak z tego wynika — funkcje państwa dyktatury proletariatu, sprowadzają się nie tylko do „dławienia” przeciwnika klasowego, ale też do organizowania działań w interesie klasy panującej — proletariatu i będącego z nim w sojuszu pracującego chłopstwa oraz wszystkich ludzi pracy.

3 czerwca 1948 roku — a więc można po-

wiedzieć w przeddzień zjednoczenia PPR i PPS w jedną partię polskiej klasy robotniczej — Władysław Gomułka na posiedzeniu KC PPR tak interpretował różnice w funkcjach dyktatury proletariatu w Polsce i w Rosji.

„Teoria leninizmu i marksizmu nie może być nauką raz na zawsze zakończoną, (...) należy ją nieustannie rozwijać i równocześnie przy jej pomocy zmieniać rzeczywistość na nową i lepszą. Daremny byłoby wertowanie wszystkich dzieł klasyków marksizmu w poszukiwaniu opisów takich zmian ustrojowych i form sprawowania władzy na drodze do socjalizmu, jakie mają miejsce tak u nas, jak i w innych krajach demokracji ludowej. Socjalizm jest ideą wspólną dla klasy robotniczej wszystkich krajów, lecz droga do socjalizmu nie jest i nie może być jednakową dla każdego okresu historycznego. Klasa robotnicza Rosji doszła do władzy drogą rewolucji, ustanawiając dyktaturę proletariatu jako formę władzy państwowej. Dwadzieścia siedem lat później klasa robotnicza Polski znalazła się również w steru władzy państwowej nie przechodząc przez rewolucję i dzieląc się władzą z innymi warstwami pracującymi przy zachowaniu dla siebie roli przodującej. Nie oznacza to wcale, że klasa robotnicza Rosji mogła zdobyć i utrzymać władzę bez rewolucji i dyktatury proletariatu. Klasa robotnicza Rosji dochodziła bowiem do władzy w różnych okresach historycznych, przy różnym układzie sił klasowych, w okresie niepodległego państwa imperializmu, kiedy leninizm i marksizm znajdowały się jeszcze w stadium rozwoju...”

Klasa robotnicza Polski i innych krajów demokracji ludowej mogła dojść do decydującego współudziału w sprawowaniu władzy bez rewolucji i bez dyktatury proletariatu tylko dlatego, że Związek Radziecki w stopniu decydującym przyczynił się do rozgromienia hitlerizmu. Sprawiedliwa wojna przeciw okupantom i na skutek udziału w niej Związku Radzieckiego jako państwa socjalistycznego nie mogła nie mieć cech ideologicznych, nie mogła nie nosić charakteru społeczno-wyzwoleńczego...”

Zwycięska wojna narodziła wyzwoleńcza, wojna z hitleryzmem pozwoliła i u nas i w innych krajach demokracji ludowej na dojście do władzy bez rewolucji, po pierwsze dlatego, że brał w niej udział Związek Radziecki, którego armia wyzwoliła demokrację ludową.

Po drugie dlatego, że w wojnie tej wzięły najaktywniejszy udział siły rewolucyjne i postępowe krajów okupowanych przez Niemców i po trzecie dlatego, że poważna część reakcji tych krajów zlokalizowała się z hitleryzmem i łącznie z nim musiała być rozgromiona.

Do systemu demokracji ludowej doszło tylko w tych krajach, w których narodowe siły rewolucyjno-demokratyczne związały się bezpośrednio w jednym szeregu bojowych z Armią Radziecką i z nią walczyły o wyzwolenie swoich krajów spod okupacji niemieckiej”.

W tym miejscu trzeba jeszcze raz wrócić do myśli Włodzimierza Lenina, aby

NIE POWSTAŁO NIEPOROZUMIENIE NA TEMAT DYKTATURY PROLETARIATU

Niektórzy są bowiem skłonni rozumieć pojęcie dyktatury proletariatu wąsko, jedynie jako sposób „dławienia” klas poprzednio wyzyskujących, a teraz pozabawianych przez rewolucję swoich majątków, fabryk i posiadłości. W „Tezach o podstawowych zadaniach drugiego Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej” Włodzimierz Lenin tak formułuje pojęcie dyktatury proletariatu:

„Dyktatura proletariatu jest najbardziej stanowczą i rewolucyjną formą walki klasowej proletariatu z burżuazją. Taka walka może być skuteczna wówczas, kiedy najbardziej rewolucyjna awangarda proletariatu prowadzi za sobą przytłaczającą jego większość”.

Pojęcie dyktatury proletariatu wynika z nauki o państwie jako formie panowania jednej klasy nad innymi, jako formy klasowego ucisku. Proletariat po dokonaniu rewolucji, po objęciu władzy musi jej bronić, musi bronić swoich klasowych interesów. A więc „dławić” tych, których interesom tym zagrażają. Ale — jak podkreśla to Włodzimierz Lenin — może tego dokonać, „kiedy najbardziej rewolucyjna awangarda proletariatu prowadzi za sobą przytłaczającą jego większość”, a więc kiedy partia klasy robotniczej ma poparcie swojej klasy, a przynajmniej jej decydującą większość. Zatem pod pojęciem dyktatury proletariatu nie może się kryć jedynie pojęcie samego tylko ucisku. Kryje się w nim również pojęcie organizowania i obrony interesów klasowych.

„Dyktatura proletariatu — pisał dalej Włodzimierz Lenin — jest najmilszymi urzędowym kierownictwem wszystkich pracujących i wyzyskiwanych (...), kierownictwem sprawowanym przez jedną klasę przygotowaną do takiej roli przez całą historię kapitalizmu”.

Jeśli więc Władysław Gomułka mówi o istotnych różnicach w sposobie dojścia do władzy proletariatu w Rosji i Polsce — a także innych krajach demokracji ludowej — to miał przede wszystkim na uwadze te funkcje dyktatury proletariatu, które ograniczają się do „dławienia” klas obalonych. Nie ulega przecież wątpliwości, że formy „dławienia” w Polsce i Rosji były odmienne, jako że i warunki historyczne w czasie obejmowania władzy były różne. Nie miał on niewątpliwie na myśli wszystkich innych treści, jakie powinny kryć się pod pojęciem dyktatury proletariatu.

Po drugie — mówiąc o ideologicznym znaczeniu udziału Związku Radzieckiego w drugiej wojnie światowej miał on bez wątpienia na myśli nie „eksport rewolucji”, ale polaryzację polityczną i klasową, jaka musiała się dokonać wobec rozwoju wypadków historycznych, wobec konieczności dokonania klasowego wyboru — opowiedzenia się bądź za klasą robotniczą, jako nosicielką postępu społecznego, bądź przeciw niej. Marksizm jest dobrze wiadome, że nie dokona się tam postęp społeczny, gdzie nie powstały sprzyjające do tego warunki. Nie wszędzie też, gdzie była obecna Armia Radziecka proletariat objął władzę. A tam,

gdzie komuniści w wyniku sprzyjających warunków politycznych mas wzięli udział w sprawowaniu władzy, jak to miało miejsce we Francji i Włoszech, obecność sił postępowi społecnemu przeciwnych spowodowała wyrugowanie komunistów z rządów.

ALE OTO NADSZEDŁ ROK 1948

Poprzedziły go poważne zmiany, jakie dokonały się w sytuacji międzynarodowej. Wówczas mówiło się, że świat podzielił się na dwa przeciwstawne obozy. Było to bez wątpienia spore uproszczenie, świat nie był tak bowiem jednoznacznie podzielony, ale rzecz nie w tym. Nie ulega przecież wątpliwości, że zwycięstwo koalicji antyhitlerowskiej, w której wielką rolę odegrał Związek Radziecki, udział Związku Radzieckiego w kształtowaniu powojennej Europy, wpłynął na wzrost rewolucyjnych nastrojów. Stawało się to groźne dla klasowego panowania burżuazji w wielu krajach. Musiał więc nastąpić podział i rozbić dawną koalicję antyhitlerowskiej. I tak się stało.

Narastało zagrożenie dla powojennego pokoju. Zrodziła się „zimna wojna”. Wybuchł konflikt w Korei. Powstała konieczność zwrócenia szeregów. Nie był to czas sprzyjający własnym poszukiwaniom.

W czerwcu 1948 roku — w cytowanym już referacie na posiedzeniu KG PPR — Władysław Gomułka dał wyraz swoim poglądom na istotę sojuszu socjalistyczno-demokratycznego.

„Istota sojuszu socjalistyczno-demokratycznego polega na tym — powiedział — że państwa, które wchodzi w taki sojusz, nie stawiają przed sobą żadnych celów zabórczych w stosunku do tych krajów, zobowiązują się tylko do wzajemnej obrony przed napadami, że nie żywią one wobec siebie żadnych wrogich zamiarów i niezależnie od swojej siły uważają się za równe. Sojusz oparty na takiej podstawie może trwać mocno i niezmiennie, bo nie podlegają go żadne sprzeczności interesów tych państw, które je zawierają. Podstawą trwałości takiej demokracji są przede wszystkim marksistowskie partie robotnicze, kierujące się wspólnie w swej pracy i walce ideologią marksistowskiej klasy robotniczej. Dlatego uważam, że są one główne i tworzą podstawy niepodległości i suwerenności Polski, uważamy je za najważniejszy czynnik zabezpieczający nienaruszalność tych granic”.

Jak wiemy stanowisko Władysława Gomułki ani na tym posiedzeniu KC PPR, ani na następnym nie zostało aprobowane i zostało ono — niesłusznie przecież — oskarżony o odchylenie pravicowo-nacjonalistyczne. Narastająca „zimna wojna” umożliwiła przyjęcie koncepcji budownictwa socjalistycznego opartego tylko na radzieckich wzorach.

Zachodzące wówczas procesy wynikały z obiektywnych przesłanek historycznych, były odpowiedzią na zagrożenie, wiązały się z koniecznością szybkiego uporania się z wojennymi zniszczeniami i dalszego rozwijania potencjału gospodarczego niezbędnego nie tylko dla poprawy warunków życia ludzi, ale i dla umocnienia obronności. Jednak kierunek tych procesów wynikał z odejścia od leninowskich norm życia państwowego i partyjnego w ZSRR. Józef Stalin jeszcze za życia został czwartym klasykiem, a w Deklaracji PZPR przyjętej na Kongresie Zjednoczonym w grudniu 1948 roku mówi się, że „budownictwo demokracji ludowej w Polsce potwierdził całkowicie leninowski-stalinowski nauk o państwie”.

Deklaracja stwierdza też, że w Polsce dokonało się zwycięstwo demokracji ludowej. Jak rozumie się demokrację ludową?

„Demokracja ludowa w Polsce powstała w następstwie rozgromienia faszyzmu niemieckiego przez Związek Radziecki oraz w następstwie walki polskich mas ludowych pod kierownictwem klasy robotniczej”.

Demokracja ludowa w Polsce powstała jako rewolucyjna władza mas ludowych, którym przewodzi klasa robotnicza.

Demokracja ludowa w Polsce rozwija się w oparciu o pomoc Związku Radzieckiego, czerpiąc z historycznych doświadczeń budownictwa socjalistycznego w ZSRR.

Demokracja ludowa w Polsce realizuje współpracę stronnictw demokratycznych pod przewodnictwem zjednoczonego ruchu robotniczego”.

Jakimi cechami charakteryzuje się w Polsce demokracja ludowa?

Deklaracja wymienia przede wszystkim likwidację bazy materialnej dla klasowego panowania burżuazji i obszarników, a więc reformę rolną i upaństwowienie przemysłu oraz bogactw naturalnych, ale jednocześnie „likwidowanie socjaldemokratycznej agencji w ruchu robotniczym”. Następnie dopiero przekształcenie aparatu państwowego w służący ludziom pracy, demokratyzację korpusu oficerskiego w WP. Po trzecie — „sojusz robotniczo-chłopski — to znaczy sojusz klasy robotniczej z chłopami małorolnymi i średniorolnymi, przy przodującej roli klasy robotniczej”. Po czwarte — obronę suwerenności bezpieczeństwa Polski i decydujące dla tego znaczenie sojuszu ze Związkiem Radzieckim, co oczywiście nie ulega wątpliwości, ale czego i dziś wielu ludzi nie rozumie. Po piąte — usuwanie z życia gospodarczego elementów kapitalistycznych „przy jednoczesnym dobrowolnym przeobrażeniu gospodarki drobnoutwarowej w gospodarkę zespoloną”. I po szóste — szybki rozwój sił wytwórczych.

Jak teraz — w wyniku zagrożenia ze strony obozu imperialistycznego, co nie było przecież żadnym wymysłem — rysowała się koncepcja państwa? Jakże odbicie znalazło to w Deklaracji PZPR?

Ale na te pytania postaram się odpowiedzieć w następnym artykule.

Rocznicą uchwalenia Konstytucji 3 Maja 1791 r. urosła w latach niewoli do rangi święta jedności narodowej, odrodzenia się zniszczonego państwa, oświecenia, konieczności ofiar na rzecz ojczyzny.

W ciągu dwudziestoletniej międzywojennego w powszechnym odczuciu dzień 3 maja był bliższy sercu obywateli niż oficjalne uroczystości 11 listopada.

U współczesnych znalazła ustawa majowa jakże wiele wysokich i pochlebnych ocen, a równocześnie słowa potępienia w kołach szlacheckiej kotturii i wśród jawnych i zakamufLOWANYCH zdrajców — targowiczian.

Entuzjaci Konstytucji zawiązali „Towarzystwo Przyjaciół Ustawy Rządowej”. Miało ono bronić dokonanej już dzieła i rozwijać ogłoszone zasady w dalszych pracach sejmowych. Już po obaleniu Konstytucji ukazała się praca zbiorowa „O ustanowieniu i upadku Konstytucji”, której autorzy z Kolałajem i Potockim na czele druzgotali zarzuty „jakobinizmu” irzekomego bezprawia wobec szlachty.

Nie jest przypadkiem, że zwolennicy i obrońcy Konstytucji stali się organizatorami i bojownikami insurekcji Kościuszkowskiej, a szeregi aktów powstańczych bądź nawiązywał, bądź rozwijał, demokratyzował sformułowania ustawy majowej (np. Manifest Połaniecki).

W ROCZNICE KONSTYTUCJI 3 MAJA

Najważniejszy dokument polskiego Oświecenia

Konstytucja 3 Maja jest dokumentem polskiego Oświecenia nie tylko z daty, ale z formy i treści, jest zgodna z „duchem czasów”, z propagowaną strukturą ekonomiczną, z prądami myślowymi, z psychiką ówczesnych bojowników o „epokę rozumu”.

Konstytucja jest aktem prawnym uchwalonym w ciągu kilku godzin burzliwego posiedzenia sejmowego, jej redakcja powstała w stosunkowo szybkim czasie, natomiast geneza aktu majowego wypływa z długotrwałej pracy najświetlejszych Polaków-patriotów nad przełamaniem wynaturzeń rządzącej klasy szlacheckiej, nad zmianą mentalności, nawyków, obyczajowości.

Okres panowania Sasów (1697—1763) jest zazwyczaj okreśniany jako polityczny, anarchyjny wewnętrzny, wzrostu ciemnoty, nietolerancji, samowoli rodów magnackich. Au ust II Mości August II rezydowali przeważnie w Dreźnie, nie znali języka polskiego, świadomie popierali umysłowy i moralny upadek narodu w swoim dynastycznym interesie.

Pewne ożywienie polityczne nastąpiło na krótko po śmierci Augusta II. Część szlachty opowiedziała się za królem-Piastem Stanisławem Leszczyńskim. Ukazały się pisma krytykujące stan państwa i wskazujące na konieczność reformowania ustroju. Lecz słaby prąd reformatorski został stłumiony przez obcą interwencję i klientelę magnacką. Dla jasności wielmożnych wygodny był król rezydujący w Dreźnie i panoszący się prywatnie, która nie napotykała na przeciwdziałanie ze strony instytucji państwowych.

Jednakże wśród mroków „nocy saskiej” znalazł się człowiek, który postanowił zmienić mentalność szlachecką poprzez unowocześniwszy system kształcenia i wychowania. Był nim pijar Stanisław Konarski.

Zetknął się on z nowatorskim na owe czasy systemem oświatowym w Italii i we Francji. Po powrocie z zagranicy osiedlił się w Krakowie. W konwiktach pijarskich prowadził dla kleryków wykłady literatury, historii i prawa, przygotowywał w ten sposób światłych nauczycieli dla nowej szkoły.

W 1740 r. założył on na wzór zagranicznych „akademii kawalerskich” pierwszą w Polsce szkołę szlachecką tzw. „Collegium Nobilium”. a jej celem było wychowanie dobrego obywatela.

Przez siedem lat trzymał konwikt wychowania pod swoim wpływem. W przeciwnieństwie do szkół jezuitów znacznie ograniczono łacine, zwłaszcza gramatykę. Wprowadzono zajęcia z „oświecenia obywatelskiego” poprzez literaturę ojczystą (przerabiano Dzieła Kochanowskiego, Wacława Potockiego, Reja) i szeroki kurs historii. Nowością „Collegium Nobilium” było nauczanie języków obcych (francuski i niemiecki), fizyki, architektury oraz rysunków. Naukę religii prowadzono w kościele i od wykładów katechizmu przechodzono szybko do literatury z zakresu moralistyki i obywatelskości.

Poglądy na proces wychowania i obowiązki obywatelskie wyłożył Konarski w 4-tomowym dziele „O skutecznym rad sposobie”.

Pod wpływem programu reformowanego w Collegium Nobilium zostały zreformowane inne szkoły pijarskie a jezuiti musieli także „uatrakcyjnić” program, poświęcając nieco czasu na literaturę i historię ojczyzny.

Posiew szkół pijarskich przygotowywał odrodzenie narodowe. Warto podkreślić, że dwaj przywódcy tego odrodzenia, współtwórcy Konstytucji 3 Maja, bracia Ignacy i Stanisław Potoccy byli właśnie wychowankami Collegium Nobilium.

Wstąpienie na tron Stanisława Augusta Połanieckiego (1734) oznaczało przełom kulturalny. Pragnieniem Stanisława Augusta, zwolennika racjonalistycznej myśli i kultury Oświecenia, było podniesienie Polski szlacheckiej do rangi kraju oświeconego. Otaczał on opieką uczonych i literatów, sprowadzał artystów, gromadził kolekcje.

Abym oddziaływać na młode pokolenie zało-

żył. król (1706) pierwszą w Polsce szkołę świecką, nadając jej formę korpusu kadetów, a to umożliwilo wyłączenie uczelni spod kierownictwa duchowieństwa.

Szkoła Rycerskiej nadano organizacyjne formy wojskowe, ale absolwenci nie byli obowiązani do pozostawiania w służbie wojskowej. Komendant uczelni Adam Czartoryski, o przekonaniach wolnomyślnych, w tych słowach przedstawił kadetom cele wychowawcze:

„Niech was prowadzi ta zacna ambicja, żebyście odmiennili starą postać kraju. oswobodzili ojczyznę od jarzma tych strasznych tyranów: niewiedomości i przesady, żebyście swoim uczyli przykładem pożytecznych obywatelskich powinności”.

Szkoła rycerska wychowała poważne grono działaczy późniejszego obozu reform, dowódców powstania kościuszkowskiego i legionów. Wspomnieć należy chociażby Tadeusza Kościuszkę, Juliana Niemcewicza, Karola Kniaźwiczę czy Jakuba Jasińskiego.

Zreformowane szkoły pijarskie i Szkoła Rycerska stanowiły mały ułamek całego systemu szkolnego pozostającego nadal w rękach jezuitów.

Tymczasem doszło z inicjatywą Prus do porozumienia między sąsiadami Polski. Traktat rozbiorowy trafił na społeczność zdemoralizowaną, wielu dostojników przekupnych, gotowych za srebrniki działać przeciwko podstawowym interesom własnego państwa.

Na sejmie 1773 roku, zwołanym dla zatwierdzenia rozbioru kraju, a zapelnionym tchórzami, sprzedajnymi kreaturami znalazła się grupa posłów, która uświadamiała sobie, że aby ratować ojczyznę trzeba zmienić mentalność uprzywilejowanej klasy szlacheckiej, dlatego konieczne jest wyrwanie młodzieży spod wpływu starszych i pozyskanie jej dla dzieła reform.

Młody poseł krakowski Feliks Oraczewski wygłosił płomiennie przemówienie w sprawie edukacji:

„Trzeba nam ludzi zrobić Polakami a Polaków obywatelami, stąd nastąpią wszystkie pomysły dla kraju powodzenia... właśnie edukacja narodowa czyni Anglika Anglikiem, Francuza Francuzem i powinna czynić Polaka dobrym Polakiem...”

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w lipcu 1773 r. ukazało się breve papieża Klementa XIV o zniesieniu zakonu jezuitów. Wywołało ono straszliwe zamieszanie. Szlachta uwielbiająca jezuitów gardziła za utrzymaniem zakonu i pozostawieniem w ich rękach szkolnictwa; niektórzy oponenci licząc na obwołanie się dobrami jezuitkami prowadzili propagandę za kasatą zakonu. Jednakże mniejszości posłów wspieranej przez postępową publicystykę udało się narzucić zdanie, że majątki skasowanego zakonu na cele szkolnictwa powinny zostać wykorzystane i należy w tym celu powołać odpowiedni urząd państwowy.

14 października 1778 roku utworzono Komisję Edukacji Narodowej pod „protekcją” króla. Stanowiła ona najwyższą władzę nad całym świeckim systemem oświatowym, który należało dopiero zorganizować.

W skład kierownictwa nowej instytucji wchodził przedstawiciel magnaterii, ale trzeba dodać oświeconej magnaterii, zainteresowanej w przeprowadzeniu reformy wzniesienia państwa. Do tego grona należeli: Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, Adam Czartoryski, Andrzej Zamojski, Ignacy Potocki, biskup Ignacy Masalski, niestrudzony propagator szkolnictwa ludowego, założyciel pierwszego w Polsce seminarium nauczycielskiego, a równocześnie sprzedawczy, później szarytowiec, powieszony przez lud warszawski w czasie powstania kościuszkowskiego.

Komisja Edukacyjna w praktycznej działalności natrafiała na olbrzymie przeszkody. Część szlachty była wrogo nastawiona do szkolnictwa państwowego, brakowało nauczycieli nowych przedmiotów — nauki obywatelskiej, przyrody, języka polskiego i języków obcych. Byli jezuiti prowadzili propagandę przeciwko szkołom zreformowanym, a jako nauczyciele starali się uchylać od nowych programów, preferując dawny system.

Pomimo przeszkód, sabotażu, rozkradania funduszy posiew reformy okazał się dalekością. Zreformowane szkoły opuszczała młodzież często wchodząca z rodzicami w konflikty na tle światopoglądowym, rozumiejącą potrzebę reform, by ratować swoje, szlacheckie państwo.

Działania Komisji wsparli najwybitniejsi ludzie pióra, pędza i diuta. Niemcewicz, Krasiński, Kolałaj, Staszc i setki innych angażowali się w program polskiego Oświecenia. Zebrania i dyskusje polityczne wciągały i aktywizowały mieszczaństwo. Trybuna Sejmu Czteroletniego stała się miejscem żąrtanej walki politycznej, a wystąpienia posłów-patriotów przedmiotem dyskusji w kręgach prywatnych.

Reforma szkolnictwa i wysiłki ludzi polskiego Oświecenia przygotowały sejm czteroletni (1788—1792), który wypowiedział nieustępliwą walkę sarmatyzmowi, ciemnocie umysłowej, wsteczniwmu poglądów.

Początkiem przekształceń w Polsce sarmackiej były próby Konarskiego, rozciągnięte później na wszystkie szkoły pijarskie, początkiem szkolnictwa świeckiego — królewska Szkoła Rycerska i stworzenie ogólnopaństwowego systemu Komisji Edukacji. Wysiłki nad wychowaniem nowego człowieka-obywatela owocowały w obradach sejmu czteroletniego i znalazły odzwierciedlenie w najważniejszym akcie prawnym polskiego Oświecenia, w Konstytucji 3 Maja.

Nie zrywa ona z tradycją państwa stanowego, ale wprowadza elementy konieczne dla zbudowania silnego państwa, zapoczątkowuje sojusz szlachecko-mieszczański poprzez wchłanianie najbardziej aktywnych grup mieszczaństwa do stanu szlacheckiego.

Znaczenie Konstytucji 3 Maja trafnie określił profesor Bogusław Leśniodorski słowami: „Arkusz papieru” nabrał rumieńca w zbiorowych przeżyciach narodu. Zaczął działać wychowawczo. I to nie tylko przez swoje postanowienia o zniesieniu liberum veto i zakazie konfederacji, ale przede wszystkim przez swój ogólny ton patriotyczny oraz przez wysunięcie do rządu słów najważniejszych — słów człowiek i ojczyzna”.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

W sprawie Muzeum Kopernika w Rzymie

Informacja w „Odgłosach” z dnia 30.4.1983 o Roku Kopernikowskim przypomniała mi nowo historię Muzeum Kopernika, które dotąd istnieje przy Obserwatorium Astronomicznym na Monte Mario w Rzymie. Organizował je z inicjatywy Uniwersytetu Rzymskiego w latach 1876—1892 dr Artur Wołyński, uczestnik powstania 1863 roku. Zdawał sobie wtedy sprawę z doniosłej roli tworzącej się instytucji. Miała ona udokumentować wobec zagranicy polskości Kopernika, świadczyć tym samym o naszej kulturalnej żywotności. Te momenty odgrywały szczególną rolę w okresie utraconego bytu politycznego, podobne poczynania podejmowane były wcześniej i w innych skupiskach emigracyjnych polskich (Paryż, Rapperswil). Wołyński zabrał się do sprawy organizowania Muzeum z pasją i systematycznością urodzonego zbieracza. Rozpisał szeroka korespondencję, której dziennik przez cały czas tworzenia tej instytucji prowadził. Objęła ona pięć tomów.

Zamieszczał artykuły w czasopiśmie wychodzących wtedy w kraju: w „Kłosach”, „Tygodniku Hultrowanym”, „Bibliotece Warszawskiej”, „Ateneum”, „Kraju”. Ogłaszał w nich odezwy o tworzącym się Muzeum Kopernika. Zaczęły napływać dary. Gromadził je z początku w swym mieszkaniu we Florencji, potem wynajął osobny lokal. Sam opłacał transport, korespondencję, oprawę książek — cenniejsze nawet w kolorowy szafian. W końcu jednak musiał pomyśleć o utworzeniu funduszu muzealnego. Wydał więc odezwę do zamożnych obywateli, redaktorów poczytnych czasopism w kraju, wybitnych pisarzy, artystów z zaproszeniem ich na członków-założycieli Muzeum. Nazwiska ofiarodawców sumy 100 franków, 100 lirów czy 30—40 rubli, a także tych, co przysyłali dary tej wartości miały być wyryte na marmurowym piedestale popiersia Kopernika istniejącego do dziś na Monte Mario.

Propagandę Muzeum w kraju utrudniała bardzo rosyjska cenzura. Niektórzy rodacy (a nawet instytucje naukowe) byli zdania, że nie należy Włochom zakładać muzeum. Rząd włoski znowu nie godził się na to, żeby Muzeum było publiczne. Przeżywał więc Wołyński ciężkie chwile, w których wątpił czy przeprowadzi organizację Muzeum tak, jak pragnął. Ażeby ustalić podstawę materialną Instytucji planował przekazać zbioru eksponatów kopernikowskich Uniwersytetowi Rzymskiemu. Dzięki zabiegom Wołyńskiego w roku 1877 Muzeum zostało urzędowo zatwierdzone. Utworzona też została Komisja Kopernikowska, w skład której wchodził nie tylko profesorowie Uniwersytetu z rektorem na czele, ale i ministrowie, posłowie. Powołany też został dr

Wołyński. Komisja miała się zająć sprawą lokalu, funduszy, gromadzenia zbiorów, które planowano rozszerzyć i na astronomię włoską. Wołyński został dyrektorem działu polskiego. W dziennikach urzędowych włoskich pojawiły się na ten temat artykuły. Muzeum zyskiwało rozgłos. Zaczęły napływać nowe dary: książki, monety, medale, portrety Kopernika, przyrządy astronomiczne. Ażeby podnieść stan finansów Wołyński urządził loterię fantową. Nie przyniosła ona spodziewanych funduszy. Ze strony władz rzymskich nie miał Wołyński materialnego poparcia ani też ze strony fundatora Muzeum — Uniwersytetu Rzymskiego. Italia znajdowała się wtedy w trudnej sytuacji ekonomicznej po niedawnym swym zjednoczeniu.

Dnia 15.3.1879 zbiory przewieziono do Rzymu, do Ministerstwa Finansów, gdzie podzielono im dwie duże sale. Od 28.3 do 17.4 Wołyński urządził tu wystawę. Zwiędzili ją przedstawiciele rządu i parlamentu, uczeni i dziennikarze. Miała duży powodzenie wśród Włochów i cudzoziemców. Pisano o niej we wszystkich pismach włoskich. Dr Wołyński został przyjęty przez króla. Sprawa Muzeum stała się przedmiotem zainteresowania władz najwyższych. Zwołano Radę Ministrów, która miała rozstrzygnąć, czy Muzeum Kopernika ma stanowić oddzielną instytucję czy ma wchodzić w skład tworzonego wówczas Muzeum Odrodzenia Nauk. Król radził Wołyńskiemu, ażeby tymczasem organizował swe zbiory kopernikowskie i obiecywał poparcie finansowe rządu.

Przygotowywano stałe pomieszczenie dla Muzeum w Kolegium Rzymskim, gdzie znajdowało się Obserwatorium Astronomiczne. Na czerwiec 1879 roku planował dr Wołyński oficjalną inaugurację. Mieszkańcy Warszawy przygotowali na tę uroczystość medal z napisem łacińskim dookoła popiersia Kopernika: „Nicolaus Copernicus, astronomus polonus”. Tekst ten i polskość Kopernika potwierdził profesorowie uniwersytetów włoskich, w których kształcił się i wykładał Kopernik. Medal był złoty, wagi 200 gramów. Poza tym wybito 7 srebrnych medali, 130 brązowych i 50 cynowych. Dr Wołyński wydał w 500 egzemplarzach broszurę o medalach, Kopernika wraz z protokołami uniwersyteckimi stwierdzającymi polskość naszego astronoma. Wydał także we własnym opracowaniu mapę Prus Królewskich dla wykazania, że miejscem urodzenia Kopernika była polska ziemia. Dla uświetnienia inauguracji zostały też wydane w 100 egzemplarzach autografy Kopernika, kopie obrazów malarzy polskich i rzeźb znajdujących się w Muzeum.

W kraju panował entuzjazm.

Wszyscy czekali na inaugurację. Przyniesiono nowe dary, zbierano składki. Minister oświecenia na skutek energicznych starań Wołyńskiego wyznaczył 12000 lirów na restaurację lokalu muzealnego. W czterech przydzielonych salach Wołyński rozkładał i porządkował zbiory muzealne.

Inaugurację Muzeum musiał jednak odłożyć na późniejszy termin. Lokal nie był jeszcze przygotowany.

Ponieważ Komisja Kopernikowska przy Uniwersytecie Rzymskim wykazywała słabą działalność w sprawach Muzeum Kopernika, dr Wołyński, ażeby zabezpieczyć sytuację materialną Muzeum 8.6.1882 przekazał zbiory konserwatorowi rzymskiemu prof. Millosevichowi w urzędowym akcie donacyjnym. Sporządził przy tym inwentarz zbiorów i katalog. Muzeum zawierało wtedy 393 dzieła w 497 tomach, 153 broszury w 22 tomach, 102 medale, 107 monet — także z lat 1520—30, kiedy to Kopernik uścisnął rękę króla. Wskazywał na niego wizerunek na medalach, 33 obrazy, 17 przyrządów astronomicznych. Dr Wołyński postawił warunek, aby zbiory były umieszczone w lokalu na ten cel przystosowanym i udostępnione publiczności. Muzeum przyjęło nazwę Museo Copernicano ed Astronomico. Parlament włoski zatwierdził sumę 10 000 lirów na dokończenie restauracji lokalu i urządzenie Muzeum Kopernika w Kolegium Rzymskim. Potem jednak sumę tę skreślił, aby utworzyć fundusz na zwiekszenie armii i fortyfikacje. Był to okres zawartego przez rząd włoski trójpriemierza w r. 1882, odnawianego w latach 1887, 1892. Rząd włoski nie chciał popierać Muzeum jako instytucji polskiej, aby nie narazić się Bismarckowi. Okres ten odbił się niekorzystnie na pozycji materialnej emigrantów polskich, a także i Wołyńskiego. Był on zmęczony i chory. Myślał nawet o emigracji do Krakowa. Jednak, gdy w roku 1883 z okazji zjazdu historyków przyjechał do kraju, znalazł ludzi odmiennych. Uganianie się za zagroźnikami — to ideał teraz — pisał — jego kolegów z 1863 i 64 r. Uczestnicy powstania — podobnie stwierdzał w swych Pamiętnikach Bolesław Limanowski — zmuszeni byli starać się o środki do życia i pozostawali pod „ciągłym nadzorem oka szpiegowskiego”.

Po powrocie do Italii Wołyński podjął starania o nominację na dyrektora Muzeum Kopernika. Otrzymał ją 7.10.1885. Zachęcony pomyslnym załatwieniem sprawy podejmując nowy plan — założenie Biblioteki Polskiej przy Muzeum, biblioteki historyczno-artystycznej, niezależnej od specjalistycznej biblioteki muzealnej. Miała ona



świadczyć przed światem o życiu literackim kraju. Nawiazali stosunki korespondencyjne w tej sprawie z Ossolineum, ze swoimi przyjaciółmi w Krakowie, Lwowie, Warszawie. Niektórzy rodacy jak Lenartowicz, Brochocki ofiarowali swoje książki — po paręset tomów — a Wołyński 1600 tomów swego księgozbioru. Dzięki energicznemu jego zabiegom pod koniec tego roku biblioteka liczyła już ponad 2000 tomów. Miała ona połączyć się z Muzeum.

Działalność Wołyńskiego zyskiwała coraz większy rozgłos. We wrześniu 1885 r. Wołyński otrzymał telegram od Kongresu Meteorologów w Turynie z wyrazami uznania „dla znacznej, śmiałej oraz inteligentnej inicjatywy przy organizacji Muzeum Kopernika”. Kongres uchwalił zwrócić się do króla, aby wziął pod bezpośrednią opiekę i swoją protekcję „tak ważne i patriotyczne dzieło Polaków, a także do ministerstwa włoskiego, aby „przyspieszyło ostateczne urządzenie Muzeum zapewniając mu utrzymanie i należyty rozwój”.

Sytuacja Muzeum pod względem finansowym zapowiadała się coraz pomyślniej. Rząd włoski zapewnił stałe fundusze na utrzymanie Muzeum i jego pracowników.

W r. 1886 miała się odbyć zapowiadana już kilka razy inauguracja, ale rząd włoski dawał do zrozumienia Wołyńskiemu, że wszelkie manifestacje patriotyczne polskie mogłyby zaszkodzić Włochom wobec Bismarcka.

W maju 1886 r. Wołyński ułożył „cykularz” dla rozpowszechnienia wśród instytucji naukowych włoskich, w których proponował ażeby w rozszerzonym Muzeum Kopernika zbierać wszystkie dowody tego, „czego dokonały inne narody, a przede wszystkim Italia w dziedzinie nauk ścisłych” zwłaszcza w astronomii. Nie pozostało to bez echa. Zbiory muzealne powiększyły się do ok. 3000 tomów i poza tym do ok. 5.000 ztychów. Wśród ofiarodawców byli także Polacy. Dr Wołyński był zmuszony w r. 1888 przenieść księgozbiór do sąsiedniej Katedry Rzymskiej Biblioteki Casanateskiej. Chciał również skompletować katalog Muzeum i Biblioteki — ok. 8000 kartek. Jednak od r. 1890 czuł się coraz gorzej. Postępująca choroba płuc, nieodpowiednie warunki życia spowodowały jego śmierć 28.4.1893 r.

Po śmierci Wołyńskiego ministerstwo włoskie wprowadziło wspólny inwentarz dla Obserwatorium w Kolegium Rzymskim i dla Muzeum. Obserwatorium to połączyło się z drugim obserwatorium w Rzymie i razem utworzyły jedno Obserwatorium Astronomiczne Rzymu. Wystąpiły trudności lokalowe, więc zbiory muzealne przeszły w r. 1925 w czasowy depozyt do innego lokalu. I wreszcie w 1933 r. zostały przeniesione do willi Mellini na Monte Mario (najwyższe wzniesienie w mieście) w niekiedy narku. Kalendarz Obserwatorium Astronomicznego z r. 1933 informuje, że Muzeum, „klejnot rzymskich obserwatoriów” posiadał wówczas bibliotekę rzadkich, książek ze starożytnej astronomii... bogatą kolekcję cymeliów, odnoszących się do M. Kopernika” z pierwszymi wydaniem jego dzieł (1543) i Galileusza. (Wołyński napisał kilka prac naukowych o Galileuszu).

W 1933 r. dzięki specjalnym dotacjom Ministerstwa Oświecenia Publicznego lokale na Monte Mario zostały odrestaurowane.

Dnia 28.10.1938 odbyła się tu inauguracja Obserwatorium i Muzeum Astronomicznego. Na uroczystości obecny był minister oświecenia publicznego i polski ambasador. Mimo że odbyła się ona w „przeziębnych i oświeczonych salach” przesłała niepostrzeżenie bez pełnej blasku świetności, o jakiej marzył Wołyński.

Owczesne piśmienne relacje pracownika Obserwatorium nie omiatały zasług Wołyńskiego jako organizatora Muzeum: „znakomity zbieracz polski Artur Wołyński” pozostawił Rzymowi „uporządkowany zbiór cymeliów nieporównanej doniosłości. Muzeum Astronomiczne i Kopernikowskie, które razem z biblioteką zajmują całe piętro budynku (12 obszerne sal) jest może najważniejszą ze zbiorów tego rodzaju rozproszonych po całym świecie”.

W sprawozdaniu Obserwatorium Astronomicznego z r. 1956 jest opis oświecenia Muzeum i jego Biblioteki. Znajduje się na pierwszym piętrze z wejściem przez szeroki hall, gdzie są „posady oraz popiersia Kopernika i innych astronomów”. „Muzeum Astronomiczne Rzymu posiada bibliotekę astronomiczną, liczną i ważną cy-

melią ze starych obserwatoriów Rzymu; obrazy, pamiątki, broszury dotyczące Kopernika pochodzą z daru Wołyńskiego”. „W zbiorze kopernikowskim po za pierwszymi wydaniem dzieł wielkiego astronoma są obrazy, w szczególności obraz Lessera przedstawiający śmierć Kopernika, kilka popiersi marmurowych, Kopernika i zbiór medali wybitnych na cześć znakomitego założyciela astronomii nowoczesnej”.

Najnowsze informacje z r. 1959 stwierdzają, że w hallu na pierwszym piętrze, przy wejściu umieszczono tabliczkę informującą, że „Muzeum Astronomiczne i Kopernikowskie jest dostępne publiczności w poniedziałki, środy i piątki od 9 do 13 za pozwoleniem Dyrekcji. Wejście bezpłatne.” Naprzeciw wejścia w hallu znajduje się popiersie Kopernika na marmurowym piedestale z napisem: „Fundatores Musei Varsaviensis, terra, civitas et universitas”. Z prawej i lewej strony marmurowej podstawy są w dwóch kolumnach nazwiska Polaków — założycieli zgrupowane według prowincji Polski: Lithuani, Ukrainenses, Podolienses, Volinienses, Cuiavenses, ażeby stanowić do intencji Wołyńskiego ukazać światu etnograficzne i historyczne granice Polski i żywy udział Polaków w sprawach kultury i cywilizacji.

Biblioteka Muzeum mieści się w sali z dwoma rzędami oszklonych szaf wypełnionych książkami w jęz. polskim, łacińskim, włoskim, francuskim i in. Są tu rękopisy Kopernika, drukowane prace Wołyńskiego, liczne artykuły z czasopiśm. Wszystkie książki są starannie oprawione w skórę czerwona i biała. Broszury także oprawione znajdują się w pudłach wianych. Wszystkie wydawnictwa posiadają białe-niebieskie super-exlibris z napisem w otoku „R(eale) Museo Copernicano”. Uderza niezwykła staranność Wołyńskiego w przechowywaniu kopernikanów. Po drugiej stronie sali bibliotecznej mieszczą się książki dotyczące historii Polski i literatury polskiej (ok. 2000 vol.) w celu rozszerzenia wiadomości — wg intencji Wołyńskiego — o dziejach ojczyzny wielkiego uczonego. W sali biblioteki znajdują się również obrazy, a także przyrządy astronomiczne. Zachowany jest podobno inwentarz tych zbiorów i katalog kartkowy sporządzony przez Wołyńskiego.

Owczesny dyrektor Obserwatorium dr Massimo Cimino jako astronom niewiele interesował się Muzeum. Brak jest konserwatora i bibliotekarza. Wg jego informacji Muzeum nie jest udostępniane. Zbiory muzealne są nie uporządkowane, zbiór Wołyńskiego został przemieszany z materiałami innego pochodzenia. Aktualne zainteresowania Obserwatorium idą w innym, technicznym, a nie historycznym kierunku. Dotychczas żaden z naukowców nie interesował się dziejami zbiorów Wołyńskiego i nikt nie korzystał z pozostałych po nim materiałów.

Władysław Mickiewicz w swych Pamiętnikach nazwał dzieło Wołyńskiego odważnym przedsięwzięciem. Jeżeli w okresie ochłodzenia stosunków polsko-włoskich i promiećniczej polityki rządu włoskiego akcja Wołyńskiego zyskała wśród sfer intelektualnych, włoskich tak wielkie uznanie — stwierdza — to przyczyną tego leży, tylko w doniosłości dzieła.

Muzeum Kopernika powstało z poświęcenia entuzjasty, z miłości wymagająca do utraconej ojczyzny. Wsparła go ofiarność Polaków w kraju i rozproszonych po świecie.

Jeżeli — jak mówi dyrektor Obserwatorium na Monte Mario — nikt nie interesuje się zbiorami Wołyńskiego, a astronomowie włoscy siedzą raczej w gwiazdach i bezcenne unikatki zbiorów Wołyńskiego w tej sytuacji niszczą — czy nie należałoby zwrócić się do Dyrekcji Obserwatorium o przekazanie ich Polsce, zwłaszcza wobec ostatecznego wyniszczenia naszej kultury po najęździe hitlerowskim? Czy nie powinien się tym zająć Uniwersytet Jagielloński czy też jego Biblioteka, która przechowuje wiele materiałów także rękopiśmiennych po doktorze Arturze Wołyńskim.

NATALIA CANOVA

Premiera za dwa miesiące

26 stycznia 1984 r. Sejm PRL uchwalił ustawę „Prawo Prasowe”.

Przypomnijmy, że projekt prawa prasowego został opracowany przez rząd w wyniku rezolucji Sejmu podjętej w dniu 31 lipca 1981 roku. Projekt ten przygotowywany był przez okres 2 lat i przedłożony został Sejmowi na 38 posiedzeniu w dniu 14 lipca 1983 r.

Obecny kształt ustawy jest wynikiem prac trzech komisji sejmowych: Kultury i Sztuki, Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości oraz Komisji Prac Ustawodawczych. Ustawa wchodzi w życie z dniem 1 lipca 1984 r. i została już opublikowana w Dzienniku Ustaw Nr 4, poz. 24.

O skomentowanie istotniejszych rozwiązań prawnych i wyjaśnienie mogących rodzić się wątpliwości, redakcja zwróciła się do doc. dra hab. Bogdana Michalskiego, dyrektora Instytutu Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.

— Co w nowym prawie prasowym jest nowego? — Jeżeli spojrzeć się na obowiązujące w Polsce ustawodawstwo, to można zauważyć, że w tej ustawie jest bardzo wiele nowych rozwiązań prawnych.

Najważniejszym z tych zagadnień, które zostały podniesione do rangi ustawowej — jest prawo do informacji, czyli uprawnienia dziennikarza do uzyskiwania informacji od określonych organów państwowych i innych jednostek organizacyjnych. Podstawowe postanowienia określające uprawnienia i obowiązki dziennikarza i udzielających informacji zawarte są w art. 4 ustawy.

O ostatecznym kształcie prawa prasowego trudno w tej chwili jeszcze mówić, bowiem w toku opracowania są jeszcze przepisy wykonawcze, które w najbliższym czasie powinna wydać Rada Ministrów.

Jeżeli zaś chodzi o prawo do informacji, to nową instytucją jest także dawalo idąc możliwość uzyskiwania informacji od każdego obywatela, niezależnie od jego miejsca pracy i przedmiotu tej informacji. Oczywiście obywatel udzielający informacji nie może przekroczyć granic prawem dozwolonych (art. 5 ustawy).

Daleko idącą jest także ochrona tajemnicy zawodowej dziennikarza; myślę, że jest ona bez precedensu w skali światowej. Obecnie w Polsce ochrona tej tajemnicy zawodowej sytuowana została na trzecim miejscu po prawnych gwarancjach dla tajemnicy powiadacza i adwokata.

Prawo prasowe przewiduje jednak (jako wyjątek od zasady) możliwość zwolnienia dziennikarza od obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej w odniesieniu do informacji dotyczących przestępstw określonych w art. 254 kodeksu karnego oraz w przypadku, gdy autor lub osoba przekazująca taki materiał wyłącza do wiadomości dziennikarza wyrazi zgodę na ujawnienie tajemnicy. To byłoby drugie nowe rozwiązanie prawne.

Trzecie, bardzo istotne z punktu widzenia polskiego ustawodawstwa, to powstanie Rady Prasowej. Organ ten będzie jak gdyby swego rodzaju sejmem prasowym. Jeżeli spełni on nadzieje ustawodawcy, to może być bardzo istotnym elementem wspierającym rozwój prasy w Polsce, jak również organem chroniącym prasę przed uszczuplaniem jej niezbędnych gwarancji, które pozwalają prasie spełniać jej zadania przewidziane głównie w art. 1 ustawy. Rada Prasowa może przyczynić się także do pogłębienia pluralistycznego charakteru prasy. Pluralizm ten gwarantuje art. 2 prawa prasowego; mówi się tam o zróżnicowaniu m. in. pod względem prezentowanych postaw. Postawa swoim zakresem obejmuje także światopogląd, jest więc pojęciem odcień szerszym.

Mówiąc o uprawnieniach prasy należy pamiętać że — jak wszędzie na świecie — nie mogą one wykraczać poza konstytucyjne granice wolności słowa i druku. Pamiętać trzeba również i o tym, że wszelkie ograniczenia tej wolności nie powinny przekraczać oczywiście niezbędnej społecznej potrzeby.

Wspomniał Pan o pewnych nadziejach związanych z powołaniem Rady Prasowej. Przypomnijmy, że ustawodawca sytuuje tę Radę przy Prezie Rady Ministrów — a więc przy organie administracji państwowej. Również — zgodnie z delegacją ustawową — Prezes Rady Ministrów określa szczegółowy zakres działalności tej Rady, tryb jej powoływania oraz kształtuje ostatecznie jej skład ilościowy i osobowy.

Czy przy takim kreacyjno-strukturalnym usytuowaniu Rady Prasowej, będzie ona mogła być rzecznikiem prasy (i dziennikarzy) wobec administracji, czy też będzie tylko reprezentantem interesów prasy wobec prasy?

Idąc dalej, można przypuszczać, że prasowa krytyka negatywnych zjawisk życia społecznego i gospodarczego, za które to nieprawidłowości w dużym stopniu zawsze odpowiada administracja, będzie skutecznie przez tę Radę hamowana. Przecież nikt nie przyjmie chętnie publicznej krytyki swej wadliwej działalności.

Ja byłem zwołanym podporządkowaniem Rady Prasowej Radzie Państwa, a to w celu zachowania pewnej „symetrii” z urzędem kontroli, publikacji i widowisk podporządkowanym właśnie Radzie Państwa.

Zwyczajowo inne stanowisko. Uzasadniono je tym, iż usytuowanie Rady Prasowej przy Prezie Rady Ministrów daje jej możliwość oddziaływania na administrację. Jest to przecież ze swej istoty organ wnioskujący i doradczy, w stosunku do którego Prezes Rady Ministrów nie ma żadnych uprawnień typu administracyjnego.

— Aby móc oddziaływać skutecznie i bezstronnie, trzeba posiadać prawne gwarancje suwerenności.

— To, o czym Pan mówi, jest raczej kwestią bardziej formalnego ujęcia tych współzależności. Istota rzeczy bowiem polega na tym, że Rada Prasowa będąc usytuowana przy Prezie Rady Ministrów, będzie mogła bezpośrednio oddziaływać na rząd i tym samym zrobić więcej, niż gdyby to czyniła za pośrednictwem Rady Państwa. Odnosnie tej kwestii muszę powiedzieć, że nie mam jeszcze jednoznacznie wyrobionego poglądu, gdyż istniejące rozwiązanie prawne można teoretycznie uzasadnić na tak i na nie. Praktyka pokazuje jak będzie naprawdę. W każdym razie podkreślam jeszcze raz: premier nie ma żadnych uprawnień władczych i administracyjnych w stosunku do działalności Rady Prasowej.

— Ustawa dość precyzyjnie określa prawa i obowiązki dziennikarzy. Czy w świetle tych unormowań pozycja prawna dziennikarza — choćby w odnies. niu do poprzednio obowiązującego porządku prawnego i praktyki — wzrosła, czy...?

— Ustawa określiła, czym jest zawód dziennikarski. Art. 10 określa dziennikarza jako swego rodzaju społecznych funkcjonariuszy informacyjnych. Zdają sobie jednak sprawę, że okre-

ślenie „funkcjonariusz” nie z dziennikarstwem się nam kojarzy. Dziennikarstwo obecnie to zawód, którego obowiązkiem jest służba społeczeństwu i państwu. To stwierdzenie jest istotne. Państwem nie jest minister, czy premier. Państwo jest pewną wartością nadrzędną (podobnie, jak i społeczeństwo). To sformułowanie jest pewnego rodzaju elementem gwarancji wykonywania zawodu dziennikarskiego.

Ustawa nadaje ponadto dziennikarzom duży prestiż społeczny, czyniąc ich swego rodzaju mandatariuszami społecznego zaufania. Mają oni prawo do uzyskiwania informacji niezależnie od tego, czy się to kierownikom danych jednostek organizacyjnych podoba czy też nie. Uzyskanie przez dziennikarza informacji są chronione przez prawo. Nie ma więc możliwości, aby jakikolwiek organ wezwał dziennikarza i mógł uzyskać od niego uzyskane informacje związane z wykonywaniem zawodu i powierzone przez różne osoby, chyba że chodzi o nielegalne czyny przestępcze przewidziane w art. 254 KK. Wzmocniona też została pozycja prawna dziennikarza krytykującego negatywne zjawiska życia społecznego i gospodarczego.

— Czy gwarancje chroniące zawód dziennikarski nie zlamia się w praktycznym działaniu przez fakt, iż „dziennikarz w ramach stosunku pracy, ma obowiązek realizowania ustalonej w statucie lub regulaminie redakcji, w której jest zatrudniony, ogólnej linii programowej tej redakcji”, zważywszy, że interpretacja i wykładnia tej linii wobec dziennikarza będzie należała jednoosobowo do redaktora naczelnego jako kierownika redakcji?

— Jeżeli chodzi o prawo pracy, dziennikarz ma obowiązek realizacji linii programowej redakcji, ale nie na zasadzie „wizymisji” redaktora naczelnego. Ten obowiązek musi wynikać jasno ze statutu bądź z regulaminu.

Dziennikarz narusza przepisy dopiero, gdy działa sprzecznie ze statutem lub regulaminem redakcji. Nie wyklucza to jednak jego prawa do krytyki i odmiennego zdania w ocenie konkretnego zjawiska.

— Ustawa nałożyła też na dziennikarzy i redaktorów szereg obowiązków...

— Tak, m. in. art. 12 zobowiązuje dziennikarza do zachowania szczególnej staranności i rzetelności przy zbieraniu i wykorzystywaniu materiałów prasowych, zwłaszcza sprawdzaniu zgodności z prawdą uzyskanych wiadomości.

Dziennikarz nie może także odmówić osobie udzielającej informacji autoryzacji doświadczonej wypowiedzi. Ustawa także w znacznym stopniu obowiązuje redakcję do bezpłatnego publikowania sprostowań i odpowiedzi. Jasne jest, że chodzi tu o sprostowania rzeczowe i odnoszące się do faktów.

Instytucja sprostowań była znana i dość dobrze opracowana już w dekrecie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 21 listopada 1938 r., lecz dekret ten nie przewidywał prawa do odpowiedzi. Natomiast obecnie można polemizować z twierdzeniami, które zagrzają do dobrego osobistym. Ta nowa instytucja zacierpięta została z rozwiązań państw romańskich i niewątpliwie przyczyniła się ona w istotny sposób do poprawy pozycji Obywatela wobec mass mediów. Obligatoryjność sprostowań i odpowiedzi wobec Obywateli i osób prawnych jest swego rodzaju sankcją wobec redakcji czy konkretnego dziennikarza za pewną nierzetelność w przekazywaniu informacji do publicznej wiadomości.

— Instytucja sprostowań i odpowiedzi stanowi swego rodzaju profilaktykę...

— Tak... a nawet i coś więcej. Obowiązek publikowania sprostowań i odpowiedzi stanowi pewną represję etyczną wobec autora nierzetelnych informacji.

— Wróćmy może do rozwiązań ustrojowo-strukturalnych organów prowadzących działalność prasową. Z ducha i litery tej ustawy (i nie tylko tej) wynika prawo do krytyki. Czy obecne usytuowanie radia i telewizji w strukturze organów administracji państwowej i podporządkowanie Komitetu do Spraw Radia i Telewizji Prezowi Rady Ministrów — nie ograniczy krytyki społecznej prowadzonej za pośrednictwem radia i telewizji? Krytyka społeczna jest jedną z form kontroli społecznej nad aparatem władzy. Czy można swobodnie krytykować kogoś, kto nadzoruje i posiada władzę nad krytykującym?

— Prawo prasowe, ustawa o Polskiej Agencji Prasowej oraz ustawa o kontroli publikacji i widowisk — to dopiero początek kompleksowej regulacji prawnej działalności w dziedzinie publikacji i upowszechniania kultury.

W najbliższym czasie można się spodziewać prac kodyfikacyjnych nad: prawem autorskim, prawem wydawniczym, ustawą o radiu i telewizji. W jakim kierunku pójdą dalsze rozwiązania prawne, trudno dziś przewidzieć. Zależać to będzie od wielu czynników, w tym także od sytuacji politycznej i to nie tylko w naszym kraju, ale w Europie i na świecie.

Jednak, jak to dowiódł ostatnio przykład Francji, żaden rząd nie chce całkowicie zrezygnować z radia i telewizji na rzecz innych podmiotów.

— Jakie przesłanki przewały za przyjęciem systemu koncepcyjnego (zezwoleń) na prowadzenie działalności wydawniczej lub nakładowej, a nie systemu zgłoszeniowego (rejestracja już prowadzonej działalności)?

— To są sprawy w gruncie rzeczy mające mniejsze znaczenie, niż się w istocie pozornie wydaje. Myślę że w poruszonym tu dziedzinie nie jest najważniejszy system, jaki został przyjęty, lecz jak on będzie funkcjonował w praktyce. Bardzo ważną sprawą jest to, że każda decyzja urzędu kontroli publikacji i widowisk w tym przedmiocie może być zaskarżona do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Wbrew powszechnie przyjmowanym stereotypom — urząd ten nie wygra wszystkich spraw przed NSA.

U nas zbyt często i zbyt wiele jest obaw przed jakimikolwiek elementami administracji życia społecznego. Obawy te w dużym stopniu podzielił Sejm, wprowadzając bezwarunkową kontrolę wszystkich decyzji zapadających w sprawach prasowych. Materia objęta regulacją ustawową prawa prasowego może w praktyce rodzić wiele kłopotów choćby z tego powodu, że zarówno środowisko prawnicze, jak i dziennikarskie nie jest do tych nowych rozwiązań dobrze przygotowane.

Sześciomiesięczny okres między wydaniem ustawy a wejściem jej w życie, pozwolił jedynie na wstępne zapoznanie się z jej treścią.

— Art. 23 ustawy dopuszcza możliwość cofnięcia zezwolenia na prowadzenie działalności prasowej m. in. z powodu systematycznego lub rażącego naruszania w prasie przepisów niniejszej ustawy lub innych ustaw. Czy zbyt częste dokonywanie ingerencji cenzorskich — w świetle tego przepisu — może być powodem uzasadniającym cofnięcie zezwolenia?

— Myślę, że przepis ten może budzić wiele nieporozumień, do czasu ustalenia się jego wykładni w Naczelnym Sądzie Administracyjnym. Jeśli treść materiału złożonego do publikacji stanowi naruszenie prawa — to urząd kontroli publikacji i widowisk jest właśnie w tym celu powołany, aby skutecznie tej publikacji przeszkodził, ale nie w sposób prowadzący do likwidacji organu prasowego. Zresztą nie to było intencją ustawodawcy. Cofnięcie zezwolenia mogłoby być rozważane wówczas, gdy wiązałoby się ono z uzasadnionym zarzutem stałego przekraczania linii programowej, zmiany profilu pisma itp. Moim zdaniem sama tylko ilość ingerencji cenzorskich nie może być podstawą do cofnięcia zezwolenia.

— Ustawa wchodzi w życie z dniem 1 lipca br. Zawiera szereg delegacji dla Rady Ministrów, Prezesa Rady Ministrów i Ministra Sprawiedliwości odnośnie wydania stosownych aktów wykonawczych. Dotąd żaden z tych aktów nie ukazał się w Dzienniku Ustaw.

— Prace nad redagowaniem aktów wykonawczych są w toku. Sądzę, że zostaną one podjęte przez upoważnione organy w takim czasie, aby mogły być opublikowane jeszcze przed wejściem w życie prawa prasowego.

Rozmawiał: MARIAN STRZELECKI

— Czy jest pan zadowolony ze służby zdrowia w Łodzi?
— Nigdy nie jest tak, aby człowiek był w pełni zadowolony z tego, co robi.

— Z czego więc nie jest pan zadowolony?

— Ze stanu posiadania łódzkiej służby zdrowia. Nie mogę bowiem powiedzieć, abym był w pełni zadowolony z bazy materialnej. To znaczy z zaplecza łódzkiej służby zdrowia, wyposażenia jej w aparaturę diagnostyczną, a to wszystko składa się na jakość udzielanej pomocy. Choć i w tej dziedzinie następuje wyraźna poprawa, czego przykładem jest uruchamianie właśnie tomograf komputerowy w Szpitalu im. Kopernika.

— Z czego jest pan zadowolony?

— Z ludzi. Nie wszystkich oczywiście, bo jak w każdym środowisku, tak i w służbie zdrowia zdarzają się wyjątki. Ale proszę pamiętać, że w naszej służbie zdrowia, razem z wyższymi uczelniami i resortową służbą zdrowia pracuje przeszło 30 tysięcy osób. Otóż mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że jako lekarz wojewódzki jestem w stanie uruchomić cały potencjał łódzkiej służby zdrowia w ciągu kilku godzin. A więc jest to środowisko posiadające zdolność pełnej mobilności. Ludzie pracujący w służbie zdrowia są na posterunku przez całą dobę. Na przykład w Łodzi rodzi się dziennie około 50 noworodków, z tego trzy czwarte w nocy.

— Niedawno, w programie publicystycznym poświęconym służbie zdrowia, a emitowanym przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny, mówił pan o tym, jakie to wielkości stanowi łódzka służba zdrowia. Czy mógłby pan to teraz powtórzyć?

— Nie mówię tego, aby się chwalić. Wydaje mi się po prostu, że ludzie nie zawsze są w stanie sobie to wyobrazić. Jak już mówiłem, jest to 30 tysięcy ludzi pracujących w dzień i w nocy, przez całą dobę bez przerwy. Apeki są też jedyną siecią handlową czynną całą dobę. Służba zdrowia dysponuje największą kuchnią, pralnią i jednym z większych przedsiębiorstw transportowych. Kuchnie służby zdrowia wydają dziennie przeszło 75 tysięcy posiłków, dla porównania — gastronomia około 30 tysięcy.

Służba zdrowia obejmuje swoimi poradami 99 procent ludności. Poradami bezpłatnymi — trzeba podkreślić. Liczba rocznych kontaktów lekarzy z pacjentami wynosi kilkanaście milionów. Tylko w rejonach jest to dziennie ponad 43 tysięcy porad, przeszło 1.500 wizyt domowych, 9.000 porad dentystrycznych, 2.000 osób odwiedzanych dziennie przez pielęgniarki środowiskowe. Do tego trzeba dodać tysiące kontaktów lekarzy i pielęgniarek w szpitalach.

— Słusznie pan powiedział, że ludzie nie są w stanie sobie tego wyobrazić. I chyba nigdy nie będą. Przecież jak człowiek idzie do lekarza, to go przede wszystkim i wyłącznie interesuje jego dolegliwość i martwi się, jak go potraktują w przychodni, czy lekarz i pielęgniarki będą mieli tyle czasu, ile — według jego mniemania — wymaga jego stan zdrowia. Co go wtedy obchodzi, że służba zdrowia obejmuje 99 procent wszystkich ludzi, że jest to gigantyczne przedsiębiorstwo, mające swoje kłopoty i niedogodności. Jego to nie nie obchodzi. I trudno mu się dziwić. Dlatego, aby przedstawić przez pana obraz był pełny, zapytałem o ilość skarg.

— Jako lekarz wojewódzki skargi przyjmuję we wtorki, ale telefony z miasta łączą do mnie codziennie, nie tylko we wtorki, więc właściwie skargi przyjmuję przez cały tydzień. Rocznie napływa do mnie 100—200 skarg. Do tego trzeba dodać kilkadziesiąt skarg, które wpływają w ciągu roku do poszczególnych ZOZ.

— Jakże to są skargi?

— Bardzo różne. Opowiem pani na przykład ostatni przypadek. Właśnie miałem telefon. Dzwonił pan, któremu zachorowała żona i musiał wezwać pogotowie. Przyjechała karetka i cała obsługa wraz z kierowcą weszła do mieszkania. Mąż był tak przejęty chorobą swej żony, że nie bardzo widział, co się dzieje. Dopiero po wszystkim usłyszał sobie, że jego żona musiała się rozbić przy kierowcy karetki pogotowia, co nie powinno mieć miejsca. Czy to była skarga? Tego bym tak nie potraktował. Ten pan zwrócił nam uwagę na pewną niewłaściwość. Po prostu ani lekarz, ani pielęgniarka, ani kierowca nie pomyśleli o tym, że kontakt lekarza z pacjentem wymaga intymności, której nie wolno naruszać.

— Czy pana zdaniem pacjent społecznej służby zdrowia w każdym przypadku biegnie zaraz ze skargą?

— Nie sądzę, aby tak było.

— Przed audycją telewizyjną, o której już wspominałam, przeprowadzono sondę, w której pytano pacjentów zakładowych przychodni, co sądzą o swych lekarzach. Czy sądzi pan, że w takiej sytuacji pacjenci mówili prawdę? Przecież oni muszą wrócić do tego samego lekarza, o którym mieliby ewentualnie źle powiedzieć.

— Odpowiem pani na to tak. Jest takie obiegowe powiedzenie, że ze służbą zdrowia jeszcze nikt nie wygrał. Ale to samo mówi się o PKP, PKS, handlu i innych jeszcze zawodach. Jest pani w błędzie, jeśli pani sądzi, że pacjenci nas chronią przed krytyką, bo boją się odwetu. Ludzie są już dziś nauczeni domagać się i żądać, i nie ma żadnej siły, która by ich przed tym powstrzymała. Trudno mówić o pacjentach, że są łagodni jak baranki.

— Też chyba pan uogólnia.

— Dobrze. Założmy, że ilość skarg podana przeze mnie jest zaniżona. Pomnożmy ją przez 10. Będzie więc tych skarg kilka tysięcy. I co? Jaki to jest procent w stosunku do kilkunastu milionów kontaktów, jakie służba zdrowia ma rocznie?

— Skoro już mówimy o procentach, to może powie pan, jaki procent wnieszonych skarg znajduje potwierdzenie?

— Około 35 procent.

— Czy wśród tych, które znalazły potwierdzenie są też takie, które dotyczą pobierania opłat za bezpłatne porady?

— Tych jest mało. Być może dlatego, że pacjenci skarżąc się na lekarza, który wziął, postawiliby się też w złym świetle, jako ci, którzy dają.

— Ale z drugiej strony — muszą pani powiedzieć — że my obserwowujemy inne zjawisko. Wielu pacjentów wręcz wymusza różne bezpłatne usługi, które — ich zdaniem — im się należą. Dotyczy to bezpodstawnego wzywania pogotowia, w tym pogotowia do chorych dzieci. Byli niedawno w Łodzi lekarze ze Szwecji. Bardzo się temu dziwili. Pytali nawet, jaki jest stosunek kosztu przewozu dziecka do lekarza pogotowiem, czy wezwania pogotowia, a zawiezienia dziecka taksówką. Różnica jest niewątpliwie i to na niekorzyść służby zdrowia. Dotyczy to też przewozu chorych, że szpitala do domu, że szpitala czy z domu do sanatorium itp. Staramy się ograniczać te usługi tylko do niezbędnych wypadków. Musimy oszczędzać paliwo. Już zmniejszaliśmy jego zużycie o 3—4 procent, co może się wydawać mało, ale w skali łódzkiego województwa miejskiego jest to już poważna oszczędność.

— Byłoby też dobrze, gdyby ludzie zechcieli zrozumieć, że pogotowie należy wzywać tylko w niezbędnych wypadkach. I to już nie ze względu na oszczędność paliwa, tylko z tego powodu, że w tym czasie gdzieś naprawdę może być potrzebna dla ratowania ludzkiego życia, a zajęte jest blahymi sprawami.

— Ma pan niewątpliwie rację. Ale chory też ma rację, kiedy niepokoi się o swoje zdrowie i uważa, że nie ma na świecie nic ważniejszego niż jego choroba, z którą trzeba walczyć. On wtedy nie ma czasu myśleć o wielkich rzeczach, wielkich sprawach, on myśli tylko o swoim zdrowiu i nie wolno się temu dziwić. Pewnie, że taki chory jest przeważliwy. Ale, czy zawsze znajduje on właściwą opiekę, właściwe starania w rejonowej przychodni?

— Wiemy, że nasza służba zdrowia ma też słabe ogniwa. Jednym z nich jest współzależność między lekarzem rejonowym a lekarzem specjalistą. Lekarz rejonowy powinien korzystać z pomocy specjalisty głównie jako konsultanta. Ma wątpliwości, wysyła więc pacjenta do specjalisty, który te wątpliwości rozwiewa swoją diagnozą, a lekarz rejonowy dalej pacjenta leczą.

— Ale tak nie jest.

— Nie.

— Dlaczego?

— To dość skomplikowana i złożona sprawa. Zaczniemy może wyjaśniać ją od końca. Czy chciałaby pani być 60 pacjentem u lekarza rejonowego?



Foto: M. Zajdler

Pacjenci nie chronią nas przed krytyką

Rozmowa z lekarzem wojewódzkim, dyrektorem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi — RYSZARDEM MACHNIKOWSKIM.

— Nawet nie 35.

— No, właśnie. A bywa przecież tak, że na rejon przychodzi 60 pacjentów i wszystkich trzeba przyjąć. Wtedy w sprawach nieco bardziej skomplikowanych wysyła się chorych od razu do specjalisty na leczenie. Bo to zajmie lekarzowi rejonowemu mało czasu. To jedna sprawa.

— Druga — to ustawodawstwo. W niektórych przypadkach po prostu wymagane są badania specjalistyczne i lekarz rejonowy spełnia jedynie to, co mu nakazują przepisy, chociaż lekarz takiej potrzeby może nie widzieć.

— Trzecia — to sposób kształcenia. Akademickie medyczne — mówią najogólniej — przygotowują przede wszystkim specjalistów. Mielimy do niedawna tych specjalistów aż 70, a na przykład Szwecja ma ich niewiele ponad 30. Niezbędna więc jest reforma kształcenia lekarzy i przygotowuje się ją. Przewiduje się, że studia nie będą dawały prawa do wykonywania zawodu. Po ukończeniu wydziału lekarskiego trzeba będzie zdać egzamin z medycyny ogólnej i dopiero zdobyć prawo do specjalizacji i wykonywania zawodu.

— Czwarta sprawa — to stosunek pacjentów do lekarzy w rejonowych przychodniach. Powiedzmy, że ktoś ma chore gardło, ale nie jest nie groźnego i lekarz rejonowy może z powodzeniem podjąć się leczenia. Ale pacjent jest innego zdania. On uważa, że tylko laryngolog może mu pomóc i domaga się skierowania do specjalisty. Albo po prostu sam idzie bez skierowania.

— Zawsze może pójść po poradę do lekarza w spóźniełni.

— Ale tam trzeba zapłacić.

— Niektórzy wolą płacić, bo uważają, że lekarz w spóźniełni lepiej się nimi zajmie. I co w tym jest.

— To się w jakiś sposób wiąże z piątą sprawą, czyli z materialnym zainteresowaniem. My dopiero teraz myślimy nad tym, aby stworzyć taki system plac, który pozwalałby lepiej zarabiać temu, kto lepiej pracuje.

— Były przecież prowadzone eksperymenty.

— Tak. Był to eksperyment z wolnym wyborem lekarza i zależną od tego wysokością jego zarobków. Dokładnie to wyglądało tak. W jednym wariancie pacjent zapisywał się na rok do lekarza. W drugim — w wieloosobowej przychodni mógł w każdym wypadku wybierać sobie dowolnego lekarza. Placa lekarza była uzależniona od ilości pacjentów. Ale eksperymenty te miały ten mankament, że nie objęły średniego personelu medycznego.

— Jaki będzie los tych eksperymentów?

— Można oba warianty połączyć. Będą więc wprowadzone w życie, ale dopiero wówczas, gdy wprowadzimy motywacyjny system plac. Obecnie mamy w służbie zdrowia pierwszy etap regulacji plac, drugi jest zapowiadany i będzie on wprowadzany równoległe z systemem motywacyjnym.

— Była próba wprowadzenia instytucji lekarza domowego. Dawano lekarzom mieszkania na nowych osiedlach, aby tylko zajmowali się jego mieszkańcami. Co z tym?

— To już nie funkcjonuje. Idea lekarza domowego jest trochę sprzeczna z postępowaniem medycyny. Lekarz domowy miałby być kimś takim, kto leczy dziecko, rodziców, babcię, a jak trzeba to i poród odbierze. Obawiam się, że powrót do takiego modelu lekarza obniżyłby jakość lekarskich usług, a poza tym uniemożliwiłby korzystanie z nowoczesnej diagnostyki. A w tej dziedzinie postęp dokonuje się bardzo szybko i nie można z niego nie korzystać.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego lekarze spóźniają się do przychodni?

— Czy rzeczywiście tak często się spóźniają? Według naszych kontroli, trafiają się 2—3 przypadki spóźnienia. A dlaczego się spóźniają? Po prostu — lekarz idzie do przychodni po dyżurze. A dyżur był ciężki, oka nie można było zmrzyć. Jest to już druga doba bez snu. Cały czas w pracy. Ja to rozumiem. Pacjent nie musi. Jego to nie obchodzi. On czeka na lekarza wyczerpanego, zycielskiego, gotowego nim się wyłączać.

— A dlaczego lekarz musi pracować przez całą dobę bez przerwy? Przecież on musi być wypoczęty. On decyduje o życiu człowieka. Jego błąd może mieć nieobliczalny skutek dla życia drugiego człowieka. Czy to tak trudno zrozumieć?

— Ja to dobrze rozumiem. Ale są przyczyny niejako obiektywne, choć to może nie najlepiej brzmi. Przede wszystkim jest mało lekarzy. Brakuje ich w służbie podstawowej i w szpitalach. Dlatego lekarze muszą brać dyżury, bo musimy zapewnić ciągłość pracy służby zdrowia.

— Po drugie — jest to przymus ekonomiczny. Rozpiętość plac między średnią placą krajową a placą w służbie zdrowia jest

znaczna i pogłębia się. Ja tu mówię oczywiście o placu za etat. Lekarz, jeśli chce żyć na jakim takim poziomie, musi brać dodatkowe zajęcia.

— O i wszystkim!

— Chyba nie. Sądzę bowiem, że jakiś wpływ ma też fakt, że jakieś 60—70 procent pracowników służby zdrowia to kobiety.

— Bez wątpliwości. Są to bowiem urlopy macierzyńskie, choroby. Lekarze też chorują. Młode lekarki wychodzą za mąż i zaczynają myśleć o własnej rodzinie. To wszystko ma swój wpływ i znaczenie.

— Ale my, mając rozeznanie w przyczynach, musimy prowadzić odpowiednią politykę. Staramy się przede wszystkim umocnić podstawową opiekę zdrowotną — tę pierwszą linię styku lekarzy z pacjentami. To bardzo bulwersuje nasze środowisko. Proszę sobie wyobrazić, że asygnowały na samochody dajemy przede wszystkim tym, którzy pracują w podstawowej opiece zdrowotnej. Asygnowały nie dostają więc dyrektorzy szpitali, ZOZ, ordynatorzy, ludzie nauki. Im też są potrzebne samochody. Ale my musimy dokonywać wyboru, co nie wszyscy muszą koniecznie rozumieć.

— Do tej pory mówiliśmy głównie o lekarzach, a brakuje przecież też pielęgniarek. Dlaczego? Niedawno było ich pod dostatkiem.

— Zgadza się. Pod koniec lat siedemdziesiątych brakowało miejsc pracy dla pielęgniarek. Zastanawiano się wówczas, czy nie ograniczyć liczby miejsc w szkołach dla pielęgniarek. Na szczęście tego nie zrobiono. A potem przyszły różne socjalne udogodnienia. Wcześniej emerytury, urlopy wychowawcze. I dziś brakuje w łódzkim województwie miejskim 1.000 pielęgniarek. Dlatego, w każdym roku zwiększamy liczbę miejsc w szkołach, w tym roku — na przykład — o 300 miejsc. Wprowadzamy również szkolenie zawodowe dla pracujących. Tym systemem szkolimy 80 osób. Co prawda pielęgniarki wyrażają obawę, że może to doprowadzić do obniżenia prestiżu ich zawodu, ale musimy szukać różnych rozwiązań.

— Powiedział pan na początku naszej rozmowy, że jest pan zadowolony z ludzi, natomiast nie jest do końca zadowolony ze stanu posiadania. Miał pan chyba na myśli inwestycje. Co pan sądzi na przykład o tempie budowy Centrum Kliniczno-Dydaktycznego AM w Łodzi?

— Nie czuję się kompetentny, aby odpowiedzieć na to pytanie. Od tego jest zarząd inwestycji. Generalnie jednak, mam wielką satysfakcję z faktu, że Łódź to największy plac budowy w służbie zdrowia. W chwili obecnej wznoszone są dwa wielkie szpitale oraz ośrodki geriatry i pomocy społecznej. Jeszcze nigdy nie realizowano tak wielkiego programu. W roku bieżącym rozpocznie się też modernizacja i rozbudowa Szpitala im. H. Wolf.

— Drugi z tych wielkich szpitali to Centrum Zdrowia Matki. Czy sądzi pan, że będzie ono zbudowane w terminie?

— Tak. Wszyscy robią wszystko, aby tak było. Jest to nasza ambicja. Pragnę podkreślić, że przy przygotowaniu i realizacji tej inwestycji panuje znakomita atmosfera. Budowa Pomnika-Szpitala wykazuje raz jeszcze wielkie zaangażowanie ludzi zjednoczonych pasją wybudowania w terminie nowoczesnego obiektu służącego matkom i dzieciom polskim. Kompletnie wyposażenie dla tego szpitala. Kierujemy się przy tym taką zasadą: kupować tylko to, co ma gwarancję dobrego serwisu oraz dostępnych części zamiennych. Niech to nawet nie będzie najnowocześniejszy, ostatni krzyk medycznej techniki, ale niech działa przez lata, a nie stoi bezczynnie. Dlatego też bardzo ostrożnie przyjmujemy wszelkie dary i kierujemy się takimi właśnie kryteriami. Kupujemy u naszych producentów, w krajach RWPG oraz — w miarę posiadanych dewiz — na Zachodzie. Ostatnio otrzymaliśmy zapowiedź daru 1100 nowoczesnych łóżek dla chorych.

— Sytuacja w łódzkich szpitalach zmieniła się w chwili całkowitego uruchomienia tych trzech dużych obiektów. Nie wcześniej jednak, niż pod koniec lat 80. Ale przecież sypią się stare szpitale.

— Właśnie dzięki tym nowym obiektom powstanie możliwość remontowania starych szpitali. Chcemy w naszej praktyce zastosować taką metodę, jaka jest przyjęta w krajach wysoko uprzemysłowionych. Polega ona na tym, że zostawia się stare mury, jeśli się tylko nadają — i modernizuje się wnętrze. Jest to metoda znacznie tańsza niż budowanie szpitali od podstaw.

— Które szpitale już się do tego nie nadają?

— Nie mamy jeszcze pełnego poglądu w sprawie szpitali im. dr J. Brudzińskiego przy ul. Kosynierów Gdynskich oraz dr Radlińskiego przy ul. Drewnowskiej. Natomiast bez wątpienia będą musiały być remontowane szpitale: im. Heleny Wolf, który już jest do tego przygotowany, Szpital im. dr Pirogowa, dr F. Sonnenberga, dr K. Jonschera — niedługo będzie obchodził stulecie istnienia i pracy, im. N. Barlickiego, stary szpital w Pabianicach, Szpital Wojskowej Akademii Medycznej, Szpital im. dr Wł. Biegańskiego. Jak z tego widać program to bogaty i na wiele lat. Ale niezbędny. Wiele z tych szpitali jest w bardzo złym stanie. Niemal na granicy katastrofy.

— Niedawno przeczytałam w „Polityce”, że sprawa dodatkowej benzyny dla łódzkiego Pogotowia Prywatnego została pozytywnie załatwiona. Czy trzeba było aż interwencji „Polityki”, aby to załatwić?

— Sprawa została załatwiona nim się ukazał artykuł w „Polityce”. Ale to nie jest takie proste, jak by mogło się wydawać z boku. Wie pani o tym, że ilości paliwa zostały poważnie ograniczone. Obejmuje to także, choć w mniejszym stopniu, służbę zdrowia jako całość. Wewnętrzny podział musi być taki, aby całość sprawnie działała. Nie może brakować paliwa dla karetek pogotowia, ale też karetki pogotowia nie mogą służyć dla przygodnych pasażerów jako taksówki. Kontrolujemy je i wypłacamy wszelkie nieprawidłowości. Dokonałmy wymiany trzech czwartych taboru, w transporcie zastępujemy na przykład „żuki” samochodami marki „Avia” z CSRS z silnikami na ropę. Ograniczamy różne formy przewozów, gdzie to jest tylko możliwe, o czym już wspominałam. Daliśmy dodatkowe ilości paliwa dla lekarzy pracujących w Prywatnym Pogotowiu, choć wywołało to sporo pretensji. Koledzy argumentowali, że ci lekarze dodatkowo zarabiają i mają dodatkowe paliwo, a wielu lekarzy — ordynatorów, specjalistów, dyrektorów szpitali, którzy też muszą nieraz nagle, w nocy jechać do szpitala, dodatkowego paliwa nie mają w wystarczającej ilości.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć na zakończenie, co to są dzieje teraz z tymi wszystkimi uzdrowicielami? Skąd to się bierze? Czy nie jest to przypadkiem swoisty wyraz braku zaufania do oficjalnej medycyny?

— Może tak odpowiedzieć. Jest to również kryzys zaufania do medycyny. Jest to również skutek nadmiernej reklamy tego zjawiska. Jest to również wynik pewnej ciekawości. Jest to również skutek poszukiwania nadziei, ratunku w każdy możliwy sposób.

Niedoskonałość medycyny polega na tym, że nie do końca poznaliśmy obszar, na jakim przyszło jej działać. Nie wszyscy jeszcze wiemy i nie ze wszystkich chorobami potrafimy skutecznie walczyć.

Jaki natomiast powinien być stosunek lekarza do tego typu zjawisk? Po pierwsze — nie wolno ich firmować. Po drugie — nie wolno ludziom odbierać nadziei!

— Ale przecież takie bezgraniczne zaufanie do różnego rodzaju uzdrowicieli może mieć dla leczenia bardzo złe skutki.

— I często ma. Ludzie nie od dziś szukają ratunku w różnych pozamedycznych sposobach leczenia. A to cudowna herbata, a to jakieś cudowne krople, o których jedna pani opowiedziała drugiej pani i legenda biegnie dalej. Jeśli to jest za zgodą lekarza, jego wiedzą, jeśli to nie szkodzi, a może pomóc, choćby przez psychiczne nastawienie — to nie jest to takie groźne. Natomiast, gdy pełne zaufanie dla uzdrowiciela wiąże się z nagłym przerwaniem kuracji — wtedy to jest bardzo groźne. Wystarczy pójść na oddziały onkologiczne, aby obejrzeć straszne skutki bezmyślnej wiary w uzdrowicieli. Ale cóż, bardzo wielu Polaków wierzy dziś w cud, nie odnosi się to tylko do spraw zdrowia.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Temat współczesny

Agnieszka siedziała wśród swoich zabawek, a Makowski robił przepierkę pograżony w niewesołych rozmyślaniach. Czekając go jeszcze do poprawy stos klasówek i skarpetki małej, które należało pociąć na jutrzejszą gimnastykę. Od kilku dni żył nadzieją, że może Lidka się rozmyśli i zostawi mu córkę. Przecież brakowało niewiele i dzieciak wyśladowałby w szpitalu. Szok był ciężki, kiedy matka od blisko roku nie utrzymywała z nim żadnego kontaktu, chciała zabrać ją do siebie. Co chwila zostawiał pranie i bosy sędzią zajął się do pokoju. Nie zwracał zupełnie uwagi na krople wody kapące mu z rąk na podłogę. Z troską spoglądał na pobladłą twarzyczkę i podkrążone, głęboko zapadłe oczy. Wtedy najzupełniej niespodziewanie zadzwonił dzwonek. W drzwiach stanęła Lidka w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy MO. Przyszła w końcu wyegzekwować swoje prawa. Sąd przecież przyznał jej Agnieszkę, która teraz wystraszona tuliła się do jego kolan, czepiała dłoni. Nie pomogły namowy, ładna perswazja — nie chciała iść.

EDWARD BRYL

Zgodnie z prawem

Lidka oderwała ją prawie siłą i teraz pisała ubierała pośpiesznie. Milicjanci przysiadali się biernie. Tylko jeden odezwał się raz, zupełnie cicho:

— Może poczekamy do jutra, aż dziecko uspokoi się, albo pan sam je przyprowadzi...
Ale Lidka nie chciała nawet słuchać. Zdręczona, odrętwiała stała później przez chwilę z rękoma opuszczonymi bezwładnie wzdłuż tułowia patrząc na zamknięte drzwi, potem jak automat powrócił się do łazienki kończyć pranie. W nocy siedział nad zeszytami. Cerowanie skarpetek zostawił na jutro nie będą potrzebne.

Zasnął kamiennym snem starając się nie myśleć. Dawnie wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby okryć śpiącą obok Agnieszkę. Teraz tapczanik był pusty.

Kiedy się poznali, kończył już studia, Lidka była dopiero na początku drogi. Chodzili z sobą długo, pobrali się dopiero, gdy zaliczyła trzeci rok, on już pracował jako nauczyciel fizyki w szkole średniej i szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał mieszkanie po zmarłej ciotce, której był jedynym krewnym. Do małżeństwa pilnie właścicielka Lidki, Przeprowadziła się do niego z akademika i utrzymywała, że nie wypada, aby mieszkał bez ślubu. Co powie dzieliłby jej rodzice, znajomi? Nie nie miał przeciwko temu. Podobna mu się bardzo. Czysta, schludna, a nade wszystko skromna. Nie biegała jak jej koleżanki na tańce, po kawiarniach. Cały czas śledziła nad książkami. Zdolna była i pracować. Przekonał się o tym nie raz. Zaręczyny odbyły się skromnie w rodzinnym domu Lidki. Dał na zapowiedzi. Razem poszli na tę mszę. W domu dziewczyny na ścianach wisiało mnóstwo świętych obrazów. Zegnano się uroczystie przed każdym posiłkiem. A matka, zanim rozpoczęła nowy bochenek chleba, na spodniej skórze kreśliła nożem znak krzyża. Wszystkie wskazywało na to, że urodziła Lidka, wychowana po katolicku, podobnie zresztą, jak i on, będzie dobrą żoną.

Agnieszka urodziła się rok po ich ślubie. Była dorodnym i wyjątkowo zdrowym dzieckiem. Lidka do ostatnich chwil przed rozwiązaniem chodziła na uczelnię. Potem nawet nie chciała urlopu dziekańskiego. Po trzech miesiącach wróciła do przerwanych studiów i twierdziła, że jego belferka nie jest tak czasochłonna i ważna jak jej nauka. Bez protestów zgodził się. Nawet całkowicie zajął się domem, zakupami, dzieckiem, które zawoził i przywoził ze żłobka. Przez trzy lata rodzina utrzymywała się z jego skromnych nauczycielskich zarobków, nie przelewało się. Rodzice Lidki ratowali ich jajami, owocami, przywozili na zimę warzywa. Czasem trafiała się kura lub parę kilo rabanki, ale były to podarunki nader rzadkie. Wakacje spędzali oczywiście na wsi. Odrabiał w polu wszystkie te z serca plynące dary. Agnieszka biegła bosą po podwórku, Lidka, jak zwykle, nie wypuszczała książek z ręki. Idylla trwała do momentu ukończenia studiów żony. Uczelnią zaproponowała jej asystenturę. Przyjęła bez wahania. Zaczęły się delegacje, wyjazdy. Z miejsca wzięła się za robienie doktoratu. Coraz mniej czasu miała dla domu, rodziny. W ostatnim okresie miała prawie jej nie widywać. Wracała późno, wychodziła rano. Czasem zarywała nawet niedziele. Gospodarstwo domowe, wychowanie dziecka spadało całkowicie na Tadeusza.

Cios przyszedł pewnego jesiennego wieczora. Lidka wróciła niezwykle ożywiona. Zdawało mu się, że dla kurażu wypila nawet parę kieliszków. Oświadczyła krótko, że ich małżeństwo właściwie od początku jest nieporozumieniem, stanowiąc tylko przeszkodę w jej karierze naukowej. Na szczęście otrząsnęła się w porę. Znalazła też kogoś, kto potrafi ją zrozumieć, z kim będzie mogła wreszcie porozmawiać nie tylko o garach i dziurach w bieleńcu. Docent to nie nauczyciel szkoły średniej, wieczne zagoniony, zahakany. Powiedziała stanowczo, tonem wykluczającym wszelkie dyskusje:

— Tadeusz, odchodzę.
Zapakowała swoje ubrania, drobniaki w dwie walizki i poszła. O Agnieszkę nie wspominała nawet słowem, jakby zupełnie nie istniała. Cieszył się, że chociaż córka mu została. Potem nie próbowała żadnych kontaktów, zginęła prawie na rok. Przypominał mu ją tylko wezwania sądowe. Sprawę rozwodową założyła natych-

miast. W jego rodzinnym życiu zmieniło się niewiele. Zawsze przecież ona bałowała, a on i tak zajmował się gospodarstwem. Pewnie, że przeżywał to odejście i to jak. Ale nie rozdzierał szat i nie mógł sobie pozwolić na luksus rozpacz. Na każdym kroku śledził go uważne oczy Agnieszki, zresztą obowiązki w pracy i w domu, ten młyn, w jaki był wplątany, także nie dawał mu czasu na kontemplacyjne przeżywanie. Cierpiał zwozownie pomiędzy garami a praniem, uśmiechem Agnieszki i głupimi kawami, w domu, w pokoju nauczycielskim, na lekcji, w koleżce. Nie było w nim nic patetycznego, nic z bohatera, męczennika. Być może wypalił się już do cna, a jednak czasem był bliski załamania. Dobrze, że wtedy miał przy sobie Agnieszkę. W pracy oczywiście się nie zwierzał, ale koleżanki i tak wiedziały wszystko, zwyczajnie jak to baby. Toteż nie wzbraniał się, gdy pomagały mu czasem w zakupach czy innych czynnościach. Dla spokoju Agnieszki był gotów na wszystko.

Sprawy sądowe przyniosły mu wiele upokorzenia. Dowiedział się, że jest alkoholikiem, że nie interesuje się domem, dzieckiem, rodziną, że biega za kobietami. Zaszokowany bronił się uciążliwie, sam. Nie chciał nikogo wplątywać w swoje małżeńskie sprawy. Odmawiał przed wysokim sądem swoje rodzinne życie, obowiązki — krótko, konkretnie. Nic nie ubarwiał, nie dodawał. Wierzył, że to wystarczy. Ale, kiedy na drugą rozprawę Lidka przedstawiła trzech świadków jego bezcelestwa — wściekli się. Tyle, że w złości, w zwątpieniu w ludzką uczciwość i ogólnie przyjęte kryteria oceny postępowania drugiego człowieka, zalał się, nie chciał już walczyć o swoje racje, a potem było za późno. W ostatniej chwili zgodził się, aby dyktacja i koleżanki ze szkoły świadczyły na jego korzyść. Nic to nie dało. Przedstawiono go jako zrzędnego lawiranta, co to umie stwarzać pozory, a pracę zawodową i życie rodzinne to zupełnie dwie odrębne sprawy. Tam był dobry, ale w domu za to odgrzywał się na ciężko harującą żonę. Sąd oczywiście orzekł, że dziecko, przysługujące matce która tak bardzo pragnie dla niego lepszego, zdrowszego moralnie życia. Wspólnie z przyszłym mężem zapewni mu solidną stabilizację materialną, wygodny dom. Okazało się, że docent mieszkał w obszernej willi za miastem z dużym ogrodem. Miał nawet swój basen. A on oż znaczył nawet przy swoich najlepszych chęciach, z dyplomem magisterskim, niewielką pensją nauczyciela i dwupokojowym mieszkaniem w blokach z widokiem na targowisko. Ogłoszenie wyroku przyjął jak swoją niezawinioną życiową klęskę, liczył tylko, że może w Lidce na koniec odczuje się smutnienie. Nie do czekał się. Czysta, schludna Lidka z wielką starannością zatarła swoje ślady przy ich domowym ognisku i zabrała dziecko. Stał teraz przy stole i jadł w pośpiechu śniadanie. Nawet nie posmarował chleba. Polykał twaróg szybko z żółtym, ziemlino, co popił więc herbata parząc sobie wągi i przełyk. Wtedy usłyszał jak spóźniony roznosićel postawił pod drzwiami butelkę mleka. Oczywiście już zjedną. Zamyślił się. Czuł się jak porzucony, zużyty przedmiot. To, że Lidka postąpiła z nim nieuczciwie, mógł jeszcze zrozumieć, jak to kobieta, chwyciła się wszystkich możliwych sposobów, aby wyjść na swoje, ale sąd? Zdeptano go całkowicie, w majestacie prawa. Nieważne były jego nieprzespane noce, codzienna skrajna deprimacja przy maluchu, ojcowiska miłość. Liczyło się jedynie prawo tej co urodziła! W autobusie próbował odgadnąć, jakie było przebudzenie Agnieszki w nowym domu, wśród nieznanych, obcych przedmiotów. Pewnie przedko o nim zapomni. Śmieszne było to prawo odwiedzin, które mu laskawie przyznano raz w tygodniu. I o jej zaniecie na to pierwsze spotkanie? Rozwałone serce, sztuczny uśmiech, czekoladę i jakąś atrakcyjną zabawkę. Rower do tej pory na pewno już jej kupił. Tak o nim marzyła. Nie jest w stanie myśleć. Może koleżanki w pracy pomogą.

Lidka była solidnie zyrutowana. Dzisiaj do późnych godzin popołudniowych czekała ją zajęcie na uczelni. Ludwik też miał jakieś swoje sprawy. Co zrobić z Agnieszką? Od czasu przyjazdu tutaj chodził oswajać, że je. Nauczycielka z zerówki też ją wzywała, ale nie miała czasu jeszcze tam pójść. A w ogóle to był poroniony pomysł, aby małą tu ścigać. Oczywiście, wymyślił to Ludwik, który już dawno namawiał ją do prowadzenia domu, gotowania o-biadów, etc. Myślał, że Agnieszka do tego ją zdoła. Jakże się mylił! Nie chciała wprowadzać go w tajniki swego poprzedniego małżeństwa. Od początku grała rolę pokrzywdzonej dobrej żony, tylko po to, aby się tu jakoś urządzić. Przewidywała, że Ludwik nigdy nie narzekający na trudności finansowe nadal będzie utrzymywał gospośnię, a ona zajmie się swoją pracą, książkami. Tymczasem, okazało się, że temu zbrojdy takie życie, obca stara kobieta w domu. Chciał mieć przy sobie kogoś, kto jest mu bliski, kto będzie go kochał, dbał o niego. A ona zupełnie się do takiej roli nie nadawała. Odwykła od domowych obowiązków. Trzeba będzie dla tej willi, samochodu i tytułu pani docentowej porzucić marzenia o własnej karierze. W zasadzie ma już wszystko czego chciała. Czy aby na pewno?

Przeglądała się przez chwilę Agnieszkę, która z uporem, wysunawszy koniuszek języka, próbowała włożyć na właściwe miejsce zepsutą rączkę lalki.

— Boże, jaka ona podobna do Tadeusza — pomyślała. — Właściwie to jej przecież nie znam. — Chodź tutaj, córeczko — poprosiła. — Mała ociągając się podeszła powoli.

— Cóż ty masz taką smutną minę? Głównie cie boli?

Dziecko milczało. Wyciągnęła ręce jak dawniej, chcąc je przytulić, ale nadal stało nieporuszone. Coś jak żal, jak lek czaiło się w smutnych, podkrążonych oczach. Przyciągnęła ją siłą i zamknęła w ramionach.

Do „Polonii” wchodzi cygańska kapela. Muzykanci przechadzają się między stolikami, grają smętne melodie. Skrzypek zdejmując kapelusz i kłaniając się nisko obnosi go po sali. Brzęczą monety, szeleszczą banknoty.

— Jeszcze wam mało! — o-burza się szpakowaty jego-mość. — Millionami obracają, a przyszli wydłuzać grosze. Do pracy idźcie!

1.

Od początku XV wieku przemierzali nasz kraj smagły przybysze z południowego wschodu. Uchodzili za pielgrzymów, nie byli agresywni, toteż cieszyli się poparciem władz i sympatią ludności. Legenda głosiła, że pochodzą z Egiptu i są pokutnikami skazanymi na tułaczkę. Ale badania dialektów języka cygańskiego wykazały bliskie ich pokrewieństwo z językami Indii. Dziś ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że Cyganie przybyli z Indii Wschodnich, opuściwszy je, z niewiadomych przyczyn, około 1000 r.n.e. Przybywszy do Polski, włączyli się wielkimi hordami od miasta do miasta, rzadko rozbijając się na mniejsze grupy koczujące w lasach. Mężczyźni trudnili się łowiectwem i kowalstwem, kobiety wóżyły z kart i z ręki. Długie sznury cygańskich wozów, su-nące wstęgami piaszczystych dróg, na trwałe wpisywały się w nadwiślański krajobraz.

2.

Cygan jest jak dzikie zwierzę. Można go zabrać z lasu i zamknąć w mieście. Można mu dać łóżko, stół i piec. Wszystko można. Nie można tylko kazać żyć. Zwierzęta też są dzikie i domowe. Dzikie zwierzęta giną w kłatkach, domowe giną na wolności. Życie w rezerwach jest namiastką życia, jest wegetacją, odliczaniem dni i lat dzielących od śmierci.

Ich życiem i marzeniem jest las. Chciał wrócić do lasu. Chciał wrócić do zdrowia, do tradycji, do kodeksu taborytów. Kiedyś żyli 100, 110, 115 lat, dziś umierają jeszcze młodzi. Proponują władzom milio-nowe podatki od każdego tabo-ru. Będą płacić, jeśli pozwolą im wędrować, pozwolą żyć. Bo prawdziwy Cygan zawsze będzie jeździł. Prawdziwy Cygan jest tułaczem, najdłuższym pielgrzymem historii — pielgrzymem donikąd. A wędrowka, to nie tylko styl, nie tylko obyczaj. To także sposób na życie, motto wolności i prawo — może najważniejsze prawo człowieka.

Po wojnie władza chciała pomóc Cyganom. Cyganie takiej pomocy nie chcieli. Nie chcieli propagandowych „agitek” o bezcelowości koczowania, o potrzebie włączenia się do dziejowych przemian. Nie ufali ludzom i ich obietnicom, przekonani od wieków że żaden rząd niczego dobrego im nie życzy. Więc tabory ruszały dalej i dalej wyprzedzały się spod kontroli państwa.

3.

24 maja 1952 r. Prezydium Rządu podjęło uchwałę: „W sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia”. W dokumencie tym czytamy:

„Celem wciągnięcia ludności cygańskiej do osiadłego trybu życia, a przez to do stworzenia jej odpowiednich warunków rozwoju społecznego, gospodarczego i kulturalnego oraz realizacji podstawowych zadań gospodarczych, Prezydium Rządu uchwala co następuje:

§1. Prezydium rad narodowych różnych szczebli rozwija na terenach, gdzie przebywają Cyganie, szeroka akcję wychowawczą oddziaływania na ludność cygańską w kierunku porzucenia przez nią koczowniczego trybu życia i przejścia na tryb produktywnego życia osiadłego”.

Oni zaś, Cyganie, przez całe wieki żyli z natury. Byli pasterzami, myśliwymi rybakami. Potem, gdy szlaki wędrowek wiodły przez tereny zaludnione, nauczyli się korzystać z ludzkiej naiwności, skłonności do zabobonów, ciągłot do zabaw i rozrywk. „Produktywne życie osiadłe” zna-czyło tyle samo co niewola, co powolna śmierć — jak drzewo pozabawione korzeniami.

Raz na zawsze miały wygasnąć w lasach cygańskie ogniska. Raz na zawsze miały zjechać z dróg cygańskie wozy. Koniec z obrzędami, obyczajami, koniec z innością. Zamiast tego: murowane domy, sklepy,

samochody, handel walutą, zło-tem, narkotykami. Jeszcze się opierali, jeszcze gardzili dobro-czynnością z przymusu. Cena utraty tożsamości nigdy nie jest zbyt wielka. Zasywali się gle-biej w las i w siebie. Tak trwali do roku 1964, aż użyto przeciw nim środków ostatecz-nych. Mieszkanie, szkoła, pra-ca, dowód osobisty. Zatrzymano ich tam, gdzie koczowali. Osie-dlono i zarejestrowano. Dowo-dy tożsamości wypisywano na miejscu. Sprytniejsi mieli ich po kilka — na różne nazwiska. W rubryce „miejsce urodzenia” wpisywano często — „las”.

4.

Są Polakami — obywatelami polskimi. Przyswoili sobie język polski, którego uczą się od

leganckich hotelach i jedzą w eleganckich restauracjach. Oni nie marzą o powrocie do lasu. Już nie potrafią istnieć bez e-lektroniki, warczących „zielo-nych”. Cywilizacja pochłonięła ich bez reszty, dostarczyła moc-nych wrażeń i zniszczyła nie-zależność. Teraz są jej włas-nością — bezsilni i zgubieni.

7.

Tylko nieliczna grupa „sta-s-rych” Cyganów wygrała bój o społeczny prestiż. Każda naro-dowa mniejszość szuka takiej dziedziny życia, w której by-laby niezastąpiona. Każda na-rodowa mniejszość chce być przydatna, chce być szanowa-na.

Cyganie zostali niezerównany-

Pielgrzymi donikąd

dziecka na równi z własnym. Tutaj jest ich ziemia, groby przodków, przyjaciele i wro-gowie. Tutaj się urodzili i tutaj chcą pozostać. Byli i są na pol-skiej ziemi bardzo swojscy, a zarazem obcy. Lecz chcą po-zostać, mimo krzywd, które ich tu spotkały.

Dzieliłi losy naszego ludu. Ginęli w Oświęcimiu, Majdan-ku, Treblince, Belżcu, Łodzi. Padali rozstrzelani w przy-drodnych rowach. Obok Żydów i Murzynów uznano ich za e-lement zagrażający czystości germańskiej rasy. Przetrawili.

Prawo jest surowe. Prawa nie można obejść, turkoczącym wozem. Trzeba stanąć z nim twarzą w twarz i dowiedzieć się, że wyrok zapadł, że wy-boru nie ma, że nie ma do-kąd wracać.

5.

Żeby przetrwać trzeba pra-cować, albo korzystać z pra-cy innych. Oni, ludzie z lasu i kierat codzienności. Oni i fa-bryczne syreny, sklepowe ko-lejki, życie od pierwszego do pierwszego. Dobry Bóg stwo-rzył Cygana w niedzielę, żeby nie musiał pracować — mówili o sobie. — Bo Cygan ma nie-równe ręce. Prawa sięga do łokcia, lewej. Kiedy jedna ręka coś bierze, to druga nie dosta-je. Dotąd znali tylko: kowal-stwo, sitarstwo, grzebielar-stwo. Wyrabiali łyżki, wrzecz-nia, drewniane miski, patelnie. A tutaj XX wiek — huty, sto-cznie, maszyny i robotnicy, któ-rzy nigdy ich nie zaakceptują. Próbował wielkiego przemysłu, rolnictwa, rzemiosła. Uczyli się wstawać na komendę budzika, odbijać zegarowe karty, jeść w zakładowej stołówce. To były koszty cywilizacji, które i tak nie mogły wybić cery, roz-jąć włosy. Stale patrzono im na ręce, zaglądano w kie-szeń. Jak długo można zno-sić sztycherne uśmiechy i wytyka-nia palcem? Ciągłe odręczna-dłoń w końcu zaciska się w pięść. Były więc najpierw spory, potem większe konflikty, bójk i... rezygnacja.

Wrócili do starych zajęć. Handlowali końmi, wóżyli z kart, muzykowali. Coraz czę-szej kradli i oszukiwali. W grudniu 1963 r. napadli na le-sniczków. W Łodzi i na Helu sprzedawali farbowane konie, fałszywe dolary, tombak jako złoto.

6.

Powstawała cygańska mafia, umiająca wykorzystywać nie-dostatki rynkowe i słabości mieszczuchów. Stopniowo szla-ki handlowe przekraczały gra-nice naszego kraju. Cyganie świetnie wyczuli zachcianki rodaków. Z atrakcyjnym towa-rem zjawiali się zazwyczaj pierwsi. Opanowali sztukę li-czenia i umiejętność pomnaż-ania gotówki. Pojeli, że miejsce w społeczeństwie określa szmal. Szmal otwiera usta, otwiera drzwi domów. Szmal rozczu-la urzędników. Szmal przystawia odpowiednie plecakiki i składa stosowne podpisy. Szmal caju-je po rękach i bije ukłony.

Alie nie wiedzieli, że szmal to narkotyki, który wciąga do ślepej gry, że lśniące samocho-dy kłują oczy, że przepyszne wille wywołują zawist sasia-dów, że oni — Cyganie — i tak będą uważani za najgorszy na-ród świata. Byli i będą nazy-wani chłastami. Młode pokole-nie bezkrytycznie akceptuje władzę pieniądza. Nastolatki dostają w prezencie samochody, piewekowskie ubiory, potężne zastrzyki gotówki. Nic też dziw-ne, że opanowują kawiarnie i dyskoteki, że mieszkają w e-

mi kotlarzami. Pobielaają kotły, rzeźnicze haki i naczynia w sposób opanowany niemal do perfekcji. Strzegą przy tym ta-jemnicy swego fachu. Cyna, której używają, jest przez nich preparowana nieznanymi meto-dami i przerabiana na miakki proszek o nazwie kolis. Pracują sprawnie i szybko. Spół-dzielnie kotlarskie nie mogą na-rzekać na brak zamówień i do-chodów.

Pozostali też wierni muzyko-waniu — odwiecznej profesji Cyganów. Muzykę mają w krwi. Wielu z nich zarabia na życie graniem. Jedni w zawodo-wych zespołach pod opieką przedsiębiorstw estradowych. Drudzy wędrują w małych grupkach po zadymionych ka-wiarniach. Cymbały i lutnie za-mieniały na akordeony i gitary. Tylko skrzypce, których dźwię-ki zawsze wyciskają łzy, pozos-tały modne. Weszli do rodzi-mej kultury nazwiskami Poma-rańca Madziarowicza (założyciela „Romy”), Michaja Burano i poetki Papuszy.

8.

Cyganie są mikroskopijną częścią społeczeństwa. Nigdy dotąd nie przejęli w pełni praw i obyczajów tego kraju. W XV wieku zadziwiali „Europejczy-ków niezwykle barwnym odzie-niem. Nosili czerwone i zielo-ne ubiory zdobione dużymi srebrnymi guzikami. Dzisiaj podkreślają swą odrębność z mniejszym rozmachem. Czasem przedziwną kompozycją butko-wych „szmatek” z tradycyjną chustą. Częściej — eleganckimi, żurnalowymi strojami.

Z wolna zanikają zwyczaje, tak starannie dochowywane w toborach. Cóż, żeby porwać ob-lubienicę, trzeba korzystać z takśdwoi. A to już nie to samo, co szaleńcze konne eskapady, ucieczki i pościgi.

Cyganie osiedli się w ma-łych zbiorowościach. W woje-wództwie łódzkim jest ich bli-sko siedmiuset. Wykupili dział-ki budowlane, postawili jedno-rodzinne domki. Cygańskie o-siedla są jak enklawy. Trudno dostępne, wydzielone, trochę tajemnicze.

Z sąsiedami żyją raczej w zgodzie. No, przynajmniej sta-rają się żyć w zgodzie. Różnie to jednak bywa. Dzieci posy-lają do szkół, chodzą do kina i do dyskoteki.

Jeszcze do niedawna byli Cy-ganie nizinni i górszy. Dzieliłi się na Kelderarów i Lowa-rów. Teraz mówi się częściej o grupach krakowskich, słupskich, lubelskich.

9.

Przy kawiarnianym stoliku siedzi stary Cygan. Patrzy w dno szklanki. Muzykanci wy-chodzą z lokalu. Dzieci posy-lają do szkół, chodzą do kina i do dyskoteki.

— Nie będzie Cyganów — mówi. — Po prawdzie to już nie ma — dodaje po chwili. — Jam smutny. Czy kto widział smutnego Cygana? Bywało gorzko w sercu, ale wesołość była zawsze — do słońca i do deszczu. Powiada, że nie czas umierać kiedy oczy widzą, a uszy słyszą. Mnie już dość. Nie ma wnuków — nie ma. Zatra-cili się, zalatali. Low, low, low... (pieniądz, pieniądz, pieniądz...). Żeby niby ten mądry, kto czyta i pisze. Ino, że grzeszy więcej i Boga więcej smuci. Króla nie uszanują i świętych praw. Nie ma Cyganów...

ROMAN KUBIAK

ODGŁOSY 7

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

SZEŚĆ ZWROTEK O ŁODZI

W pracowni i z dużym znawstwem przedmiotu zestawionej antologii poezji o Łodzi „Kwiaty łódzkie”, która ukazała się niedawno nakładem naszej oficyny wydawniczej, autorzy Ziemowit Skibinski i Barbara Stelmach-Swiontek nie zdołali pomieścić wszystkich utworów poetyckich opiewających blaski i cienie grodu nad Łódką. Piszący te słowa zebrał znaczną ilość wierszy o Łodzi, dziś całkowicie zapomnianych, a z różnych względów godnych bacniejszej uwagi.

Poniższy wiersz wyszedł spod pióra Henryka Zbierzchowskiego (1881—1942), łwowskiego poety i satyryka, pod wpływem wspomnianego w tekście Andrzeja Nullusa (pseudonim Eliasa Fromma), który z kolei odwzajemnił się łwowskiemu poecie „Sześcioma zwrotkami o Łwowie”. Wiersz Zbierzchowskiego opublikował „Tygodnik Łódzki” (1922 nr 14).

Prosił mnie Nullus, pan redaktor z Łodzi,
(Z miasta, nie z fachu), abym o tym mieście
Napisał wierszyk, a on mi wygodził
I mogę marek zarobić ze dwieście.

A że łwowianin każdy jest fantazją
I redaktorom ciągle wierzy jeszcze,
Manufaktury dziś opiewam miasto
I swe natchnienie poświęcam mu wieszczce.

O, Łódź! wiecznie milionów niesyta,
Spojrzyj na siebie chociaż raz bez masek:
Dymem fabrycznym tak jesteś okryta,
Ze nikt nie widzi, jak uprawiasz pasek.

A więc ci tego zazdrości Warszawa,
Zyjąca ciągle w obawie i wstydzie,
Gdzie na wierzch wyjdzie każda brzydka
sprawka,
Choćby się kryła, jak Kiernik w Dojldzie.

O, Łódź! dosyt tak ciebie wydyma,
Ześ naworyszka w każdym krwi swej tętnie.
Michałowskiego miasto i Tuwima,
Choć się do ciebie przyznają niechętnie.

O, Łódź! mógłbym rymów kołowrotek
Rozpętać dziko, niby tkalnie przedzi,
Aleś niewarta więcej niż sześć zwrotek,
A zatem kończę mój wierszyk czym prędzej.

NIE Z TEJ PARAFII

Pewien kaznodzieja tak był rozczulił swoim kazaniem słuchaczy, że wszyscy się rozplakali. Przecież dostrzegł, że jeden z obecnych w kościele był zupełnie obojętny, że wcale nie plakał. Zszedłszy z amboną, prosto udał się do owego nieczułego, chcąc się dowiedzieć przyczyny jego obojętności. — Mój kochany — zagadnął — moje kazanie dzisiaj wszystkich rozczuliło, a ty jeden byłeś obojętny. — Bo ja nie z tej parafii — odpowiedział zapytany.

Sadok Barącz: Bajki, fraszki, podania, przysłówia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.

O TYCH, CO SIĘ PRAWUJA

Nieźle ktoś nazwał prawo pałęczną:
Możnym folguje, a słabi w nim giną.
Tak ci i z siatki pajakowej meźnie
Bak się przebijają, lecz mucha uwieźnie.
Stanisław Niewieski (w. XVII)

COŚ Z MEDYCYNY

Filut dowiedziawszy się, że jakiś doktor wynalazł pigułki, które mu niemiłosiernie napędziły groza, narobił ich także znaczną ilość. Dawał je bez różnicy na wszelkie słabości, a ponieważ niektórym pomogły, wkrótce więc zjednał sobie większość wielkiego lekarza. Pewnego dnia wieśniak prosił go, czy nie ma lekarstwa na zalenie osła, który nie wie gdzie mu się podział. — „Co masz sześć pigułek, które natychmiast zażyjesz”. Chłop połknął pigułki i odszedł, lecz w drodze zaczął czuć ich skutek, musiał więc zboczyć w miejsce błotniste i zarosłe. Tam spostrzegł swojego osła pasącego się. Nie wątpiąc więc o skutku pigułek, rozgłosił wszędzie, że znalazł wielkiego doktora, który nie tylko leczy słabości, ale daje jeszcze medycynę na wynalezienie zgubionych osłów.

Nowy Mopus. Pismo obejmujące anegdoty, żarty, dowcipne odpowiedzi. Zebrał W. Szymanowski. Warszawa 1945.

DO JEDNEJ

„Czemu to pani dajesz te rzecz niejednemu,
Któreś ślubilaś nie dać (krom męsa)
„Zadnemu?”
„Dawna moda, a zwłaszcza dworska, tego uczy:
Nie wadzi mieć do jednej kłódki kilka
kluczy.”
Jakub Teodor Trembecki (1643—1729)

REDAKTOROM PRO MEMORIA

Pisma periodyczne powinny mieć, tak jak inne, które na świat przychodzą, za cel pierwszy użyteczność. Takie więc być mają, iżby nie zawodziły w obietnicach swoich, a przeto nie nadto wiele obiecywały. Lepiej albowiem więcej dać, niż się obiecało, niżeli zawodzić datkiem nie według obietnicy.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

ODGŁOSY 8

W

iek XIX nazwać można wiekiem odrodzenia sztuk graficznych. W tymże wieku pewne okoliczności i zdarzenia sprawiły, że grafika, w całej wielości tradycyjnych i nowo odkrytych technik, uzyskała ostatecznie status odrębnej, samodzielnej dyscypliny artystycznej, nie gorszy od malarstwa sztalugowego, w którego cieniu przeżywała przez długi czas, pełniąc rolę w dużej mierze usługowej, lecz nie w twórczym tego słowa znaczeniu. Przełomowym faktem zmieniającym stan rzeczy wydaje się być wynalazek fotografii i nowych technik drukarskich, mianowicie fotochemigrafii (wynaleziona w 1850 roku przez F. Gillota) i typografii. Uwolniono to grafikę przede wszystkim właśnie od funkcji usługowych: drzeworyt od funkcji ilustratorskiej, a techniki metalowe — od reprodukcyjnej.

Drzeworyt jest najstarszą ze znanych technik graficznych i najprostszą, jeśli rozpatrywać go będziemy w kategoriach warsztatowych. Należy do gatunku druków wypukłych, a jego początki giną w mrokach prehistorii. Prawzorów tej techniki szukać trzeba w wycinanych w różnych materiałach stemplach i pieczęciach oraz w drewnianych, brązowych lub srebrnych kłockach do drukowania tkanin.

Właściwy drzeworyt, jako sposób wielokrotnego przenoszenia rysunku na podkład (papier, jedwab, skórę, pergamin) zaczął swój żywot w Chinach, gdzie osiągnął wysoki stopień perfekcji technicznej i doskonałości artystycznej i stąd, poprzez kraje Azji, dalej kraje Lewantu, za pośrednictwem Maurów dotarł do Hiszpanii, w obszar Morza Śródziemnego i dalej, do reszty Europy. Tu jego losy związane są ściśle z początkami drukarstwa i grą w karty, która w XIV wieku stała się modną i rozpowszechniła się w Hiszpanii, we Włoszech, Francji i Niemczech. Karty wykonywano początkowo metodą szablonów. Drzeworyt ułatwił produkcję — wzory wycinano na deskach, odbijano i potem malowano ręcznie. Efekt był atrakcyjniejszy, a sama produkcja o wiele bardziej wydajna. Niemal równolegle zaczęto też wycinać postacie świętych i sceny o treści religijnej i sprzedawać na odpustach i jarmarkach. I na karty do gry, i na święte obrazy był ogromny popyt.

Najstarsze, zachowane drzeworyty z tego czasu to Madonna Brukselska z 1418 roku i św. Krzysztof z ok. 1423. Potem zaczęto łączyć kilkanaście takich drzeworytów w jedną całość i były to pierwsze drukowane — jednostronnie oczywiście — książki. Ciekawostką jest, że obok drzewa używano również płyt metalowych traktowanych tak, jak kłocki drzeworytne. W najstarszej, zachowanej książce ilustrowanej tą metodą, a wydanej przez Pfistlera w Bambergu w 1461 roku, ilustracje odbite są właśnie z płyty metalowej ciętej jak drzeworyt, a nie z deski.

Wiek XV i XVI to rozkwit drzeworytu dzięki takim artystom jak Szwajcar Urs Graf, Albrecht Dürer, Lucas Cranach, Albrecht Altdorfer w Niemczech, Hans Holbein, Lucas Van Leyden z Antwerpii. Trzeba tu dodać, że artyści ci nie wycinali sami swoich rysunków. Powierzali je specjalistom-rytownikom. We Francji nazywano ich wtedy tailleur de formes, a w XIX wieku ksylografami. W Niemczech zaś Formschneller. Znany nazwiska niektórych sławnych fachowców. Rysunki Dürera wykonywał Hieronymus Andrea, a drzeworytnikiem Holbeina był Hans Lützelberger. Ksylografem Gustava Dore był niejaki Pisan. Dużą sławą i wzięciem cieszyli się również jemu współcześni: bracia Beltran, Bertrand Solomon, Dete, Frederic Flozian.

Techniki metalowe, które rozwinęły się w XVII i XVIII wieku, posługując się niewspółmiernie większą skalą środków wyrazowych, odsunęły drzeworyt w cień. Służył do ilustracji najtańszych książek religijnych i kalendarzy. Stał się sztuką plebejską. Dopiero wynalazek Anglika Thomasa Bewicka (1790) sprawił, że stał się on ponownie popularną i powszechnie stosowaną techniką reprodukcyjną i ilustratorską.

Drzeworyt klasyczny, miękki, tak zwany langowy, był wycinany wzdłuż słojów. Bewick zaczął wykonywać swoje drzeworyty na kłockach o słoju pionowym (sztorcowe), wykonanych z twardego drzewa. Zmienił również narzędzia: noż i dłuta zastąpiły ryłkiem i igłą. Bewick był z zawodu miedziorytnikiem. Poszukiwał mate-



Jean-Francois Millet (1814-1875) „Kobieta ubijająca masło”

U źródeł nowoczesnej grafiki francuskiej

ANDRZEJ GRUN

1

riału trwalszego niż płyta miedziana. Kłocki z bukszanu lub gruszy, cięte w poprzek słojów i odpowiednio sklejone okazały się niezwykle trwałe, stosunkowo łatwe w obróbce i lekkie. Twarde drzewo pozwalało uzyskać precyzyjne kreski we wszystkich możliwych kierunkach i dowolnie je zagęszczanie.

Gwoli ścisłości należy zauważyć, że drzeworyt sztorcowy znany był w Armenii już w pierwszych latach XVII wieku, a niewykluczone, że wcześniej. Ryciny z „Agathangelos” drukowanej w Konstantynopolu w 1709 roku zdradzają sprawne posługiwanie się tą techniką. Ślady stosowania drzeworytu sztorcowego znajdowano również w drukach na Rusi i w Rumunii. Niektórzy badacze tematu są zdania, że armeńskie druki znane były w Holandii, w połowie wieku XVII. I że właśnie tutaj użyto po raz pierwszy w Europie Zachodniej tej techniki. Wspomina się również o rytowniku nazwiskiem Foy z Lyonu, który w tym samym czasie rytował na kłockach z gruszy ciętych pionowo. Te fakty i przypuszczenia nie odbierają wcale zasług Thomasa Bewicka, który opracował nową technikę i dość istotnie przyczynił się do jej popularyzacji.

Rozwój czasopiśmiennictwa w XIX wieku przyniósł zapotrzebowanie na ilustrację i reprodukcję gazetową, drukowaną w dużych nakładach. Drzeworyt sztorcowy spełniał wszelkie warunki tego zamówienia. Lata pięćdziesiąte do osiemdziesiąte ubiegłego stulecia to niepo-

dzienne panowanie drzeworytu we wszelkich wydawnictwach wielonakładowych.

Maria Grońska w „Nowoczesnym drzeworycie polskim” pisze: „Dla ówczesnego drzeworytu stosownie do roli, jaką spełniał przyjęto określenie ilustracyjny, tonowy lub interpretacyjny. Ilustracyjny — bo służył wyłącznie ilustracji; tonowy — bo starał się głównie o oddanie „tonów”, walorów malarskich; interpretacyjny — bo powierzono mu zadanie odtwarzania obrazów, rysunków, rzeźb, a nawet fotografii. Ówczesny drzeworytnik jak wirtuoz wykonujący utwór kompozytora musiał się wcielić w odtwarzanie dzieła i wartość jego pracy polegała właśnie na umiejętności najwierniejszego interpretowania drugiego artysty. W powstaniu drzeworytu uczestniczyli w dalszym ciągu dwie, a nawet często trzy osoby: artysta, który dostarczał wzoru do drzeworytu, rysownik, który kopiował projekt na kłocku, oraz właściwy drzeworytnik. Na rycinie umieszczano już teraz przeważnie nazwisko grafika obok sygnatury malarza. Odtwarzano głównie kompozycje malarskie i fotografie, stosunkowo rzadko operowano więc zdecydowaną linią. Malarskie walory obrazu oddawano walorami mniej lub więcej nateżonych szarości, zespolami mniej lub więcej zagęszczonych kresów, kładzionych w różnych kierunkach i subtelnie zróżnicowanych. Od grafika wymagano dużych umiejętności technicznych, które doprowadzały nie raz do wirtuozerii cięcia. Redakcje czasopism i wydawcy zatrudniali zarówno artystów, którzy dostarczali projektów, jak drzeworytników, którzy projektom tym nadawali graficzne kształty. Powstawały nawet specjalne drzeworytynie.”

Udoskonalenie i upowszechnienie fotografii oraz nowe technologie drukarskie pozabawiły pod koniec wieku drzeworyt jego znaczenia. Jeśli idzie o techniki metalowe, to i one zostały w XIX wieku sprowadzone przede wszystkim do funkcji użytkowych, albo też zarzucone, jako nieprzystające lub niewygodne do celów reprodukcyjnych.

Miedzioryt — najstarsza z technik metalowych wgłębnych, zwany również sztychem, stosowany był już w połowie XV wieku. Początków miedziorytu szukać trzeba w praktykach złotników, którzy pracując w technice niello, odciskali często na papierze złobione przez siebie wzory i ornamenty. Sama technika niello (od łacińskiego nigellus — czarniawy) polegała na grawerowaniu w metalu, przeważnie w złocie lub w srebrze, scen figuratywnych, ornamentów lub inskrypcji i wypełnianiu zagłębień specjalną masą o barwie czarnej lub granatowej. Przypominało to prace z emalią, z tym, że w wypadku niello nie wypalano przedmiotu, a jedynie polerowano bardzo dokładnie powierzchnię, aż uzyskiwano efekt wyraźnego czarnego rysunku na czystym tle. Stąd był już tylko krok do odkrycia miedziorytu, a pośrednio i innych technik metalowych: suchorytu, mezzotinty oraz technik trawionych: akwaforty, akwatinty, i im pochodnych.

Jednym z pierwszych miedziorytników był właśnie włoski złotnik, Maso Finiguerra. W technice tej pracowali także wielcy mistrzowie Renesansu: Dürer, Mantegna, Ramondini, a także Baroku: Drevel, Nanteuil, Masson, Edelinck. Pierwsi używali do rytowania jednego ryłka o jednym przekroju; ci drudzy — kilku, o różnych profilach.

W wieku XIX, kiedy zaistniała potrzeba dużej ilości odbitek z jednej matrycy, wynaleziono staloryt. Anglik Karol Heath, w roku 1820 zastosował płyty stalowe odpowiednio rozhartowane, a potem ponownie hartowane. Był to materiał bez wątpienia trwalszy. Z jednej płyty stalowej uzyskiwano do 20000 odbitek, podczas gdy z miedzianej — tylko do 1000 egzemplarzy. Staloryt został niebawem zarzucony, ponieważ efekt, jaki uzyskiwano, był „zimny”, zbyt „twardy” i mechaniczny.

Akwaforta, albo inaczej — kwasoryt, znana była już od XV wieku. Stosowali ją z powodzeniem drukarze i rytownicy norimberscy i wrocławscy. Na wyżyny artystycznej i technicznej doskonałości wynieśli ją jednak Holendrzy, a nade wszystko Rembrandt van Rijn, niedościgły mistrz tej techniki. W XVIII wieku Francuz J. B. le Prince i Anglik Gilpin, niezależnie od siebie wpadają na pomysły metody zwanej kwasorytem płaszczyznowym, albo inaczej akwatintą (z włoskiego acqua tinta — barwiona woda). Ten wynalazek leży u podstaw wszystkich następnych, związanych z nowoczesną techniką reprodukcji metodą druku wkłęskiego.

W praktyce często posługiwano się akwafortą i akwatintą równocześnie, jako technikami wzajemnie się uzupełniającymi. Niedościągła wirtuozeria osiągnął w tej technice Francisco Goya y Lucientes.

Wspomniane techniki miały jedną wspólną i zasadniczą wadę. Przy całym bogactwie środków wyrazowych dawały małą ilość odbitek, jak na potrzeby wzrastających nakładów gazet, wydawnictw książkowych i wszelkich innych druków. Nie nadawały się do produkcji wielonakładowej. Już od połowy XVIII wieku odczuwano brak odpowiednio wydajnych sposobów reprodukcji i ilustracji.

Z drugiej strony — dominacja malarstwa sztalugowego i dekoracyjnego sprawiała, że grafika, aczkolwiek uprawiana często przez bardzo wybitnych twórców (Rembrandt, Goya), nie była w sensie artystycznego partnerstwa w pełni doceniana. Wykonywanie w grafice kopii i replik obrazów sztalugowych, przy równocześnie braku dzieł oryginalnych, o rzeczywistej wysokim poziomie artystycznym, nowatorskich, dodatkowo jeszcze deprecjonowało jej wartość, jako samodzielnej i pełnoprawnej dziedziny sztuki.

Odbitka graficzna mogła być pięknym, szlachetnym, znakomicie pod względem technicznym wykonanym dodatkiem, ozdobnikiem, reprodukcją, portretem, pomocą naukową, itd., itd. — ale nie wnosila pod względem formalnym niczego ponadto, co już niosło w sobie malarstwo. Usługa — przy często prawdziwej wirtuozerii warsztatowej — kastrowała piękną sztukę grafiki. Więcej — kazała jej zapominać o takich, jak Montegna, Dürer, Rembrandt, Goya.



Theophile Alexandre Steinlen (1859-1923) „Tulacz”

Dawne kalendarze łódzkie



Oswojeni z wartkim tempem współczesności, nie wyobrażamy sobie życia bez takich wynalazków czasu, jakimi są zegarek i kalendarz. Ten ostatni towarzyszył niemal wszystkim cywilizacjom świata; w Polsce odegrał nawet ważną rolę w dziejach drukarstwa, bo właśnie „Kalendarz astronomiczny na rok 1474”, wydany w Krakowie przez Kaspiera Straubego, wędrownego drukarza z Bawarii, jest uznawany za pierwszy druk powstały na ziemiach polskich.

Obok książek i czasopism kalendarze stanowiły dawniej pośrednie między nimi ogniwo społecznej komunikacji, docierając do szerszych kręgów społeczeństwa. Efemeryczny charakter kalendarzy, doraźność użytkowania i przewaga nieaktualnej po roku treści informacyjnej, przyczyniły się do zatarcia wielu tytułów, mimo wysokich niejednokrotnie nakładów.

Tradycja tego rodzaju wydawnictw nie sięga w Łodzi głęboko w przeszłość, bo dopiero w 1868 r. podjęto próbę wydania pierwszego w naszym mieście kalendarza, przeznaczanego dla niemieckiej części społeczeństwa łódzkiego. Był to „Łódzki Kalendarz”, typowe wydawnictwo informacyjno-adresowe, zawierające adresy władz rządowych, gubernialnych i municypalnych oraz ogłoszenia przemysłowców. Po dwóch latach wydawnictwo zawieszono i dopiero w dziesięć lat później drukarz Cezar Richter podjął się wydania dla miejscowej inteligencji niemieckiej typowego wówczas kalendarza rodzinnego z bogatą częścią literacką. Tym razem inicjatywę zyskała społeczność aprobatę, a „Łódzki Illustrierter Haus- und Familien-Kalender” cieszył się w latach 1879–1889 dużą popularnością, choć wydawcy borykali się z poważnymi trud-

nościami technicznymi, o czym świadczą zmieniające się wciąż miejsca wydania: Lipsk, Drezno, potem znów Lipsk, wreszcie ostatni rocznik wyszedł z drukarni A. Ginsa w Warszawie.

Łącznie na 89 dotychczas odzyskanych kalendarzy łódzkich z lat 1869–1939 aż 15 było przeznaczonych dla Niemców. Niektóre z nich np. „Volksfreund-Kalender für Stadt und Land” (1927–1939) i „Łódzki Informations- und Haus-Kalender” (1910–1920), zawierają artykuły dotyczące historii Łodzi i łódzkiego okręgu przemysłowego, ze szczególnym uwzględnieniem roli Niemców w życiu miasta. W ostatnim z wymienionych tu kalendarzy ukazał się znany hymn Alojzego Felińskiego „Boże, coś Polskę” w przekładzie mieszkanka Łodzi, niejakiego Wilhelma Jessa (1917, s. 36–37).

Wśród obcojęzycznych kalendarzy, wydanych w Łodzi znalazło się pięć dla Rosjan oraz po jednym dla Czechów, Żydów i Ukraińców. W kalendarzu „Komensky”, redagowanym przez Bohumila Prochaskę, a przeznaczonym dla osiadłej w Łodzi i Żelazie kolonii czeskiej odnajdujemy wiersze Pawła Hulki-Laskowskiego, znanego później autora powieści „Mój Żyrardów”.

Pierwszy kalendarz dla Polaków, choć nosił tytuł „Kalendarz Łódzki”, drukowany był w Warszawie za redagował go żydowski poeta i publicysta Natan Zylbersztajn, stale mieszkający w Warszawie. Oprócz części informacyjno-adresowej znajdowały się w kolejnych rocznikach materiały literackie, przeważnie pióra samego redaktora, bez najmniejszej wartości artystycznej.

Kolejnym kalendarzem informacyjno-adresowym był „Łódzianin”, ukazujący się nieprzerwanie przez 17 lat (1889–

1905), zrazu w nakładzie 500, potem 1000 egzemplarzy. Treść literacka „Łódzianina” była bardziej ambitna, choć objętościowo skromniejsza niż w „Kalendarzu Łódzkim”. Zamieszczali tu swe utwory Władysław Książek, Wincenty Kosiakiewicz i Artur Gliński. Z poważniejszych inicjatyw wydawniczych okresu poprzedzającego wybuch I wojny światowej wymienić trzeba ukazujący się w latach 1900–1914 kalendarz informacyjno-adresowy „Czas”.

Osobliwością w zakresie produkcji kalendarzowej tamtych lat było wydanie „Rocznika Łódzkiego Gebethnera i Wolffa” na rok 1914. Ten encyklopedyczno-praktyczny almanach, opracowany przez redakcję „Tygodnika Ilustrowanego”, nie różnił się pozornie od równoległego wydania „Rocznika Gebethnera i Wolffa” gdyż zaledwie część nakładu tej ostatniej pozycji ma wymienione s. 177–208, na których dla potrzeb łódzkich czytelników zamieszczono informacje o Łodzi i okolicznych miastach i miasteczkach. Autorem pomysłu był zdaje się Zenon Pietkiewicz, wówczas współpracownik i korespondent łódzki szeregu czołowych czasopism warszawskich.

W 1932 r. miała miejsce w Łodzi swego rodzaju spekulacja wydawnicza dla przysporzenia zysków wydawcom kalendarzy. W tym właśnie roku trzy łódzkie gazety: „Echo”, „Głos Poranny” i „Kurier Łódzki” wydały dla swych abonentów identycznej treści kalendarze almanachy. Okazało się, że koncern Polskiej Agencji Publicystycznej ogłosił dla szeregu dzienników polskich także właśnie kalendarze w łącznym nakładzie 100 000 egzemplarzy. Tylko „Kurier Łódzki” dołączył w swej mutacji osobno liczbowaną wkładkę z artykułami o tradycjach pisma i po-

czatkach Łodzi przemysłowej. Wśród kalendarzy znajdowały się też wydawnictwa przeznaczane dla wąskich kręgów odbiorców: felczerów i nauczycieli turystów i myślarzy, kibiców sportowych i automobilistów, a także dla grup wyznaniowych: katolików, ewangelików, mariawitów i braci morawskich. Spórą grupę stanowiły kalendarze humorystyczne: „Łódzianka”, redagowana przez Artura Glińskiego w latach 1893–1896, jej młodszą siostrą, również „Łódzianka”, wydana przez niejakiego Rubinka w latach 1903–1914. Obydwa te kalendarze ukazywały się w zawirowaniu na owe czasy nakładzie, sięgającym 3000 egzemplarzy, a mimo to nie posiada ich w komplecie żadna polska biblioteka. W przededniu I wojny światowej ukazywały się jeszcze dwa ambitniejsze kalendarze humorystyczne. „Kalendarz Łódzki humorystyczno-satyryczny „Sylf” na rok 1914” i „Kalendarz tygodnika humorystyczno-satyrycznego „Śmiech”, wydany w 500 egzemplarzach. Późniejsze tego rodzaju przedsięwzięcia, szczególnie kalendarze redagowane przez Helenę Kokorzycką, nie grzeszą dobrym smakiem, oscylując w kierunku pornografii i niewybrednych gustów czytelników.

Ukazujące się w Łodzi kalendarze pełniły swą funkcję społecznej komunikacji, pozyskując czytelników do lektury bardziej wartościowych książek i czasopism. Gromadzone dziś w państwowych zbiorach bibliotecznych służą historykom i publicystom, szukającym ukrytych w nich treści.

Magnetowid — elektroniczne urządzenie do rejestrowania obrazu i dźwięku na taśmie magnetycznej — dawno już przestał wzbudzać sensację. W krajach wysoko uprzemysłowionych, gdzie tylko w ubiegłym roku wyprodukowano około 12 mln sztuk tych aparatów, magnetowid stał się już przedmiotem codziennego użytku, tak jak radio, telewizor, czy magnetofon, chociaż u nas, niestety, jest to ciągle jeszcze artykuł bardzo luksusowy i — zwłaszcza ostatnio — raczej nie do kupienia za złotówki. Nie zmienia to jednak faktu, że od dobrych kilkunastu lat mamy do czynienia na świecie z prawdziwą magnetowidową inwazją. Także w Polsce, mimo istnienia szeregu barier, ilość tych urządzeń powoli i systematycznie rośnie.

Narodził się magnetowid i w ogóle sprzęt video związane są ściśle z rozwojem telewizji. To właśnie stacje telewizyjne były pierwszymi jego użytkownikami. Szybko jednak okazało się, że video (kamery, monitory, magnetowidy) ma niezwykle bogate możliwości wykorzystania w różnych dziedzinach życia. I tak oprócz telewizji technika video zaczęła posługiwać się np. sportowcy, rejestrując, powiedzmy, przebieg meczu piłkarskiego w celu dokonania analizy gry własnego zespołu i przeciwnika. Urządzenia video mogą pełnić funkcję „elektronicznego strażnika” w bankach i dużych domach towarowych, mogą służyć jako niezależna pomoc dydaktyczna w szkołach i wyższych uczelniach. Prywatnym posiadaczom umożliwiają nagrywanie wybranych programów telewizyjnych i odtwarzanie ich potem dowolną ilość razy, a także realizację własnych pomysłów filmowych, czy też choćby rejestrowanie „na pamięć” ważnych uroczystości rodzinnych. To tylko wybrane przykłady. Jako jeden z pierwszych możliwościami techniki video zainteresowali się również ludzie sztuki.

W 1963 roku w Wuppertalu (RFN) dwaj awangardowi twórcy współpracujący ze studium Westdeutsche Rundfunk w Kolonii, Naum June Paik i Wolf Vostell zaprezentowali publicznie kilka odbiorników telewizyjnych, zakłócając na nich obraz m.in. poprzez włączenie do sieci elektrycznych urządzeń gospodarstwa domowego. Prezentację tę, która dziś może wzbudzić uśmiech wyrozumiałości, zwrócić uwagę na początek nowego kierunku w sztuce współczesnej, zwanego video-artem.

CZY JEST VIDEO-ART?

Najogólniej mówiąc — takim działaniem artystycznym, w którym twórca posługuje się sprzętem video. Sprzęt ten, odpowiednio zestawiony i podłączony, sam może pełnić funkcję dzieła sztuki (w. Instalacje video), a może też służyć po prostu do rejestracji innych działań artystycznych, jak np. happening. Jedno nie wyklucza tu zresztą drugiego, gdyż ów podział na dwa nurty w sztuce video jest czysto teoretyczny.

Czytelnicy śledzący na bieżąco najnowsze tendencje w sztuce wiedzą już zapewne, o czym mowa. Pozostałym, a tych jest niewątpliwie dużo więcej, należy się wszelako choćby parę słów komentarza.

Otóż tak jak stworzenie aparatu fotograficznego umożliwiło nam — w. Instalacje filmowe — film, tak rozwój telewizji — video-artu. Artysty zawsze interesowali się różnego rodzaju nowinkami technicznymi, wykorzystując je przedtem czy później w procesie tworzenia, przekazu i odbioru szeroko rozumianej sztuki. Kierowani twórczym niepokojem i często niekonwencjonalnym sposobem myślenia, metodą prób i błędów sprawdzali na ile to czy inne urządzenie może im służyć w pełniejszym wyrażeniu tego, co mają do powiedzenia. I tak też było w przypadku techniki telewizyjnej. Jej narodziny w drugiej połowie lat trzydziestych pobudziły wyobraźnię, skłaniały do twórczych poszukiwań, jednakże dopiero rozwój przemysłu elektronicznego i dostępność na rynku stosunkowo taniego sprzętu audiowizualnego otworzyły naprawdę nowe i częstokroć zaskakujące możliwości.

Może się wydać, że video, to tylko niejako „magnetyczny film”. Już na pierwszy rzut oka widać przecież analogię: kamera filmowa — kamera telewizyjna, taśma filmowa — taśma magnetyczna, projektor i ekran — magnetowid. Są to jednak tylko powierzchowne podobieństwa. W gruncie rzeczy są to dwa zupełnie inne środki przekazu, mające ze sobą tyle wspólnego, co malarstwo z fotografią, fotografia z filmem, a film — właśnie z telewizją. Wiemy przecież doskonale z własnego doświadczenia, że ten sam film trochę inaczej odbieramy w kinie, a inaczej — na ekranie domowego telewizora.

Jakkolwiek sztuka video narodziła się mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych, prawdziwy jej rozkwit nastąpił do-

Video — pierwsze podejście

piero z początkiem minionego dziesięciolecia, kiedy to wielkie koncerny elektroniczne, jak Philips, Sony czy Matsushita przystąpiły do seryjnej produkcji popularnych i przeznaczonych dla prywatnego odbiorcy magnetowidów (wraz z całym osprzętem). Za pionierami video-artu podążać zaczęło wielu twórców w wielu krajach, realizując coraz to śmielsze, coraz bardziej wyrafinowane i wyszukane kreacje artystyczne.

„Pokazywano rozmaite propozycje; jedne przypominały elektroniczne konstrukcje rzeźbiarskie — pisze Marek Hołynski („Sztuka” — nr 5–6/1977) — inne wykorzystywały socjopolityczne aspekty przekazu telewizyjnego lub penetrowały możliwości syntezy obrazu telewizyjnego za pomocą komputera. (...)

Zapisy video wzięły się wprost z dążenia artystów do utrwalania różnych działań twórczych, bywało, że zupełnie zresztą z video nie związanych. Zaczęło więc rejestrować (...) akcje i pomysły, po których, gdyby nie kamera i magnetowid, żaden ślad by nie pozostał. Okazało się przy tym, że video nie pozbawia ich (...) zamierzonego przez autorów przejściowego, efemerycznego charakteru. Przeciwnie, specyficzny, wyrwykowy zapis i zazwyczaj całkowity brak redakcyjnej oraz technicznej doskonałości, oddają znakomicie istotę rzeczy, a nawet przydają jej jakoby dodatkowego wymiaru. Dlatego też zapisy video przestały być jedynie sposobem zapamiętywania wydarzeń i zaczęły się liczyć jako samodzielna forma wypowiedzi.”

Ciekawym przykładem rejestracji video mogą być rejestracje amerykańskiego poety Vito Acconci, który „skierował np. kamerę na swoje otwarte usta, które jak gdyby pochłaniały cały ekran, i wygłaszał (bez zamykania ust) przemowę właśnie o otwieraniu ust”, a także chociażby — taśma z zapisem obrazu uzyskanego z kamery zainstalowanej na motocyklu, którym Roland Baladi jeździł ulicami stolicy Francji w ten sposób, by na planie miasta trasa jego przejazdu zarysowała słowo „PARIS”.

Drugim nurtem video-artu są tak zwane instalacje, za pomocą których starano się poznać różne techniczne możliwości sprzętu video. W doświadczeniach tych wykorzystywano także efekty jak deformacje obrazu, czy przesunięcie obrazu w czasie i przestrzeni. Istotnym elementem był tu również udział publiczności, której starano się zwrócić uwagę na z pozoru nawet banalne, a przecież na ogół niezamierzone i nie uświadamiane sobie na co dzień aspekty naszego życia.

Posłużmy się jeszcze raz przykładem przytoczonym przez Marka Hołynskiego: „Korytarz” Rogera Barnarda to ciekawy przypadek instalacji video wykorzystującej linie opóźniające. Ustawiona na stałe kamera rejestruje ruchy wchodzącego widza, który może oglądać swój obraz na monitorze w przeciwnym końcu korytarza. Nie jest to jednak obraz bezpośredni, lecz wyświetlony po upływie pewnego czasu, tak że widz, będąc już w środku korytarza obserwuje siebie dopiero nieśmiało zglądającego do wnętrza.”

Najbardziej żywiołowo sztuka video rozwijała się w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Z czasem zaczęły tam powstawać galerie specjalizujące się w prezentacji osiągnięć tego rodzaju sztuki, videoteki, ukazały się specjalistyczne periodyki omawiające to, co działo się w kręgu video-artu. Zrozumiałe, iż kryła się tu tym przede wszystkim łatwota nabycia odpowiedniego sprzętu (aktualnie cena magnetowidu waha się około 500 dolarów) której na ogół pozbawieni byli chociażby polscy twórcy. Mimo to jednak sztuka video stosunkowo szybko przeniknęła i do naszego kraju, a jej kolebką na polskim gruncie stała się Łódź.

Ta szczególna pozycja Łodzi nie była dziełem przypadku. Od lat przecież działała w mieście słynna także i poza granicami kraju łódzka „filmówka”, pracowały wytwórnie filmów fabularnych i oświatowych, aktywne było środowisko plastyczne. W 1970 roku grupa studentów i absolwentów Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej powołała do życia „Warsztat Formy Filmowej”, w kręgu którego obok filmowców znaleźli się również muzycy, plastycy, literaci, fotograficy... Z tego też grona wywodzi się pierwszy twórca i propagator polskiego video-artu.

W 1973 roku, w sali wystaw czasowych Muzeum Sztuki w Łodzi odbyła się „Akcja Warsztat”. Jej organizatorami byli członkowie „Warsztatu Formy Filmowej” — relacjonuje Janusz Kolodrubiec „Nowe medium sztuki — video”. — Głównym założeniem programowym było badanie nowych form języka filmowego oraz spektakli audiowizualnych. Przez dwadzieścia trzy dni

(...) trwały nieprzerwanie różnego rodzaju akcje, spektakle, realizacje artystyczne i techniczne. Każdego dnia odbywał się inny pokaz indywidualny lub grupowy. W ramach akcji dwa dni poświęcone były prezentacjom związanym z telewizją. 10 lutego Andrzej Różycki przedstawił „Seans telewizyjny”, a 21 lutego zainicjowano kolektywną pracę członków Warsztatu pt. „Obiektywna transmisja telewizyjna”. Zainteresowanie nowym medium wypływało w naturalny sposób z podejmowanych prób penetracji różnych form spektakli audiowizualnych. Praca Różyckiego zdawała się być pytaniem o funkcję telewizji. Autor prezentował odbiornik emitujący bieżący program telewizyjny, któremu nobilitację kontekst Muzeum Sztuki nadawał specyficzne znaczenie.

W czasie trwania programu Różycki „utrzymywał” zmieniające się obrazy, obrysowując je flamastrem na szybie kinekopu lub dokonując ich negacji pisząc słowo nie.”

Takie były początki. Później sztuką video zainteresowali się inni twórcy z Łodzi, a także — Warszawy, Wrocławia, Katowic i Lublina. Z czasem nawiązano kontakty z zagranicą. Polacy obecni byli m.in. na V Międzynarodowych Spotkaniach Video w Antwerpii i na Festiwalu Video w Aarhus (Dania). Z kolei nasza kraj zaczęli odwiedzać twórcy z Zachodu, pokazywano ich dorobek w polskich galeriach.

Mimo wszystko sztuka video nie doczekała się u nas ani popularności, ani większego uznania. Przez cały czas pozostawała jakby na boku głównego nurtu poszukiwań twórczych. Złożyło się na to wiele przyczyn. Po pierwsze video-art wykraczał odważnie poza powszechnie przyjęte kanony sztuki, stąd jego dużo większe oddziaływanie na samych twórców, niż na „ludzi z zewnątrz”, czyli publiczność. Nie zrobiono zresztą wiele, aby ów stan rzeczy zmienić. Drugą barierą były trudności w zdobyciu sprzętu. Wysokie klasy urządzenia zachodniej produkcji ciągle były zbyt drogie jak na polskie warunki, a nasze rodzime kamery i magnetowidy pozostawały wiele do życzenia pod względem tak konstrukcyjnym, jak i wykonania, nie mogły więc na ogół zaspokoić artystycznych aspiracji.

W 1977 roku przy Zarządzie Łódzkim Socjalistycznego Związku Studentów Polskich powstał klub „Art Forum” założony i kierowany przez Tadeusza Poradę. Głównym celem jego działalności była prezentacja awangardowych kierunków we współczesnej sztuce, w tym również — video-artu. W klubie realizowali swoje artystyczne pomysły: Józef Robakowski, Zbigniew Warpechowski, Jerzy Beres, Ewa Partum, Edward Łazikowski i inni. Gościli twórcy zagraniczni, jak choćby Shirley Cameron i Roland Miller z Wielkiej Brytanii.

Mieszczący się przy al. Kościuszki 93 studencki klub „Art Forum” przez cztery lata odgrywał ważną rolę ośrodka inicjującego i propagującego nowoczesną sztukę eksperymentalną, wykraczając w swoich działaniach daleko poza łódzkie środowisko akademickie, mimo że możliwości lokalowe, techniczne i finansowe były raczej skromne. Co prawda klub skupiał stosunkowo wąskie grono entuzjastów, by nie rzec wprost — pewną elitę, trudno jednak czynić z tego zarzut, gdyż to, co naprawdę nowe i oryginalne w sztuce, zawsze na początku miało elitarny charakter.

Po grudniu 1981 roku „Art Forum” nie wznowił już swojej działalności. Nowe realia życia społecznego i trudna sytuacja w środowiskach artystycznych położyły kres ambitnym planom jego członków i współpracowników. Powoli też wygasło jakby zainteresowanie sztuką video, która szczyt swoich osiągnięć zdawała się już mieć za sobą.

Znaczenie i wartość video-artu oceniać można rozmaicie. Jednym wyda się to ważnym krokiem w najnowszych dziejach sztuki, innym — zwykłym hochstaplerstwem. Z tą drugą opinią trudno zresztą na ogół polemizować, jako że zwykle wyrażają ją ci, którzy nie zadali sobie nawet trudu bliższego zapoznania się ze zjawiskiem, które oceniają. Nowe medium — technika video — stanowiła i nadal stanowi wyzwanie, którego współczesnej sztuce nie sposób było nie przyjąć. Należało przecież choćby sprawdzić, jakie daje możliwości wyrazu. I to chyba właśnie należy za wartość niepodważalną.

Istotą sztuki video jest zwrócenie uwagi na rodzenie się, charakter i oddziaływanie nowoczesnych form przekazu. Już nie sam komunikat, informacja były tu głównym elementem, ale — sposób jej formułowania i relatywność w zależności od kontekstu, intencji nadawcy i nastawienia odbiorcy. Wydaje się, że uświadamienie sobie istoty tych właśnie procesów i zjawisk, z którymi spotykamy się na każdym kroku, a których głębiej nie analizujemy, przynajmniej je za oczywiste, było po prostu współczesnej sztuce bardzo potrzebne.

P. T.

Do innych problemów związanych z „magnetowidową inwazją” powrócimy na łamach „Odgłosów” w najbliższym czasie.

marca, w mroźne sobotnie przedpołudnie, rozpoczął się w Zakopanem Memoriał Kornela Makuszyńskiego — wielka i sławna impreza narciarska, która tego roku zgromadziła na starcie ponad sześćset uczestników, małych dziewczynek i chłopczek stawiających w tym trudnym sporcie pierwsze, nie zawsze poradne kroki.

W przeciwieństwie do innych dziecięcych zawodów sportowych Memoriał Kornela Makuszyńskiego traktowany jest z ogromną powagą, i to przez wszystkich: przez grono sędziowskie, przez szalenie zdenerwowanych rodziców, przez trenerów i instruktorów, którzy maczają palce w niejednym sukcesie, no i przede wszystkim, przez dzieciarnię zestresowaną i stremowana już na kilka dni przed startem.

W Memoriale Kornela Makuszyńskiego monopol na zwycięstwa mają dzieci zakopiańskie, czemu niby trudno się dziwić. Już nie chodzi o to, że każde z nich wiechało na świat na nartach, nie zdejmując ich bodajże z nóg ani przez chwilę. Chodzi natomiast o to, że rodzice tych skrzabów, noszący zazwyczaj znane narciarskie nazwiska oraz wywodzący swa późniejsza sławę i medale z tej właśnie (dziecięcej na pozór) imprezy, wiedzą, co zrobić, aby Jasiek czy Zoska stanęli na podium.

Oto zaczął się slalom gigant. Mieczysław Maki, któremu ten reportaż poświęcam i który, oprócz kilku innych zawodów i pasji, jest również w czasie wolnym od pracy zamiłowanym nauczycielem narciarstwa, obserwując memoriałowe zmaganie, powiedział mniej więcej tak:

— Dzisiaj jest sobota, ale trasa slalomu wytyczono już wczoraj, w piątek. No i wszystkie startujące dzisiaj dzieci zakopiańskie zaznały się z trasą już wczoraj, ćwicząc pod fachowym okiem rodziców aż do późnego wieczoru, raz po raz zjeżdżając i omijając bramki, aż im to na dobre weszło w krew.

Mieczysław Maki też miał na starcie dwóch sześciolatków uczniów, tyle że były to dzieci z Polski niższej. Obydwało się jednak dobrze, ale zajęli miejsca poza strefą medalową. Jakkolwiek Mieczysław Maki jest od czternastu lat zakopiańczykiem, a urodził się w Nowym Targu i światła poza granicami nie widzi, poczuł się lekko dotknięty w swych trenerskich ambicjach i zaczął się odrażać, że za rok, kiedy nadejdzie pora kolejnego memoriału, przegrobie swych chłopczek: łodzianina i warszawianina, tak wspomina, że z pewnością odnosi zwycięstwo nad zakopiańską koalicją.

Miło było obserwować Mieczysława Maki w trakcie zawodów. Stał w połowie drogi między startem a metą i czekając na zjazd swoich dwóch uczniów, denerwował się jak reszta kibiców, demonstrując jednak, w przeciwieństwie do nich, dobre serce. Kiedy jakiś dzieciak upadł na trasie, a zdarzało się to często, podbiegał do niego, podnosił go ze śniegu i puszczal w dalszą drogę, nie zważając na to, że pomaga w ten sposób konkurencji. Nie było w nim ani odrobiny szowinizmu, nie obchodziło go, czy dzieciak jest ładny czy brzydki, biedny czy bogaty, wyposażony w supernowoczesny, zagraniczny sprzęt, czy też tylko w biedne, krótkie plastikowe narty, czy przejechał z wielkiej metropolii, czy też z małego miasteczka lub wioski. Pomagał wszystkim bez wyjątku, w myśl sloganu: wszystkie dzieci są nasze, i jeśli sławny patron (skądinąd inicjator) imprezy, wielki przyjaciel dzieciaków, Kornel Makuszyński, wstałby owej soboty na godzinę z grobu, przyznałby zapewne złoty order Koziołka Matołka właśnie Mieczysławowi Maki.

Nie straciłem jeszcze reporterskiego nosa. Coś intrzygało mnie w tym człowieku dużo bardziej niż same zawody, po których sześciolatków łodzianin i sześciolatków warszawianin, zadowoleni w sumie z dyplomów i miejsc w pierwszej dekadzie, zaczęli się z nim orzekomarczać w sposób dość bezpardonowy i bezczelny. A to obrzucali go śniegiem, a to poszturchiwali go albo podstawiali mu nogę — znośli te zaczepki z humorem i stoickim spokojem. W chwilach wytchnienia gawędził ze mną o różnych sprawach, o wielu ponuranych i znanych mu osobach narciarskich starszego pokolenia, o Stanisławie Marusarzu, który był wzorem sportowca, i do dzisiaj, kiedy go spotkasz na Krupówkach, wi-



Pasje Mieczysława Maki

ANDRZEJ MAKOWIECKI

dzisz, że zachował sprawność fizyczną i trzeźwość umysłu, czego, niestety, nie można powiedzieć o Wojciechu Fortunie — jaka szkoda, że dał się srogać kolegom na tak zwane manowce i zmarnował swój bezsprzecznie wielki talent. Tu, na przekór wszelkim krągłym opiniom, wróciłem swoje sportowe trzy grosze twierdząc, że Fortuna wcale swej kariery nie zmarnował, tylko ją po prostu skrócił, zdobywając w młodym wieku tytuł, którego inni nie zdobędą nigdy, choćby zaharowali się na śmierć i nie wypili przez całe życie kropli wódki. Szkoda oczywiście, że ją skrócił, ale najczęściej tak bywa, że kiedy człowiekowi uda się już raz pokonać najwyższy szczyt, brak mu nagle motywu, aby zrobić to ponownie kosztem mozolnej pracy i nieprzerwanych wyrzeczeń.

Z Maki można było rozmyślać nie tylko o sporcie, ale również o sztuce, nawiązując więc do przykładu Fortuny powiedziałem, że zarówno w faktach, choćby literaturze czy ma-

larstwie, jak i we wszelkich dyscyplinach sportu, nie wiecie, szukać sobie drogi ujęcia. Gadanie o kimś, że jest primadonną jednego sezonu, autorem jednego obrazu, jednej książki — czy jednego (dwóch!) udanego skoku, wynika z czystej ludzkiej zawiści. Po latach, w pamięci naszej albo też na kartach historii zostaje właśnie ten jeden obraz, jedna książka, jeden skok, nie będący żadnym tam cholernym uśmiechem losu, lecz wynikiem ludzkiego talentu i ludzkich umiejętności, które złożyły się akurat w tym a nie w innym momencie, jak muszka ze szczyrbinka na celowniku i trafiły bezbłędnie w środek tarczy.

Mówiąc, iż nie wierzę w przypadki, dodałem jednocześnie, iż tym bardziej nie wierzę w talenty ukryte, a więc takie, które niby istnieją, ale nie zdają się ujawnić. Teoria, iż na niejednym chłopskim wozie w machuje bątem potencjalny Szekspir, Rembrandt czy Chopin jest od początku do końca fałszywa, albowiem prawdziwy

talent, niezależnie od woli człowieka, jest imperatywny — fermentuje, szuka sobie drogi ujścia i wcześniej czy później zaczyna kielkować, jeśli nie miał dostatecznej siły przebicia, to znaczy, że nie był talentem prawdziwym i nie warto w ogóle o nim mówić. Oczywiście, że prawda ta odnosi się już wyłącznie do sztuki — w sporcie może przespąć swą życiową szansę jakiś, powiedzmy, osiek, który gdyby go w porę obudzili i postawili na ringu, byłby zdolny złamać cztery żebra mistrzowi świata wszechwag.

Mieczysław Maki z uwagą słuchał moich wywodów i nagle szepnął wielce zażenowany:

- Proszę pana...
- Tak?
- Chciałbym panu coś wyznać. Ja... tak trochę dubie w drzewie.
- Co pan robi?
- No, rzeźbię.

przekonany, że rzeźbiłby światełko. Ale profesjonalny krytyk miałby co do tego pewne wątpliwości. Wiecie, jak to jest z krytykami: nadmiernie się taki, zaduma i zaczyna kombinować: światełko — nie światełko? Niby światełko, bo nie kończył żadnej akademii i nikt go w ogóle nie uczył tych spraw. Z drugiej strony: co to za światełko, który ma liczne zainteresowania, duże wiadomości, no i jeździ własnym małym fiattem? No dobrze, ale może jednak światełko, bo nie dorobił się nawet żadnych przywoitów narzędzi i pracuje zwykłym, wystrzonym na oselce kozikiem. Nie, w żadnym razie nie światełko, gdyż w czasie tej swojej pracy, włącza (skandal!) nowoczesną aparaturę stereofoniczną i słucha muzyki typu country. Cholera wie jednak, czy nie światełko, skoro mieszka w takiej starej, prawdziwie zakopiańskiej, kojarzącej się z zapadłym średniowieczem chałupie. Na dodatek rzeźbi w czym popadnie: w korzeniach, w byle jakich kawałkach drewna. No i popija bezałkoholowy napój jabłkowy swojej roboty. A jaki tam światełko, ludzie! Patrzcie, no, dranie! Czyta to do poduszki jakieś historyczne dzieło!

Wieksość polskich krytyków nie poznała się jeszcze nigdy na niczym. Są to przemadrale, skądinąd, zresztą bardzo ostrożne nicponie, nie wykluczając tego od opery. Jeśli już nicponie czasami przemówi albo chwyci za pióro, to nigdy po to, żeby coś odkryć, lecz po to, aby błysnąć własnym intelektem i szeroką aparaturą naukową, w głębokim przeświadczeniu, iż jego dzieło krytyczne jest warte nieporównywalnie więcej od opisywanego przedmiotu. Bie, bie. Nicpon chętnie chwali to, co już powszechnie chwalone, dodając jeszcze od siebie kilka przymiotników, i gani z bezprzykładną nienawiścią wszystko to, co nie znalazło dotąd aprobaty. Wrażliwość nicponia równa się zeru, podobnie zresztą jak odwaga. Zdarza się, że wbrew powszechnej opinii twórca powie coś dobrego (lub złego) o twórcy i wylansuje nagłe (lub zniszczy) brata artystę. Nicponia na to nie stać: sformułowanie jednoznacznej, ekspresyjnej oceny nie mieści się w jego kodeksie moralnym, jest to zatem kodeks pospolitego drania.

Nie dziwię się, że nikt dotąd nie zaszczycił uwagą rzeźbę Mieczysława Maki, że nikt o nich nie pisał i nikt nie mówił, aczkolwiek jeden jedyny raz były wystawione na jakiejś tam regionalnej, nowohuckiej eks-

pozycji. Ale nie dziwie się również, że nikomu nieznany artysta, bez reklamy i poręki, nie ma kłopotów ze sprzedażą swych dzieł, z których wiele trafiło za granicę, w tym również do Ameryki Południowej, która ma przecież swoich własnych, wielce oryginalnych światkarzy.

Wedle kryteriów stosowanych przez nicponi, światkarz powinien być pospolitym wiejskim przyglupem, a jego dzieła konieczne! winny odznaczać się nieporadnością, prymitywizmem i brzydota. Im więcej uproszczeń, tym lepiej, najlepiej zaś, jeśli rzeźba uwijała wszelkim prawidłom proporcji i symetrii.

Mieczysław Maki nie ma więc w tej konkurencji szans. Jego figurki są wprawdzie z tego samego tworzywa i tej samej wielkości, co inne światełki, straszące na wystawach sklepów cepeliowskich całego kraju, technika jednak pan Mieczysław rzuca wszystkich ludowych rzeźbiarzy na kolana. Nie rezygnując z pewnych deformacji i akcentów karykaturalnych, Maki robi z drewnem, co chce. Reka trzyma krzyż, to czuje się w niej ciężar tego krzyża. Z trzydziestu rzeźb, które mi pokazał, każda miała inny nos, inne usta, inne czoło, inną troskę i zadumę na twarzy, inną, grubą bądź szczupłą sylwetkę, w której wszystko, co było do pokazania, zostało pokazane, bez leku, że nie wyjdzie mu jakiś szczegół: palec, zmarszczka na policzku, zagłębienie w rekawie, brzuch, garb czy podwójny podbródek.

Typologia, bogactwo ludzkich fizjonomii jest tak wielkie, że może ulec chorobliwej zawiści najdoskonalszy choćby pisarz czy malarz wspierający się zazwyczaj modelami.

Pytam: — Pozują panu jacyś ludzie? — Nie. — Więc skąd pan ich bierze? — Ano — powiada — patrzą uważnie na ulicy.

Nie szkicuje pan? — Nie. Po prostu patrzę i próbuję ich zapamiętać. Nie raz trafiają się takie typy, że wbiłają się w pamięć jak gwóźdź, i siedzą tam tak długo, tak długo mnie dręczą, aż ich nie wyrzeźbię.

— Czy zdarza się panu również wyrzeźbić jakąś sylwetkę z czystej wyobraźni?

— Tak. Wie pan duże znaczenie ma drewno, które biorę do ręki — jego kształt, barwa, słoje, seki, skrzywienia. To podsuwa mi nierzadko pierwszy pomysł, który w trakcie pracy rodzi inne pomysły, i często wychodzą mi takie twarze i takie sylwetki, którym później sam się dziwię.

— I ja się dziwię. Przecież oprócz twarzy typowo góralskich i polskich, rzeźbi pan także maski niemalże murzyńskie o grubych i szerokich ustach, wydatnych nosach i podłużnych czaszkach.

Mieczysław Maki śmieje się głośno i przeczy, jakby widział kiedykolwiek afrykańską maskę.

— To są diabły — mówi wskazując na swoją egzotyczną kolekcję. I dodaje pośpiesznie: — Ale polskie diabły, proszę pana! Polskie!

Sam nie wiem, kiedy łapie się za kieszeń i kupuje jedną z niewielkich figurek. Są niedrogie, więc chce również kupić drugą, ale w Mace odzywa się nagle dusza zazdrosnego artysty.

— Jeśli pan bardzo będzie napierał — mówi — to sprzedam, jestem jednak do niej mocno przywiązany, bo to moja trzecia rzeźba w życiu.

— W takim razie weźmie te. Wskazałem zakopiańskiego wesołka przekrzywiałego głowę i wspierającego brodę na ręce, w związku z czym prawy policzek wypuczył się w sposób artystycznie bezbłędny.

— Te też sprzedam, jeśli pan będzie napierał — oświadczył pan Mieczysław z uderką w głosie. I dodał: — Wyrzeźbiłem ją niedawno, a jak coś wyrzeźbię, to lubię to trochę potrzymać w domu i nacieszyć oczy.

Nie nalegałem, i jakkolwiek rzadko się wzruszam, byłem wzruszony. Maki chyba też był wzruszony i żądając tylko symbolicznej złotówki dał mi kilka miniaturowych światełek, których nie chciałem przyjąć bez zapłaty, przekonał mnie jednak i wziąłem.

Pomyślałem, że pokaże je moim przyjaciółom: Henrykowi Pióciennikowi i Antoniemu Szramowi. Być może zechcą pomóc Mace, chociaż on sam nie wydaje się złać reklamę i sławy.



W ten sposób dochodzimy do odkrycia. Późno bo późno i określona droga, ale to dobrze. Warto było najpierw pokazać Mieczysława Maki z innej strony — jako skromnego instruktora narciarstwa i dobrego człowieka. Warto chyba również od razu uzupełnić jego sylwetkę o kilka dodatkowych szczegółów. Otóż: ma pięćdziesiąt cztery lata. Pracuje w zakładzie, który wykonuje różne znakli drogowe na użytek komunikacji. Oprócz tego jest malarzem pokojowym, ale tylko od przypadku do przypadku. Kiedyś, w latach powojennych, jako narciarz specjalizujący się w kombinacji alpejskiej klasyfikowany był w dziesiątce najlepszych Polaków. Jako senior (old boy) zdobył dwa lata temu w tej konkurencji Puchar Zakopanego. Poza nartami, które są jego wielką miłością i z którymi nie rozstał się w sezonie nawet wówczas, kiedy zawałony jest pracą zawodową (w takich momentach udaje się na jakiś stok choćby po zmrózku i jeździ nie zważając na to, że wyciągi są już nieczynne), lubi włóczyć się latem i jesienią po górach, nie stroniąc tak, że od wspinaczki.

Ale największą pasją Mieczysława Maki jest rzeźba tkwiąca korzeniami w tradycji ludowej i nieuchronnie kojarząca się na pierwszy rzut oka ze światełkami.

Sam pan Mieczysław jest

Polemiki • Listy • Opinie

BEZ TYTUŁU!

Bez tytułu — bo brak słów! Dziennik Ustaw nie jest lekturą powszechnie czytana i właśnie dlatego myślę, że warto rozpoznać pewien temat, zaczerpnąć z numeru 2 z 1984 r.

W rozporządzeniu Ministra Leśnictwa o ochronie gatunkowej zwierząt stwierdza się, co następuje:

„Uznaje się za podlegające ochronie następujące gatunki zwierząt, zwane dalej gatunkami chronionymi...”. I tu następuje wyliczanka, z której tylko niektóre pozycje:

Z owadów — modliszki, jelonki rogacz, pał królowej i wszystkie trzmiele.

Z ryb — jesiotry i kielbie.

Z ptaków — salamandry, traszki, wszystkie ropuchy i rzetokki (kto je pamięta?).

Z gadów — żółw błotny, wszystkie jaszczurki i węże.

Z ptaków — wszystkie gatunki łabędzi, mew, rybitw i wydrzyków. Także kukułki i kraski. Wszystkie dzięcioły (i), wszystkie wróblowe z wyjątkiem srok, wron i gawronów, a także kawek i wróbl, dla których jednakże ustala się okres ochronny od 15 marca do 30 czerwca.

Z ssaków — wszystkie jeże, krety (poza zamkniętymi ogrodami, szkółkami i lotnikami), nietoperze, świstaki, susły, bobry, zające-bielaki, norki europejskie, kozice, niedźwiedzie brunatne (bo innych nie ma!) i żubry.

Zabrania się również niszczenia mrowisk w lasach.

W sumie — 80 pozycji, obejmujących w większości wszystkich przedstawicieli danego gatunku.

Ochrona polega na zakazie zabijania, chwytania i płoszenia zwierząt. Nie wolno niszczyć gniazd, barłogów, nor i zeremi oraz gąsiennic, poczwerek, jaj i piskląt, jeśli zaś chodzi o osiem gatunków ptaków — to nie wolno dokonywać jakichkolwiek zmian otoczenia w odległości od 200 do 500 m od tak zwanego „stanowiska” (gniazda lub grupy gniazd).

Jest oczywiście trochę wyjątków, wynikających z potrzeb nauki.

Dalej przeczytałem: „...Jeśli zmiany środowiska przyrodniczego wywołane działalnością człowieka spowodują zagrożenie zwierząt gatunków chronionych — organ administracji jest obowiązany podjąć działania w celu zapewnienia trwałego zachowania danego gatunku bądź zapobieżenia szkodom lub ich ograniczenia...”. Ograniczenia? A do jakich granic? Oby nie było to po prostu życzenie!

Przeczytałem raz jeszcze: trzmiele, ropuchy, jaszczurki, węże, dzięcioły, jeże, kukułki, nietoperze, mrowiska...!!!

Kłaniam się nisko wielkiej chemii! Nie gnijącym i nie palącym się opakowaniom plastikowym, detergentom zatrzymującym popiół ścieki wszystko, co pływa, a za sprawą mycia samochodów na parkingach i gdzie popadnie — zatrzymującym w końcu glebę. Flejtuchom-rolnikom, którzy worki po środkach ochrony roślin zostawiają na skraju pól, dzięki czemu truje się nie tylko, co się miało wytruć — lecz wszystko, co żyje. Wynalazcom „aerolu”, a szczególnie gazowi o nazwie „freon”, czyniącemu coraz większe spustoszenie w atmosferze. Przemysłowi, również skutecznie zatrzymującym atmosferę i zrzucającemu miliony ton pyłu i innych odpadów, często rakotwórczych. Transportowi i

związkom ołowiu sprawiającym, że wzdłuż dróg istnieje właściwie martwy pas gleby i nie powinno się tam niczego uprawiać. Budownictwu, upychającemu wybrukowane elementy wielkopłytowe w podmiejskich lasach, bo nie wiadomo, co z nimi zrobić (swoją drogą jestem ciekaw, co zrobimy z tą gigantyczną kupą gruzów, gdy nadejdzie czas śmierci technicznej naszych bloków?) Szeroko pojętej melioracji, która na miarę mojego niefachowego rozumu raczej odwadnia, niż nawadnia, a poziom wód w kraju coraz niższy i deficyt wody przed progami, jeśli nie już.

Kłaniam się wszystkim, którzy przez opacznie pojętą oszczędność, krótkowzroczność i brak przewidywania — przyspieszają degradację środowiska.

Kłaniam się z prośbą o opamiętanie!

„Moja wojna — Twoja wojna”, jak mówi jeden z bohaterów „Czterech Pancernych”. Tym razem wojna o środowisko, o przyrodę. Aby nas wnikli nie pytały: „Dziadku — jak wygląda jeź?” i byśmy nie musieli odpowiadać: „zobacz w książce” lub „...po-czekaj do niedzieli, pójdziemy do ZOO...”.

I aby — jak to czytamy w opowiadaniach S-F — nie zastąpiły nas już niedługo zdegenerowane pokolenia, snujące się po prawie wymarłej planecie!

W. AFELT

„CZAS NARYSOWANY OŁÓWKIEM”

W związku z wydrukowaniem w „Odgłosach” dnia 21 kwietnia br. artykułu pt. „Czas narysowany ołówkiem”, prosimy uprzejmie o uwzględnienie i zamieszczenie w tygodniku następującej erraty:

Szpalt:	wiersz	jest:	powinno być:
1	14 z góry	V	VII
1	74 z góry	Bolgot	Bolgot
2	29 z góry	4 numery	5 numerów
3	24 z góry	„Perycz”	„Pereć”

W szpalcie 3 w wierszu 42 z dołu zamiast zdania: „Jestem autorem 5 scenariuszy reżyserem seryjnego filmu „Zaczarowany ołówek”... powinien być zdanie: „Jestem współautorem (Ochocki, Baraniecki) kilku scenariuszy i reżyserem pierwszego odcinka filmu z cyklu „Zaczarowany ołówek” pt. „Na podwórzu” oraz autorem plastycznego opracowania pozostałych serii i odcinków tegoż cyklu, którego reżyserami byli: Alina Kotowska, Zbigniew Czerniecki, Andrzej Piliczewski i Ludwik Kronic.”

KAROL BARANIECKI
FRANCISZEK LEWANDOWSKI

„CZARNA MAŃKA” I NIEPOROZUMIENIE

W numerze 12 „Odgłosów” opublikowaliście artykuł Adama Bienkowskiego pt. „Łódzki ojciec chrzestny” i „Czarna Mańka”, w którym autor zarzuca Teatrowi „Syrena”, iż w programie widowiska „Czarna Mańka” nie się nie wspomina o autorze tego przedwojennego szlagieru. W odpowiedzi na ten artykuł otrzymaliśmy następującą list:

Szanowny Redaktorze!

W „Odgłosach” (z dnia 24.III.br.) pisze pan Adam Bienkowski o „Czarnej Mańce” i Gunkowskim Rzeczą kończy atakując na mój Teatr „Syrena”, który wystawia „Czarną Mańkę” Lutowskiego i Waldorffa, a o autorze piosenki w programie cisza. Zaliczam ów program (vide str. 7 i 10). Widać z tego, że pan Bienkowski czytać nie potrafi na pewno. Czy umie pisać? — nie moja sprawa

Z szacunkiem
WITOLD FILLER

Istotnie, w nadesłanym nam programie „Czarnej Mańki” znajduje się następujący fragment:

„Mańka zmienia (...), często miejsca zamieszkania — z Bugaju przenosi się na Browarną, z Browarnej na ulicę świętego Wincentego, stamtąd na Pelcowiznę, z Pelcowizny — na Kercelak. Ale zawsze tańczy, zawsze pije, zawsze ma opiekuna i zawsze ma gołci. Aż chce się zawołać: niech się zlitują wreszcie auto-

rzy anonimowych i nieanonimowych piosenek nad tą „Klawą szemrawą dziewczyną” i dodadzą jej trochę poezji, niech zakończą jej nędzny niesprzający okolicznościami żywot akcentem wzniostym i tragicznym. I znalazł się taki autor — Czesław Gunkowski, który w okresie międzywojennym poświęcił Czarnej Mańce „świeżej miłości obłądną i zawrotną” wielozwrotną balladę, do której melodii stworzył Feliks Halpern. Co prawda nadal była tam „uliczną taką”, nadal przez noce całe buwila się „na Czarniakowskiej, Górnej, na Woli”, ale, choć ciało zbrukane, serce jej czyste pragnęło prawdziwej miłości, „cnio jej się”, w oczach błyskały „łasknoty łzy”. Toteż, gdy dumna i dzika dziewczyna spotkała „syna nocy”, rzuciła dla niego wszystko. Ale ów syn nocy rzucił wkrótce ją. Cóż jej zostało?... Trucizna. Cicha i blada Czarna Mańka leżała sobie teraz w trumnie wśród kwiatów. Uchylił na czas pogrzebu okoliczne spelunki”.

Natomiast na stronie 10 programu jest pełny tekst ballady, który pozwalamy sobie wydrukować, aby Czytelnik wiedział, o co toczy się spór.

CZARNA MAŃKA

Zwano ją Czarną Mańką wśród ulicy,
Znał ją dobrze wszyscy wszędzie i w krag.
Noc czar jakis, spoglądał z jej zrenicy,
Choć przechodziła ot, tak — z ręk do rąk.
Miłość obłądną i zawrotną stała,
Była ulicą taką — bo i co?
Durzy się w Mańce pół Woli bez nula,
Niejeden o nią zakrawał się nóż.

Na Czarniakowskiej, Górnej, na Woli,
W ciemnych spelunkach, gdzie życie ure,
Hej! Tam w kompanii często do woli
Noc całą Mańka buwila się.
Lecz czasem coś ją tak za serce ścisnęło,
I sama nie wie, czemu się jej cni.
Psiakrew... aż szklanka rzucona prysnęła.
Hej, coż to, Mańka? — W oczach twych łzy?

Aż raz poznała ulicy syna,
Co żył wśród nocy z nozą lub kradł,
I pokochała dzika go dziewczyną,
Bez niego dla niej już nie istniał świat.
Stała się jego korną niewolnicą,
Dawnych kompanii porzuciła gwar:
„Czyś na mnie rzucił jakiś urok, czy co? —
Pyta go Mańka — czyś zadał mi czar?”

Na Czarniakowskiej, Górnej, na Woli... itd.

A wkrótce przysnął sen o szczęściu złoty,
Porzucił Mańkę ów kochanek raz.
Nie zważał wcale na łzy ni pieszczoty,
Nawet jej nie bił — zimny był jak glaz.
Poszedł — nie wrócił, jak to w życiu bywa,
Ale bez niego ona nie chce żyć:
W szale rozpaczny truciznę żyżyła —
Przerwana życia Czarnej Mańki nit.

Na Czarniakowskiej, Górnej, na Woli,
Pośród spelunek dziś cicho tam.
Hej, czy to pogrzeb sunie powoli?
To Czarnej Mańki, jednej z tych „dam”.
Wśród kwiatów leży blada i cicha,
I płynie z wolna tam, gdzie nasz kres...
Psiakrew! To życia historia licha.
Ach, coż tam! — zresztą nie trzeba łez.

CZESŁAW GUNKOWSKI

(Bronisław Wiczorkiewicz „Warszawskie ballady podwórzowe”, PIW, 1971).

PAN KŁAMIE!

„Ucieka się pan do kłamstwa” — to chyba to samo, co „pan kłamie” — prawda? Tak właśnie mówi do mnie pan Józef Spychalski, autor książki „Trudne powroty”. Ponieważ jest to słowo obraźliwe, a padło na łamach „Odgłosów”, mam nadzieję, że na tychże łamach znajdzie się niniejszy list. Pozostawiając poza tym osądowi Czytelników całą elegancję cytowanego zwrotu, wracam do sprawy, która nadal wydaje mi się ważna.

Pan Spychalski „długo zastanawiał się nad tym, czy artykuł Włodzimierza Krzemińskiego o „Trudnych powrotach” zasługuje na replikę: dwa tygodnie, w tym dziesięć dni to cykl wydawniczy pisma. Redakcja „Odgłosów” zastanawiała się prawie trzy miesiące, zanim wydrukowała mój felieton. W międzyczasie zaś ukazało się kilka recenzji, bardzo pozytywnych, pisanych przez ludzi młodych, którzy nie mogą zweryfikować zawartych w książce realiów i uogólniają sprawę (czemu trudno się dziwić) wnioskiem: oto świadectwo wojennych losów polskich podchorążych. I właśnie to uogólnienie jest błędne i nieprawdziwe i nie daje mi spokoju.

„Było różnie” — gromi mnie w swej replice Józef Spychalski i stwierdza, że kłamię pisząc o spaniu na oszronionych wrzosie, bo w moich „Pięciu latach z hakiem” piszę przecież o łzach wygładzających prawie jak mieszkanie. Otóż o wrzosie też piszę w tej samej książce. Albowiem było różnie. Napisałem przecież w felietonie, że jednostkowe losy Borowskiego też pewnie są prawdziwe, tylko prawda bulwersująca nietypowa, nie zrównoważona innymi, „różnymi” przykładami. Podtrzymuję to twierdzenie, a ponieważ nietypowość uogólniona staje się po prostu nieprawdą, wydzwięk „Trudnych powrotów” jest dla mnie nadal trudny do przyjęcia.

Jest też pod moim adresem zarzut insynuacji oraz tego, że nie przeczytałem książki Spychalskiego. Jakież to insynuacje i jak mogłem nie przeczytać, skoro operuję drobiazgowymi cytacjami z podaniem stronicy? Jeśli za mało tych cytatów, żeby wysnuć wniosek o niebywałych uprzejmościach ze strony Niemców, o wielkim zadowoleniu pomiędzy nimi Polaków, o wzajemnych życzliwościach, sympatiach i wykintnych manierach, to mogę cytować znacznie więcej, prawie co stronę:

„Te pierwsze odruchy życzliwości...” (str. 67);
„Jeśli jest Hilde, to napijemy się herbaty” — proponuje wytwornie Niemiec tylko co przybytemu polskiemu niewolnikowi (str. 68);

„Willi, krzesło dla Piotra!” — nakazuje jeden Niemiec drugiemu, a Piotr, ten honorowy gość, to właśnie świeżo „kupiony” polski jeńiec (str. 69);

„Poznał dzieje rodziny Brinkmanów, obejrzał rodzinne fotografie” — już w parę godzin po „nastaniu” u Niemca, przy herbatce. Cóż za sielanka! (str. 70);

„Nie wyobrażasz sobie, jaka to miła staruszka. Pocrulem się u niej tak, jakbym należał do rodziny” — zwierza się jeden podchorążemu drugiemu o „swojej” Niemce (str. 70).

To tylko kolejnych parę stron, a ta atmosfera trwa przez całą książkę aż do wyzwolenia przez aliantów, którzy od razu przynoszą ze sobą same utrapienia. Ja nawet wierzę w te wrzody dziecięce w alianckich obozach (jaka różnica wobec dziecka Anny i De Brooke’a, które „wyciąga do niego pulchne rączki”, a on „obsypuje je czułością” — str. 74). Tylko że takie nagromadzenie miłych staruszek po jednej stronie, a wszystkich kręgów nędzy po drugiej — wykrzywia obraz i z dwóch prawdziwych (chyba) elementów skleja fałszywą (na pewno) całość.

Ala przede wszystkim to nie wiem dlaczego stale podkre-

śla się tu podchorążactwo bohaterów książki, chociaż to nie ono przesądzało specyfikę ich losu. Podchorążowie mieli swoje szczególne losy, bardzo, ale to bardzo inne od losów Borowskiego. Jeśli przyjąć zdanie Spychalskiego: „pisałem po to, aby oddać prawdę tamtych lat”, jeśli to ma być „wiodąca” prawda, która zostanie, to kłamię nie tylko ja w moim felietonie. Kłamię wszyscy autorzy zbiorowego tomu „Gdy byliśmy literą „P” (LSW 1963), kłamię autorzy książeczki „Podchorążowie, podchorążowie” (PAX, 1983) i kłamię pani W. C. w „Przeglądzie Tygodniowym” z 4 marca br. (nazwisko znane redakcji), gdy pisze tak: „Nie znalazłem żadnego „ludzkiego” gospodarza, który by wpuszczał Polaka do swego prywatnego mieszkania. Polki mogły przestąpić wysoki próg, ale tylko żeby okna wymyć czy wypastować podłogi. Były sporadyczne przypadki, że Polak siedział do stołu razem z Niemcami. Należały one jednak do rzadkości.”

Na koniec skromne pytanie: jeżeli Józef Spychalski twierdzi, że „nie pisał książki po to, aby zadowolić wszystkich jej czytelników”, to dlaczego tak alergicznie reaguje na to, że skorzystałem z prawa bycia niezadowolonym?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ZBIORNIK NA PALIWO I BRAK OPERATYWNOŚCI W HANDLU

Na zimę zatankowałem pełen zbiornik paliwa. Garażowanie pod „chmurką”. Wiosną wyjechałem po raz pierwszy. Silnik krztusi się i głośno po przejechaniu zaledwie 500 m. Przyczyna — brak paliwa w zbiorniku. Benzyna przecież nie mogła wyparować przez zimę? Różne przypuszczenia i podejrzenia. Z ledwością dopchałem do najbliższej stacji. Nie posiadam kanistara, a nawet gdybym miał, nie mogłbym wlać do niego benzyny na stacji CPN. Tankuję do oporu. Przyjeżdżam do domu i co się okazuje? Mam przeciek w zbiorniku. Podstawiam pod bak miednicę i niezwłocznie udaję się do sklepu specjalizującego się w sprzedaży części do „Dacii” przy ul. Rewolucji 1905 roku. Myślę, że dobrze trafiłem. Akurat po remanencie. Kolejka nieco przydługa, ale staję na końcu przy chodniku.

— Niestety — zbiorników nie posiadamy — słyszę w odpowiedzi na moje pytanie.

— Panie, ale mam fatalną sytuację — benzyna mi z baku ucieka.

— Nic na to nie poradzimy — być może mają na Franciszkańskiej? Taksówką na Franciszkańską. Nie posiadają. Są, ale do „Syreny”.

— Co mam począć?

— Jedynie wyjść — jechać do Kielc. Tam pan z pewnością otrzyma. Wracam do domu zdenerwowany. Wymieniam naczynie, które jest pełne. Dalej jakos nie cieknie. Widocznie dziurka się zapchała. Całe szczęście. Wybieram się do Kielc. Podróż kolejną niezwykle męczącą. Na autobus PKS nie mogłem już zdążyć.

Prosto z pociągu udaję się do sklepu specjalistycznego przy ul. Rewolucji Październikowej. Jak pech, to pech. Nie mają w sprzedaży zbiorników.

— Może uda się coś panu załatwić w naszym serwisie „Polmozbytu”, przy ul. Krakowskiej na drugim końcu miasta. Jadę taksówką. Na miejscu łowiaduję się, że owszem, posiadają zbiorniki, lecz jedynie na wymianę.

— A może są na stanie w waszych magazynach?

— Tego nie wiemy — musi się pan poinformować w dyrekcji PP „Polmozbyt” przy ul. Czarnowskiej 22, ale już jutro — dziś za późno.

Nie daję za wygraną. Postanawiam zanoć w hotelu „Centralnym” WPT „Lysogóry”. Mam szczęście, są miejsca. Pokoik jednoosobowy, na trzecim piętrze. Wygląda raczej obskurnie niż „antycznymi meblami”, zepsutym radiem oraz zamknięciem na „zapalke” za cenę 560 zł.

Na drugi dzień z samego rana rozpoczynam moją wędrówkę na nowo od dyrekcji PP „Polmozbyt”. Dział „Dacia”. Okazuje się, że według kartotek na stanie w magazynie jest spora ilość zbiorników z czujnikami i bez czujników. Natomiast w sklepie brakuje.

— To niemożliwe — dziwi się jedna z pań. Sprawdzam kartoteki sklepów w Łodzi i na miejscu. Pobierali, ale dość dawno temu.

— W takiej sytuacji może sprzedacie jednak państwo ten u-

pragniony zbiornik od ręki. Straciłem dwa dni na poszukiwanie.

— W zasadzie nie prowadzimy detalicznej sprzedaży — informuje grzecznie pani z magazynu — ale proszę się udać do kierownika magazynu, być może zezwoli ze względu na zaistniałe okoliczności. Kierownik wyrozumiały. Po przedstawieniu całej sprawy — polecił wypisać fakturę na zbiornik paliwa nr. 00099 (Dacia) 84 mag. 011. Uszczęśliwiony takim obrotem sprawy biegnę do kasy na II piętrze. Płacę żywą gotówką jedynie 5420 zł i już czuję się posiadaczem zbiornika. Odbiór w nowym magazynie budującego się „Centrum Polmozbytu” w dzielnicy Nie-wachlów. Bagatelka. Ale jak się tam dostać? Droga obecnie w przebudowie. Objazdy. Pozostaje taksówka.

Rzeczywiście „Centrum” imponujące. Z ledwością udaje się nam odnaleźć właściwy magazyn z tzw. „blachą”. Wnętrze magazynu załadowane od dołu do góry częściami zamiennymi do „Dacii”. Dosłownie pękła w szwach, a półki sklepowe świecą pustkami. Autentycznie.

Jakos udaje mi się zdążyć na ostatni autobus pospieszny, odjeżdżający do Łodzi o godz. 15.00. Po drodze nasuwają mi się mimo woli takie oto refleksje: Co prawda stałem się szczęśliwym posiadaczem zbiornika paliwa, chociaż bez czujnika, lecz o wiele byłbym bardziej usatysfakcjonowany gdybym mógł go otrzymać na miejscu. A swoją drogą, taki czujnik z całą pewnością przyszedłby się naszym handlowcom, aby nie lekceważyli swoich klientów. Przecież z tego żyją, budują nowe „Centrum”, a co kupić jakże trudno.

W sumie zbiornik kosztował mnie około 8000 złotych, nie wliczając straconego bezpowrotnie czasu i szarpaniny nerwów. Tak naprawdę zdawać by się mogło głupia i drobna sprawa, która mogła się przydarzyć każdemu z nas, potencjalnych klientów i nie tylko i wyłącznie zmotoryzowanych, lecz i innych bezskutecznie szukających różnego rodzaju drobiazków po całej Polsce.

Operatywność naszego handlu państwowego i spółdzielczego musi stanowczo ulec radykalnej poprawie i zmianie na lepsze. Inaczej nadal będziemy psioczyć i narzekać na nieuczciwych „prywdacarzy” wykorzystujących te koniunktury w naszym handlu. Kupujemy buble. Płacimy grube polskie złotówki, jesteśmy nabijani w „butelkę” przez nieuczciwych handlowców, począwszy od sklepików z częściami zamiennymi do motoryzacji, a skończywszy na „butikach”, które rosną jak grzyby po deszczu w naszym nietypowym krajobrazie przeróżnych sprzeczności oraz naleciałości z lat ubiegłych.

Nasze magazyny, jak w tym przypadku pękają w szwach od posiadanych na składzie zapasów, a towary trudno uszlachetnić w sklepach. Krew nagła człowieka zalewa, gdy patrzy na taką gospodarkę, dystrybucję i handel. A klient cierpi za wszystkie winy, nie mając żadnego wpływu na brak kompetencji oraz ogólną niemoc i bałagan, o czym się głośno mówi i pisze niemal codziennie. Jak trudno jest przełamać tę barierę braku operatywności.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

Dokończenie ze strony 1

leczenie kierownika mamy się przeprowadzić do innych pokoi, a dwie osoby otrzymują nagane za zakłócanie porządku w hotelu.

KIEROWNIK:

— Proszę pana, pani Grzelak jest bardzo nieodpowiedzialna, ona jest bardzo agresywna i konfliktowa, nie może się z nikim zgodzić, z każdym się kłóci. Chciałaby wszystkim narzucać swoją wolę. Ta sprawa się powtarzała cały czas, w pokoju „4” doszło ponownie do sytuacji konfliktowej, w której ona brała udział. Najpierw wezwałam wszystkie osoby i próbowałam porozmawiać. Kiedy nie poskutkowało, pani Grzelakowa dostała nagane, a wszystkie osoby z tego mieszkania zostały rozkwatowane.

HENRYKA NOWAK:

— Kierownik w ogóle nie pozwala dojść słowu, podnosi głos i mówi, że są „gówniarmi” — rozmawiać nie będzie, może najwyższej powyrzucić z hotelu — jak się komuś nie podoba. Tak było i tym razem, w ogóle nie chciał wysłuchać naszych racji. Nawet nie pozwala dziewczynom się bronić.

— Dziewczyny się tego kierownika boją. Jak ktoś zależy na pracy w „Skogarze” to przecież tutaj musi mieszkać, no nie? Dziewczyny zdają sobie z tego sprawę, że w każdej chwili mogą dostać nagane, potem druga i „wyłecieć” z hotelu. Po takiej naganie nie ma się do kogo odwołać, bo w dyrekcji „Skogaru” i w dziale socjalnym to samo. Jeden drugiego poprze. Niektóre osoby to nawet nie wiedzą za co dostały nagane i dlaczego zostały rozdzielone. Kierownik ma taki kaprys i koniec.

KIEROWNIK:

— Ze jestem niegrzeczny? Proszę pana, każdemu jeżeli się chce można przykleić odpowiednią łatkę. Ja się nie przejmuję gadaniem i robię swoje. Jestem stanowczy i tyle. A od oceniania mojej osoby jest dyrektora „Skogaru”. Ja wiem, że nie wszystkie decyzje są popularne, ale mam wytyczony cel; czyli to co ustalone w regulaminie. Kierownik ma taką możliwość, żeby decydować kto ma mieszkać w którym pokoju. Tylko ja decyduje czy mam kogoś rozkwatować czy nie. Również, jako kierownik mam możliwość karności. Kary są następujące — nagana pierwsza, nagana druga i wykwaterowanie z hotelu.

ZOFIA GRZELAK:

— Ten kierownik nie ma w ogóle podejścia do ludzi, tym bardziej do młodych dziewczyn. Co to za sposób wychowywania tylko za pomocą nagan i straszenia. Dziewczyny się szybko pogodziły i nie było potrzeby umieszczania ich w innych pokojach.

MARIOLA ZIELIŃSKA:

— Co z tego, że zostaliśmy rozkwatowane, jak i tak przebywamy razem. Są takie przypadki, że dziewczyny przyjaźnią się w pracy i chciałyby mieszkać razem, albo tak jak my — siostry. I kaprys kierownika ma o tym decydować? Przecież w każdym mieszkaniu, gdzie przebywa kilka osób, powstają konflikty; nawet w rodzinie. To ma być powód do nagan i wyprowadzenia z mieszkania?

PRZEWODNICZĄCA SAMORZĄDU HOTELOWEGO:

— Pani Grzelak mieszkała w mieszkaniu ośmiuosobowym. Tam były dwie pary siostr i wszystkie dziewczyny były z tej samej miejscowości. Dochodziło więc do częstych sprzeczek, bo jedna drugiej „wyciągała brudy”. Zofia Grzelak była gospodynią mieszkania i ingerowała we wszystko co robiły dziewczyny.

Kierownik wydał więc polecenie, żeby rozparcelować. Rozparcelować, to znaczy umieścić każdą w innym mieszkaniu. Pani Grzelak dostała nagane. Ja wiem, że nagana dla dorosłej osoby to nie jest najlepsze rozwiązanie. Gdyby to był internat można by było stosować inne sankcje.

Najbardziej jest mi przykro, że nikt spod „czwórki” nie przyszedł na rozmowę albo na skargę do samorządu...

HENRYKA NOWAK:

— Ja na przykład nie znam nikogo z samorządu, podobnie jak moje koleżanki. Prawda o samorządzie jest taka, że oni podpisują się tylko pod naganami, chociaż nie wiedzą o co dokładnie chodzi. Tak jak w naszym przypadku. Co przedstawiciele samorządu mogą w tej sprawie wiedzieć, skoro z nami nie rozmawiali. Ale pod nagana samorząd się podpisał.

Życie w „tartaku”

KIEROWNIK:

— Nie znają nikogo z samorządu? Nikt nikomu nie narzucał składu samorządu. Proszę pana, samorząd wybierali sami mieszkańcy i powinni mieć do niego zaufanie. Lista osób będących w samorządzie hotelowym wisiała na tablicy ogłoszeń. To, że ją ktoś zerwał — to już nie moja wina.

ZOFIA GRZELAK:

— Jak napisałam list do „Odgłosów” i został on wydrukowany — to kierownik zaraz poprosił przedstawicieli z mojego zakładu, żeby zasięgnąć opinii. Poza tym robi mi mnie nagonek. Jak poprosiłam konserwatora, żeby mi wykreślił zamek z tamtego mieszkania, to on powiedział, że nie wolno mu nie dla mnie robić i że ma polecenie mnie obserwować. Kierownik z kolei ciągle się pyta, kiedy się wyprowadzam. Ja bym się chętnie wyprowadziła, bo już dłużej w tym hotelu mieszkać nie mogę. Napisałam nawet ogłoszenie do gazety, że poszukuję mieszkania. Tutaj mieszkać — to jest koszmar, panie redaktorze. Kiedyś to się kierownik do mnie wdziały i mówił „lalu” — To na samym początku. Ale kiedy się zorientował, że nie „z tego nie będzie” — to zaraz zmienił o mnie zdanie.

ANNA ANDRZEJCZAK:

— Kierownik najpierw robi „złote” miny, coś tam dziewczynom proponuje — a jak nie z tego nie wychodzi — to jest bardzo złośliwy. W jego obronie mogą stanąć tylko te osoby, które mieszkają w pokoju jednoosobowym, albo te, co mają lepsze sprzęty w mieszkaniu.

ANNA NOWICKA:

— Jest w hotelu sporo osób, które chciałyby się pozbyć kierownika. Piszą jakieś petycje i skargi. A ja panu powiem, że ten człowiek jest o niebo lepszy od poprzedniego, temu chociaż zależy na porządku, dlatego jest surowy.

KIEROWNIK:

— Pani Grzelak jest bardzo nerwowa, po raz któryś zmienia mieszkanie i z nikim się nie zgadza. Zagląda również do kieliszka. Jak mam dowody? Nie chodzę przecież z balonikiem, ale widziałam ją podpiętą. Poza tym to jest osoba chorego psychicznie... Jej zakład pracy też nie ma o niej najlepszego zdania. Tam też jest konfliktowa...

MARIOLA ZIELIŃSKA:

— Właściwie nie można się udać do kierownika z żadną sprawą, on nas tylko lekceważy i nie chce w ogóle rozmawiać...

KIEROWNIK:

— Konflikty? Bywają takie tygodnie, kiedy nie ma żadnego. Są jednak dni, kiedy przychodzą do mnie na okragło. A to, że koleżanka nie chce sprzątać, że się pokłóciły z jakimś powodem. Jak przyszła do mnie jedna i powiedziała, że ją koleżanka wyzwała od kurew to kazałam jej pójść do rady prawnej w zakładzie po poradę. To nie jest sprawa dla kierownika hotelu. Moja rola jest taka, żeby zakwaterować ludzi, dopilnować, żeby było czysto i żeby nie było usterek. Na portierni jest rejestr, gdzie wpisuje się wszystkie zaobserwowane usterki. Kiedy się zbiera więcej, przychodzi konserwator i wszystko naprawia.

ZOFIA GRZELAK:

— Co z tego, że wpisujemy usterki w zeszyt, skoro nikt się tym nie przejmie. O wybitę szybie zgłaszaliśmy już pół roku temu. A ile jest popsutych wersalek i szafek? Niech pan zobaczy, jak pod „szesnastką” wygląda ściana w łazience, jaka jest zagrybiona. Bardzo często nie ma ciepłej wody, są również nieszczelne okna i zimą marzniemy. Gaz jest taki słaby, że przez godzinę gotuje się czajnik wody.

Żeby się kierownik tym wszystkim zainteresował, przeszedł się po pokojach i obejrzał wszystkie usterki, ale po co. On woli się zajmować tym, że się dziewczyny w pokoju pokłóciły i dawać nagany.

KIEROWNIK:

— Prawie codziennie chodzę po pokojach i oglądam, czy wszystko jest w porządku. To, że w niektórych pokojach jest brudno i nieestetycznie — to zależy od samych lokatorów. Są pokoje, gdzie widać rękę gospodyni, widać że traktuje ten hotel jak swój dom. Ale niektórym na tym w ogóle nie zależy. Porządek tworzą sami mieszkańcy. Pan jest odpowiednio ukierunkowany, jak widzę...

ZOFIA GRZELAK:

— Świetlica jest taka mała, jak dwa pokoje mieszkalne. Jak jest jakiś ciekawy film, to ludzie muszą stać, bo się w tej świetlicy nie mieszczą.

PRZEWODNICZĄCA SAMORZĄDU:

— Rozrywek specjalnie tutaj nie ma, to fakt. Faktem jest również, że świetlica jest trochę za mała. Jako samorząd zajmujemy się tą sprawą. Będziemy się starali, żeby świetlicę poszerzyć.

KIEROWNIK:

— Blok jest własnością spółdzielni mieszkaniowej i nie ma możliwości poszerzenia świetlicy. Zresztą nie widzę takiej potrzeby. Wszystko jest w porządku, wiele osób ma telewizory w pokojach. A w ogóle to nie ma chętnych do uczestniczenia w imprezach kulturalnych. W Domu Kultury na Rydzowej odbywały się różne imprezy, ale nikt z hotelu nie przychodził. Zresztą „Skogar” rozprowadza bilety. U nas nie ma więc potrzeby prowadzenia takiej działalności...

HENRYKA NOWAK:

— Nie potrzeba prowadzić żadnej działalności

kulturalnej? Na tyłu mieszkańców hotelu, żeby była taka mała świetlica z telewizorem? Przecież nie każdy ma telewizor w pokoju. Nie ma tutaj żadnej biblioteki, żadnej czytelnicy. Dziewczyny nie mają żadnych zajęć. Jak przychodzi na pracę do hotelu, to tylko siedzą w pokojach i się nudzą — bo nie ma co robić. A później głupie myśli przychodzą do głowy.

MARIOLA ZIELIŃSKA:

— Młode dziewczyny mogą się tylko tutaj zdemoralizować. Przecież pan wie, jak ten hotel wszyscy nazywają. Tutaj się dzieją różne orgie, czasami spać w nocy nie można.

KIEROWNIK:

— Za mojej kadencji tylko raz interweniowała milicja. Tutaj się nie szczególnie nie dzieje, nikt nie staje na głowie. To, że mieszkańcy okolicznych bloków mają o hotelu złe zdanie wynika z tego, że chce się odebrać nam ten budynek. Poza tym hotel robotniczy ma zawsze złą opinię i ludzie przypisują mu złą etykietę.

ZOFIA GRZELAK:

— Nic się tutaj nie dzieje? A mało ja nie przespałam nocy. Mało to razy wchodzi, nie wiadomo jak, mężczyźni i wała w nocy do drzwi, mało tutaj jest w nocy krzyku. Kiedy spędzałam tutaj pierwszą noc i później poszłam rano do pracy, to nie wiedziałam co się ze mną dzieje; w ogóle nie mogłam pracować. Teraz się po prostu przyzwyczaiłam. Ale jak czytamy książkę, to bardzo często nic z tego, co przeczytałam, nie rozumiem, bo za duży hałas.

— Powiem panu szczerze, ja dopiero w fabryce odpočywałam. Mogłabym pracować przez szesnaście godzin, żeby tutaj nie wracać. Aż mi się niedobrze robi, jak wchodzę do tego bloku. Szczególnie najmłodsze dziewczyny mogą się napatrzyć.

ANNA ANDRZEJCZAK:

— Kierownik mówi, że tutaj jest cicho i spokojnie? A skąd on może wiedzieć, jak nigdy wieczorem nie przychodzi. Jakby chociaż raz przyszedł — to by widział jak chłopaki wchodzą po balkonach, jak portier za pół litra wódki wpuszcza do środka, jaki tutaj jest bałagan w nocy.

PRZEWODNICZĄCA SAMORZĄDU:

— Niektóre dziewczyny mieszkają po sześć lat i jakoś nie narzekają. Jak ktoś się chce zdemoralizować, to i tak się zdemoralizuje. Bywają dziewczyny, które specjalnie wyjeżdżają do innego miasta, żeby się oderwać od rodziców i poszaleć. Ja sądzę, że każdy w swoim mieszkaniu powinien pilnować porządku.

KIEROWNIK:

— I tak żadne rozmowy nie skutkują, jedynie nagany się sprawdzają, bo dziewczyny się boją, że zostaną wyrzucone z hotelu.

JACEK BINKOWSKI

Od autora: Zapis dokonany na podstawie taśmy magnetofonowej. Nazwiska i imiona bohaterów, na ich prośbę, zmienione.

Dokończenie ze strony 1

czynni przyznali się do włamań do kiosku, klubu OSP, sklepu spożywczego i restauracji. Miejscem akcji były: Andrzejów, Andropol, Bedon, Gałkówka i Właczyn Górną.

Najciekawszym jednak okazał się fakt, że Czesław P. naprawdę nazywa się Krzysztof M., ma dwadzieścia cztery lata i mieszka w Łodzi.

Od niego się ta cała historia zaczęła. Otóż Krzysztof M. stwierdził, że miał w dzieciństwie uraz głowy i w 1978 r. przez to siedział, w związku z czym po trzech miesiącach zwolniono go z wojska. No i w drodze z wojska dostał mu skradł w pociągu dowód osobisty. Poczuł się nieszczerliwym samotny i zagrożony. W trakcie późniejszego badania sądowo-psychiatrycznego, wynikłego z faktu, że Krzysztof M. oświadczył, iż przez rok leczył się na nerwy w Szpitalu im. Babińskiego, ustalono, że ojciec zmarł na raka, a matka wyszła powrotnie za mąż. Ojczym pił, w domu jest melina, więc chłopak nie może tam mieszkać. Nocuje u kolegów lub u swojej dziewczyny. Ma brata, ale nie wie, o ile lat starszego. Poza tym czuje się bardzo zdrowy psychicznie. Nigdzie nie pracuje, bo nie jest „parobkiem dla PRL”. Ze złodziejstwa starczy dla dziewczyny, a matka to szmata i dno, handluje wódką. On zaś jest abstynentem i wódkę wylewa do rynsztoka.

Skończył się miesiąc w głowie później, to miał wcześniej zaplanować skok na wariata. Ale był w strachu. Bał się, że będzie ścigany za uchylanie się od pracy. Musiał mieć dowód osobisty.

W tym czasie zaczął jeździć na dworzec Łódź Fabryczna z myślą, że znajdzie jakiś dowód jak ktoś zgubił. Pewnego razu spotkał tam kolegę Wiesława P., z którym razem siedział i Bogdana S., którego nie znał. Poskarżył się, że zgubił dowód, a Wiesław na to, że załatwi, ale nie darmo. Krzysztof spytał, za ile. Wiesław oznajmił, że będą robić włamanie i z każdego skoku Wiesław odpali mu pięć patyków. M. z leku przed ściganiem za paszportywność przyjął propozycję. Zaczekał na dworcu, a tamci pojechali pociągami do Andrzejowa i po czterech godzinach przywieźli upragniony dowód. K. M. nie zmieniając nawet zdjęcia nauczył się z dowodu „personalistów” i posługiwał się nim jak sam Czesław P.

Bogdan S., z którym żona nie mieszka, bo on robi awantury, nie pracuje, pije i jest bezdzietny, oświadczył natomiast, że raz pił piwo w Wiesławie przy różnie na stacji w Andrzejowie, zabrakło mu forsy, więc zaproponował skok na kiosk. Pojechali na Fabryczną, usiedli na ławce i podłapali Krzysia.

Wiesław P., żonaty i dzieciaty, pracujący dorywczo na przelaz, karany sądowo i administracyjnie, nie wiedział, skąd Krzysiek miał dowód Czesława P. A włamanie to zapropo nował Bogdan, zwłaszcza że w Właczynie Górnym, ponieważ znał teren. Potem Krzyskowi się coś pokiekało, bo powiedział, że oni mu przywieźli na Fabryczną faceta z dowodem osobistym, za który ten gość chciał dwadzieścia tysięcy. K. M. nie miał forsy, więc musiał iść na włamanie.

Poczekali do dwudziestego drugiego i pojechali do Andrzejowa. Sprawdzili, jak jest zamknięty kiosk, no czym ukryli się w łasku. Dokładnie o północy Krzysztof M. stanął na lipku, żeby gwizdać, jakby ktoś nad-

chodził, a Bogdan przetem metalowym zabranym z torów ukłonił kłódkę. Kartony papierosów zmieściły się w dwóch torbach i w dwóch workach po ziemniakach. Worki schowali w lesie, a z torbami poszli na stację i o czwartej pojechali do Łodzi bo przed północą wykupili bilety. Potem wrócili po worki i wszystko zanieśli do Mirosława C.

Na Bałuckim Rynku, jak wyjaśnił Krzysztof, dostali za papierosy 15 tys. Krzysztof ze swojej doli dał Wiesławowi 3 tys. za dowód. Natomiast w relacji

Skok na wariata

Bogdana wyglądało na nieco inaczey. U Mirki Krzysztof przełożył papierosy z worków do torby (chyba na raty?) i chodząc gdzieś. Sprzedał wszystko, był podziwiał i obiad w „Balatonie”. Później poszli na Fabryczną i Krzysiek gdzieś się zawieruszył, więc wrócili do Mirki. U C. wypiliśmy razem z nim jednym butelkę wódki Mirki, którym zakupiliśmy wraz z kolegą niedaleko PKWN za siedemset osiem złotych.

Potem jeszcze dwie butelki, bo trzydziestoletnia Mirosława C. miała chandrę, gdyż ma jej urlopował i był na zrywaniu owoców w Grójeckim. A potem...

No cóż, sytuacja jest komplikująca, ponieważ włamywacze nie są zgodni w swych wyjaśnieniach i podają bardzo zaniżone ilości i wartości łupów. Bogdan np. kupił sobie z tych skoków jedynie sztruksy. Powiedział, że chcieli zrobić skok do sklepu koło Zakowic, ale zostali spłoszeni. „Każdy uciekł w inną stronę, ja dowlokłem się aż do Andrzejowa, włazłem do

starej stodóły, rano przyszli tam Krzych z Wiesławem i przynieśli dwa worki papierosów, mówili, że z kiosku w Bedoniu”.

Żeby dostać się do klubu OSP, trzeba było wytłamać kłódkę do strażackich garaży, zniszczyć kratę i wybić dziurę w ścianie. A łupem padły cukierki i magnetofon. Ze sklepu w Właczynie wzięli noż kuchenny i dwie paczki masła.

Najlepszy był skok na restaurację „Kaprys” w Andrzejowie. Krzysztof M. znowu stał na lipku, bo był czujny i nazywano go „Ramzesem”. Bogdan nie

kg kawy, 10 kg kielbasy i 12 kg salcesonu, franki, buty, kurtka skórzana i prawie 18 tys. zł w banknotach i w bilionie.

Z takim łupem nie można było sobie urządzić wycieczkowych rajdów taksówką z Andrzejowa do Łodzi i z powrotem. Ogółem od sierpnia do 20 września 1982 roku włamywacze zagarnęli mienie o wartości co najmniej 180 tys. zł. Ale jeszcze nie wszystko im podliczono, bo działali także na terenie innego województwa. Byłoby więcej, ponieważ Wiesław planował skok na bank w Gałkówku, ale 20 września przed południem do mieszkania Mirki wtargnęli wredni gliniarze i skończyli się złodziejska zabawa.

Mirosława C. stwierdziła, że nie miała pojęcia, skąd to bogactwo. Ale brała pieniądze za przechowanie łupów. W stosownym oświadczeniu napisała: „Tylko młynyk do kawy nie stanowi mojej własności. Kto go przyniósł do mieszkania, tego nie wiem, ponieważ w ten dzień piłam bardzo dużo alkoholu”.

Na rozprawie zrozumieli swój błąd. Oświadczyła, że kłamała, aby osłaniać rabusiów. Nie chciałaby śledzić, bo ma troje chorowitych dzieci i jest na utrzymaniu męża. Milicja wszystko dokładnie sprawdziła i zwróciła Mirosławie C. radio „Boston” i rowery, bo te nie pochodziły z włamania.

Badania sądowo-psychiatryczne wykazały, iż Krzysztof M. nie zdradza objawów choroby psychicznej, ani cech niedorozwoju umysłowego chociaż jest osobnikiem o nieprawidłowo ukształtowanej osobowości. Rozumiał znaczenie dokonywanych czynów i mógł pokierować swoim postępowaniem.

Krzysztof zaplanował świętym oburzeniem i napisał zażalenie do prokuratury. „Zostałem przedstawiony w szpitalu Ba-

bińskiego w celu przebadania mnie moją poczytalność. Pani doktor orzekła, że jestem całkowicie zdrowy. Jest to niezgodne z obowiązującymi przepisami, żeby mógł lekarz wydać orzeczenie o stanie mego zdrowia w przeciągu 10 minut. Dawnie badany był przez lekarzy biegłych, którzy orzekli, że jestem chory psychiatrycznie, choruję na urojenia i niedorozwój umysłowy”.

Na rozprawie koledzy zapagnęli pójść w jego ślady. Bogdan S. powiedział, że kiedy pijany w sztok wracał z zabawy, zobaczył kratę stojącą pod ścianą „Kaprysu”. Pomyślał, że restauracja jest otwarta, więc wszedł do środka, żeby się jeszcze napić.

Wiesław P. w ogóle nie wdziałał odpowiedzi. Nie utrzymywał kontaktu ani z sądem, ani z pozostałymi oskarżonymi. Przez cały czas stał na baczność, wyciągnięty jak struna i niemy jak głaz, z rękami przyściętymi do ciała, wzniesioną głową i wzrokiem wbitym w ścianę.

Krzysztof M. przyznał się jedynie do wejścia do „Kaprysu”. Restauracja była w nocy otwarta, więc wziął sobie telewizor i młynyk do kawy. A że w areszcie i na przesłuchaniach mówił co innego? „Ja dostawałem jakieś środki i w głowie mi się mieszało”.

I z tego pomieszczenia siedzi teraz na państwowej kwaterze. Bo ten człowiek o trzech nazwiskach, łącznie z historycznie egipskim, o jednym zapomniał. Zdobył lewe papiery ale żeby zrobić skok na wariata, trzeba jeszcze uzyskać wariackie papiery.

RYSZARD BINKOWSKI

W scenarii amerykańskiej stolicy stał się czymś naturalnym. Z rzadka tylko ktoś pędzący rano do pracy lub odbywający poobiedni spacer daje się przestraszyć obszarpianym, brudnym postaciom na ławkach przed Białym Domem, na szybach wentylacyjnych wielkich biurowców. Bezdomni, wędrujący bez celu mężczyźni i kobiety, którzy kilka sztuk dobytku noszą ze sobą w plastikowych torbach czy woreczkach, nikomu się nie na przykładzają. Czasami (...) już w takim stopniu stają się częścią codzienności, że ich nieobecność przez dzień lub dwa jest zauważana i budzi pytania o miejsce ich pobytu.

We wszystkich innych miastach amerykańskich obraz jest podobny, nigdzie jednak tak wyraźny jak w Nowym Jorku, gdzie liczba bezdomnych tymczasem miała wzrosnąć do 40 tys. Brak dokładnych danych statystycznych co do rozmiarów problemu. W skali kraju — jak się ocenia — powinno istnieć jednakże dwa do trzech milionów tych „drop out”, których bez śladu omijają owoce rozwoju gospodarczego. Jeśli wierzyć doniesieniom prywatnych organizacji pomocy i niezliczonym garkuchniom, zorganizowanym przez kościoły, dobrowolne inicjatywy obywatelskie i gminy, liczba potrzebujących gwałtownie wzrosła w ostatnich miesiącach. Potwierdzają to osobiste obserwacje w Waszyngtonie: w scenarii ulicznej bezdomni, wśród nich coraz częściej kobiety i młodzież, stali się liczniejsi i bardziej dostrzegalni.

Bezdomność w Ameryce (...) jest jednak tylko jednym z kamyczków mozaiki w wielkim obrazie rosnącego ubóstwa. W Stanach Zjednoczonych ok. 30 proc. włóczęgów to ofiary głodowej i długiej recesji ostatnich trzech lat. Są to długotrwali bezrobotni, którzy utracili miejsce pracy ostatnio w wyniku procesu pracy. Wykorzystali świadczenia z funduszu pomocy bezrobotnym, stracili wszystko co mieli i obecnie w beznadziejnej sytuacji

szukają „swego szczęścia” na ulicy. Wśród młodzieży zbiera się przed skutkami recesji i bezrobocia.

Z pewnością słusze jest to, co mówi rząd Reagana, że patrząc statystycznie stopa ubóstwa byłaby znacznie niższa, gdyby wyznaczano jako część dochodu sumy przeznaczone na państwowe świadczenia socjalne jak subwencje żywnościowe i mieszkaniowe czy opieka lekarska. Tylko subwencje żywnościowe wzrosły 5-krotnie w latach siedemdziesiątych, wynoszą obecnie prawie 18 mld dolarów i dotyczą 23,4 mln lu-

die. Prawda jest jednak równie, że dokonane przez obecny rząd cięcia w budżecie socjalnym przynajmniej przyspieszyły tempo wzrostu ubóstwa.

Wiele zmian w zasadach świadczeń społecznych podjęto wprawdzie z pozytywnym zamiarem zachęcenia do pracy osób objętych pomocą, w rzeczywistości jednak cięcia dotknęły tych, którzy już pracują, a których zarobki są tak małe, że pozwalają na nędzną egzystencję tylko z pomocą państwa. Przez cofnięcie pomocy państwowej ci „working poor” i inni jednak zmuszeni porzucić swe miejsca pracy i żyć jedynie z zapomogi. Żyjącym z zapomogi państwo płaciło bowiem ubezpieczenia na wypadek choroby, część komornego, dożywianie w szkole dla dzieci i inne dodatkowe świadczenia, których „pracujący biedacy” byli w całości pozbawieni.

Opublikowane w sierpniu 1983 studium nadpartyjnego biura budżetowego Kongresu ukazuje jasny obraz ciężarów, jakie nałożyły na najuboższą część ludności amerykańskiej reaganowskie cięcia w budżecie na cele socjalne: między 1982 a 1983 rokiem oszczędność wyniosła w sumie 110 mld dolarów, czyli około 7 proc. w porównaniu z oszczędnościami budżetowymi rządu Cartera. Na

48 proc. wszystkich gospodarstw domowych z rocznym dochodem poniżej 20 tys. dolarów przypada aż 70 proc. tych ograniczeń wydatków na świadczenia, ponieważ one właśnie korzystają głównie z mocno okrojonego programu żywienia dzieci, programu organizowania prac publicznych, przydziałów żywności i pomocy wychowawczej.

W innym sprawozdaniu można przeczytać, że w kulminacyjnym punkcie bezrobocia latem 1983 r. tylko 38,6 proc. bezrobotnych otrzymywało zasiłek

z różnych regionów kraju. Z pewnością błędem jest uosabianie oficjalnie zdefiniowanego ubóstwa z głodem czy też porównywanie obecnej sytuacji z 1967 rokiem, kiedy sprawozdanie grupy lekarzy o klęsce głodowej w wiejskich rejonach stanu Missisipi wstrząsnęło narodem. Prezydent Nixon oświadczył wówczas, że „nieznośny i przykry jest fakt istnienia głodu w najbogszym kraju na świecie”. Niepodważalny jest fakt, że jednak dziś znowu w Stanach Zjednoczonych są głodni ludzie, a przede wszystkim głodne dzieci.

„Dla wielu Amerykanów — jak mówi demokratyczny deputowany Leon Panetta — również dziś miesiąc w miesiąc starczy pieniędzy na życie. W ostatnich 10 dniach miesiąca każdorazowo wydłużają się kolejki przed garkuchniami. Nawet ożywienie gospodarcze nie przyniosło żadnej poprawy”.

Republikański senator Dole, który podobnie jak Panetta w różnych rejonach kraju organizował publiczne posłuchania w sprawie głodu, potwierdza te opinie. Podczas gdy Panetta przyznaje zia widzi w ograniczeniach programu żywnościowego, które po prostu posunęły się zbyt daleko, Dole, a także prezydent Reagan i jego współpracownicy nie znajdują żadnego zadowalającego wyjaśnienia. Ponieważ państwo olbrzymimi sumami wspiera więcej rodzin niż kiedykolwiek, a ten potok państwowych pieniędzy tak wciąż nie wystarcza, by wyeliminować biedę i głód, dlatego najwyższy czas, by ostatecznie ustalić rzeczywiste przyczyny.

Gdzie rzeczywiście należy ich szukać, abstrahując od wpływów koniunkturalnych, w tej kwestii fachowcy działają po omacku. Teza reprezentowana przez konserwatywnych polityków, że opieka społeczna stwarza również zależność, bardziej niechętnie akceptowana jest przez liberałów. Ważnym wyjaśnieniem problemu ubóstwa — dopiero w ostatnich latach dotarło to do świadomości polityków społecznych — jest z pewnością znaczny przyrost liczby rodzin bez mężczyzny jako głównego żywiciela, prze-

de wszystkim wśród czarnej mniejszości. „Feminizacja ubóstwa” nazywa Diana Pearce, kierująca centrum badawczym katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, przerażający fakt, że w Stanach Zjednoczonych wyrasta niższa klasa rodzin z kobietą jako głową rodziny, a rozwój gospodarczy omija tę klasę niemal bez śladu.

Takie rodziny reprezentują 46 proc. z 7,5 mln gospodarstw domowych żyjących w nędzy, w nich wyrasta również znaczna część 21 proc. ubogich dzieci. Na nie przypada 80 proc. świadczeń opieki społecznej dla rodzin mających dzieci, a 40 proc. tych rodzin otrzymuje ponadto talony na żywność i darmową opiekę lekarską. Choć w ostatnich dziesięciu latach przede wszystkim liczba kobiet wzrosła na rynku pracy i to one przeważnie otrzymywały nowo stworzone miejsca pracy, ich wynagrodzenie ciągle jeszcze pozostaje w tyle za tym, co otrzymują pracujący mężczyźni. Na każdego dolara zarobionego przez mężczyznę zatrudnionego na porównywalnym miejscu pracy kobieta otrzymuje tylko 59 centów.

Przy tak dużym zróżnicowaniu plac, nie ma nic dziwnego w fakcie, że wiele kobiet obciążonych dziećmi nie jest w stanie ze swej pracy utrzymać się na powierzchni, choćby w dolnej granicy skali plac. Nie mają one innego wyboru niż udanie się do urzędu opieki społecznej. Jak wobec wysokiej liczby rozwodów i wielu dzieci pozamałżeńskich — 55 proc. wszystkich czarnych dzieci przychodzi na świat jako dzieci nieślubne — można rozstrząsać właśnie ten problem, jest to tylko jedno z wielu pytań dotyczących nędzy, na jakie społeczeństwo amerykańskie nie udzieliło dotychczas odpowiedzi.

(„FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG”)

Czy szczury i wszy zjadą Francuzów?

Nasz kraj uważa, że jest czysty, skoro ma ku temu warunki. Tymczasem jednak Francja nie dba o siebie. Wszędzie dostrzegamy oznaki pogorszenia stanu higieny. Szczury mają się znakomicie, myszy mnożą się, wszy powróciły do szkół, łuszczyca i świerzb są coraz powszechniejsze.

To prawda, że nasz kraj nie stał się jeszcze jednym wielkim śmietniskiem i nie trzeba obawiać się nawroty dżumy czy cholery. — To przede wszystkim zjawisko miejskie, a jeśli chodzi o wszy i pchły, to być może jest to tylko plaga przejściowa — stwierdza doktor Schmouchovitch — lekarz-inspektor z dyrekcji do spraw sanitarnych i socjalnych w Quimper. Mówi o „latach pełnej i wszy” tak jakby to było zjawisko normalne, ale jeśli chcemy zorientować się w stanie higieny Francuzów, to wystarczy posłuchać lekarzy, fryzjerów, sanitariuszy i kosmetyczek.

Doktor Alain Senikies z Paryża mówi: „Jeśli ktoś przyjdzie do mnie i skarży się na ból w nodze, to ta boląca stopa jest czysta, ale druga... Pacjent, który nie przypuszcza, że chce obejrzeć jego drugą nogę, zapomina ją umyć przed wizytą”. Nathalie Dornieu kosmetyczka z Paryża, dodaje: „Pod lakierowanymi paznokciami jest zazwyczaj mnóstwo brudu”. A oto, co stwierdza pewna ekspedientka z ulicy Bethune w Lille: „Gdybyście wiedzieli, co znajdujemy w kabinach, w których przymiiera się ubrania...”.

A przecież ten „nowy brud” nie ogranicza się tylko do „prawdziwych brudasów”. Tacy zawsze istnieli. Działająca niedbałość rozpowszechnia się jako zjawisko w miarę jak szybsze staje się tempo życia codziennego, jak ludzie są coraz bardziej zmęczeni, jak mają wszystkich dosyć. Oto znak czasu. Specjalistyczny periodyk „LES NOUVELLES ESTHETIQUES” poświęcił cały październikowy numer zaniechaniom w higienie osobistej. Autorzy tych artykułów podejrzewają przede wszystkim, że „matki, przytłoczone obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi, zaniedbują się szczególnie”. Zmęczone kobiety idą w większość spać nie zmywając makijażu, a w salonach kosmetycznych powiedzą wam, że ich bielizna jest mocno podejrzana. Zrezygnowane i zmęczone matki nie wpadają też zasad higieny swoim dzieciom i nie uczą je na przykład, by przed pójściem spać myły zęby.

„Nie ulega wątpliwości, że dzieci prosto z łóżka zaczynają ubierać się”. Nauczycielka historii, Sylvie B., jest zrezygnowana: „Zwalczam gumę do żucia trzymaną pod ławkami. Kiedy przechodzę między uczniami stwierdzam, że ich karki są mocno brudnawe”. Helene P., która jest pielęgniarką w tej samej szkole, dodaje: „Zapach nóg po wizycie dzieci w gabinecie lekarskim? Okropny. Nawet, jeśli dzieci wiedzą, że czeka je taka wizyta, to i tak nie myją się”.

Francoise H., która jest nauczycielką gimnastyki w jednej ze szkół w departamencie Eure, mówi: „Nastolatki nie lubią mydła”. Oskarża

jednak o to rodziców: „Najbrudniejsi nie są wcale — jak to się często mówi — dzieci imigrantów. Nawet w rodzinach zamożnych, gdzie dzieci są doglądane ich ubranie pozostawia wiele do życzenia. Są na nich jakieś plamy i ślady potu. Po lekcji gimnastyki wielu chłopców chodzi jeszcze przez parę dni w tych samych podkoszulkach. Czasem nawet cały tydzień — do następnej lekcji”.

W latach pięćdziesiątych w walce o higienę wiele szkół wprowadziło obowiązek noszenia bluz. Były to bluzy bezowe i różowe — na zmianę. Dziś jednak zwykłe mydło rąk jest już problemem. Można by sądzić, że dziewczyny są bardziej czyste niż chłopcy. Therese Dumont, która w centrum Lille wynajmuje sześć pokoi dla studentów, nie jest takiego zdania. „Nigdy już nie wynajmę pokoju studentce. To niewyobrażalne, jak dziewczyny mogą być brudne”.

A jak załatwia się sprawę porządków domowych? Po prostu wyrzuca się śmieci przez okno. „Ta metoda jest wielce modna” — przyznaje Jean Strugo z biura mieszkanki kawaterunkowych w Paryżu. W 20 dzielnic Paryża rodzice uczniów wystąpili ze skargą. Dach sali rekreacyjnej służył za śmietnik lokatorów sąsiedniej kamienicy. Nawet zsyty, ta wylegarnia mikrobów, nie stanowiła dobrego rozwiązania. Oto, co mówi dr Francois Tournade, higienista: „W zsykach znajdujemy dosłownie wszystko i to drogą choroby przenoszoną z jednego piętra na drugie”. Problem zsyków to po prostu sprawa ich utrzymania w czystości. Czystość jest wprawdzie obowiązkowa, ale zazwyczaj ogranicza się do pośpiesznej dezynfekcji. Sekretariat stanu do spraw zdrowia zaczął już w tej sprawie śledztwo.

W Paryżu wystawione są na ulicach wielkie pojemniki na przedmioty, których chcą się pozbyć lokatorzy. To raj dla kłozardów i szmaciarzy. „Wyciągają stamtąd wszystko, segregują, a resztę pozostawiają na chodniku” — irytuje się dyrektorka do spraw czystości, Nicole Letourneur. — W pobliżu wielkich domów towarowych mamy z kolei mnóstwo papierowych toreb porzuconych przez kupujących. A przecież w stolicy ustawiono osiem tysięcy koszy na śmieci. Kupię plesków, rozdarte materace na skraju jezdnii, jakieś stopy śmieci — wszystko to poza owymi kubkami”.

Należy unikać piaskownic na skwerach, bo to ulubione miejsce dla psów, a także wielkie basenów kąpielowych, które stały się wylegarnią zarazków. Mężczyźni nie krepują się niczym. Najbliższy kąciek zamieniają w miejski szalet. Tak dzieje się na stacjach metra na parkingach podziemnych, w bramach wjazdowych do garaży, a nawet na klatkach schodowych i w windach.

Co gorsza, higiena jest coraz bardziej problematyczna w szpitalach. Szpital Czerwonego Krzyża w Lyonie nie zwalcza już kotów, które zanieczyszczają klatki schodowe. W większości

pomieszczeń są tam prusaki. Bardzo często zniechęcenie bierze górę. Nawet jeśli mamy do czynienia z chorobami zakaźnymi. Profesor Sepejean ubolewa: „surowe posunięcia oszczędnościowe w zakresie higieny doprowadziły już do zaniechania walki o porządek i czystość. Ponieważ mamy antybiotyki, ludzie myślą, że można z nimi zrobić wszystko. Nie, nieprawda”.

Często porządek w domu pozostawia wiele do życzenia. Odkurzacz nie zastąpi ścieraczki, która wciąśnie się w każdy kąt. Nie przesuwają się już meble, by usunąć pajaki. Brud ogarnął nawet sale wykładowe wydziału medycyny. Czy to dziwne? „Wcale nie — stwierdza Marc Gentilini, profesor higieny. Student medycyny jest tylko licealista, czasem brudnym, który zaczął studiować medycynę. Nie jest to żaden wzór higieny osobistej. Walczą o to, by przynajmniej myli ręce”. 65 procent chorób w środowiskach szpitalnych wynika z brudnych rąk. Rozsądnym zarządkiem są podciagi, a zwłaszcza podciąg o dużej szybkości, kursujący między Paryżem a Lyonem. Ponieważ trzeba wykorzystać składy podciągów do maksimum, nie ma czasu na ich sprzątanie. Brudna jest także bielizna osobista, jeśli pierze się ją w wodzie o niskiej temperaturze ze względów oszczędnościowych.

Brudek tu i brudek tam... Kubły i brudne papierozy... Shopping i gotowe dania sprzedawane na ulicy, szczury i myszy i karaluchy. W Marsylii mamy 14 ton zatrutego ziarna i chleba i 8 ton środków szczurobójczych, które co roku rozsypuje się przeciwko gryzoniom. Nie wystarczy to jednak. Latem ub. roku, podczas strajku śmieciarzy, po raz pierwszy widzieliśmy jak szczury w białe dzień wychodziły na światło dzienne całymi stadami. Dziś najwięcej obaw budzą w Paryżu myszy. Podobnie jak szczury (z każdej pary mamy po 1000 sztuk potomstwa rocznie) mnożą się bardzo szybko i teraz zajmują kolejne domy — zarówno stare jak nowe. W 1982 roku służba do walki z gryzoniami w prefekturze paryskiej dokonała 3230 operacji interwencyjnych w stolicy. W Breście takich operacji było 650. Dodajmy do tego około setki operacji przeciwko wszom.

Wszy, pchły, pluskwy — wszystko to budzi niepokój służb higienicznych. Posłanie dla kota, które nie zostało odcyszczone przed wyjazdem na wakacje powoduje, że po powrocie mamy pchły w całym mieszkaniu. Karaluchy i prusaki mnożą się w Breście i Marsylii. Brak tu danych statystycznych, ale Michele Fabre, specjalistka od dezynsekcji, uważa, że liczba wezwań telefonicznych do agencji „SOS-karaluchy” zwiększyła się o 13 procent w ciągu roku.

Wreszcie wszy i świerzb przechodzą z głowy na głowę i z ręki na rękę. Mało tu danych liczbowych, ale za to wiele epidemii. Świerzb zniknął zaraz po drugiej wojnie światowej, ale teraz pojawia się coraz częściej. W Beziere w ubiegłym roku uczniowie liceum im Jeana Moulina przystąpili do strajku, kiedy okazało się, że są wśród nich liczne przypadki wszawicy. Podobnie było w dwu szkołach w okolicach Nantes. Marie Louise Corolleur, która stoi na czule służby higieny w radzie miejskiej Brestu, stwierdziła w ubr. 21 przypadków świerzbu. Ubolewa jednak, że lekarze nie powiadomiali jej o stwierdzonych przez siebie przypadkach tej choroby. Doktor Regine Lambert, która jest

odpowiedzialna za łobki miejskie, stwierdza z przerażeniem, że świerzb zdarza się nawet u niemowląt.

Jeśli chodzi o wszy, to są one normalnym zjawiskiem w szkole i nikogo już nie dziwią. Wywiesza się tylko plakaty na stacjach metra, w aptekach oraz przestrzega o wszawicy w programach telewizyjnych. W Lille wymyślono ruchomy „salon odwzawiania”, w którym jest odpowiednio przystosowana ciężarówka, krążąca od jednej szkoły do drugiej. W Lyonie systematycznie trzeba badać 45 tys. dzieci zapisanych do klasy wstępnej. Jeśli chodzi o wszy łonowe, to badania przeprowadzone przez laboratorium Appliphar wykazały, że co drugi Francuz przynajmniej raz w życiu miał do czynienia z takim przypadkiem.

„Wszyscy chcą czystości, a niemal wszyscy brudzą” — stwierdza ze zdziwieniem Nicole Letourneur. „Ludzie nabrali przyzwyczajenia, że ktoś inny po nich posprząta”. Asystentka społeczna w Douai, Yvette V., uważa, że stan higieny nie jest wynikiem stylu życia, ale raczej przyzwyczajenia. „Na farmach gdzie łaźienki pojawiły się oczywiście później niż w miastach, ludzie są jednak czystszy”. Naukowiec z Instytutu Pasteura, profesor Andre Dodin dodaje: „Wszystkie zarazki świata są dzisiaj zaledwie o sześć godzin lotu od Paryża”.

A jednak ktoś tam walczy o higienę. W 1982 roku Ministerstwo Edukacji Narodowej wpisało cykl „Dziecko i zdrowie” do programu szkoły podstawowej. „Higiena wraca do szkoły w nowoczesnej formie” — cieszy się doktor Laurence Fradkine, doradca medycyny w ministerstwie. Laboratoria farmaceutyczne przesyłają też swoje produkty nauczycielom. Podjęto „ofensywę na rzecz czystych rąk”. Przygotowano zestawy pedagogiczne, w tym także lupę, aby można było oglądać wszy „na żywo”.

Klub Farmaceutyczny rozsyła stale biuletyny higieny osobistej z odpowiednim instruktażem. Środki do zwalczania insektów stanowią dziś rynek oceniany we Francji na 90 milionów franków rocznie. Badania przeprowadzone przez Shampooing Hegor wykazały, że 60 procent matek zlikwidowało wszawicę u dzieci własnym domowym sposobem.

Merostwo paryskie wydało albumy komiksowe, których bohaterami są dzielne kubły na śmieci — Czystoszek i Czystioszka. Kubelki te zwalczają nieporządki na ulicy. Francuski Komitet Oświaty Zdrowotnej zamierza w tym roku podjąć szeroką kampanię na rzecz higieny osobistej.

Nie ulega wątpliwości, że wystarczyłoby kawałek zwykłego mydła i trochę obywatelskiego obowiązku. Choć jednak 99 procent mieszkań ma bieżącą wodę, a 77 procent łaźienki albo prysznice, to przecież, jak stwierdził Instytut Badania Opinii Publicznej INSEE, przeciętny Francuz zużywa w ciągu roku zaledwie dwa kawałki mydła, jedną szczoteczkę do zębów na trzech obywateli i tylko jedną tubkę pasty do zębów. Nic dodać...

(„LE POINT”)

W kręgu fantastyki

W dniu ogłoszenia alarmu sierżant Aleksander Grinberg pełnił służbę na jednym z dalekich przedmieści stolicy. Ubrany, jak zwykle ostatnio, po cywilnemu, przechadzał się wąskimi uliczkami wśród starych, nie tynkowanych kamieniczek, zaglądał dyskretnie przez ploty do znajdujących się w okolicy licznych magazynów, nie dając po sobie tego poznać. Obserwował uważnie tak statych mieszkańców, jak i robotników, z dużej bazy transportowej, na którą, polecono mu zwracać szczególną uwagę.

Wiedział oczywiście o wzroście napięcia politycznego w świecie o instalowaniu za granicą nowych typów rakiet, o nasileniu się wrogiej propagandy, a nawet o naruszeniu przez obce samoloty przestrzeni powietrznej kraju, co mogło przecież doprowadzić do postawienia w stan ostrego zagrożenia wojska, policji i wszystkich służb specjalnych, jednakże w najsmielszych nawet przypuszczeniach nie spodziewał się, że wypadki będą się toczyć z tak niewiarygodną szybkością.

Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że sierżant Aleksander Grinberg wierzył w skuteczność i niezawodność systemu obrony przeciwatomowej, o czym przekonywano na każdym szkoleniu. Wierzył też, mimo pogarszających się stosunków międzynarodowych, w rozsądek polityków i ich wojskowych doradców, którzy — do cholery! — muszą mieć również coś takiego jak instynkt samozachowawczy. Ponadto wierzył jeszcze w ostateczny triumf sprawiedliwości, dobra nad złem, rozsądku nad emocjami. Toteż kiedy mniej więcej w południe usłyszał nagle modulowany sygnał syren alarmowych, w pierwszej chwili nie skojarzył z czym może się to wiązać.

Na porannej odprawie kapitan nie wspominał przecież o możliwości ogłoszenia bezpośredniego zagrożenia atomowego; był jak zawsze spokojny i rzeczowy, rozdzielił między „chłopców” zadania, zalecił jeszcze bardziej wzmocnić czujność, mieć oczy i uszy otwarte na wszystko, a w przypadku zaistnienia jakichś niezwykłych okoliczności — natychmiast kontaktować się z nim drogą radiową; ostrzegał, co prawda, że wróg nie śpi i tylko czeka na odpowiedni moment, by zaprowadzić na światło swoje porządki, że front walki w naszych czasach przebiega wszędzie, nawet w powierzonym ich pieczy rejonie, jednakże dodał na koniec, że nie należy poddawać się skrajnym nastrojom czy zachowywać nienormalnie, a przeciwnie — trzeba być spokojnym i opanowanym, gdyż zachowanie się funkcjonariusza — czy to w mundurze, czy bez — powinno być przykładem dla całego społeczeństwa.

Przypomniał sobie słowa kapitana, sierżant Aleksander Grinberg odruchowo wyjął z kieszeni niewielki radiotelefon i nim przebrzmiały jeszcze pierwsze dźwięki syren, usiłował nawiązać kontakt, chowając się przy tym do jednej z bram. Niestety, z niewyjaśnionych przyczyn to określane jako niezawodne urządzenie w ogóle nie działało. Serce skoczyło sierżantowi do gardła. Dopiero teraz dotarło bowiem do jego świadomości, że oto dzieje się coś bardzo, bardzo ważnego. Milczenie radiotelefonu nie mogło być przypadkowe! Poczul, jak uginają się pod nim nogi, a czoło zrasza zimny pot.

Gdy i następne próby nawiązania łączności nie dały żadnego rezultatu, rzucił ze złością radiotelefon na ziemię i z powrotem wybiegł na ulicę. Miał zamiar zatrzymać jakiś przejeżdżający samochód i jak najprędzej dostać się nim do dowództwa, ale jeźdźnia jak na złość była z obu stron całkiem pusta. Będąc już na środku, odruchowo rozejrzał się dokoła, by ocenić sytuację.

Na pierwszy rzut oka wszystko jeszcze wyglądało jak przedtem, po chwili zauważył jednak, że nieustające wycie syren alarmowych nie tylko na nim sprawiło tak wielkie wrażenie. Przechodnie wyraźnie przyspieszyli kroku lub też na odwrót — zamierali w bezruchu, zadzierając głowy do góry. Jakaś kobieta zaczęła nagle głośno krzyczeć, w niektórych oknach pojawiły się wyklekłe twarze, matka wołała dzie-

ci do domu, ze sklepu wypadł młody robotnik w szarym kombinzonie i berecie na głowie, siłą chcąc zatrzymać kogoś z przechodzących.

Sierżant Grinberg stał jak sparaliżowany. Senna jeszcze parę minut temu dzielnica zaczęła przypominać wielkie mrowisko, w które wetknięto niespodziewanie kij. Zaskoczenie było całkowite, co dawało się dostrzec na każdym niemal kroku. Z drugiej strony, myślał sierżant, skąd pewność, że alarm nie jest fałszywy? Może to wroga robota obcego wywiadu? Może zwykła pomyłka? A może w radio podali przed chwilą jakiś nadzwyczajny komunikat? Niemożliwe przecież, by ta nagła i nieprzewidywana panika wybuchła ot tak, bez powodu. Co robić? Co robić?!

WIKTOR WITTE

Schron

Gdyby zobaczył go teraz kapitan, nie obeszłoby się zapewne bez udzielenia nagany, degradacji, więzienia lub czegoś jeszcze gorszego. Przerazając! Jak straszny może być strach!

Szkolony nieustannie sierżant Aleksander Grinberg teoretycznie przygotowany był na wszystko. Zapoznano go z wieloma możliwymi scenariuszami zdarzeń i reakcji ludności, jednak teraz, w najbardziej krytycznym momencie, zdawał się zupełnie nie rozumieć zachowania otaczających go rodaków. Wszakże uczono go zawsze, że w obliczu zagrożenia ojczyzny całe społeczeństwo powinno jednoczyć się na froncie walki z najeźdźcą, wykazywać bezgraniczną ofiarność, zaangażowanie i solidarność. Tymczasem to, co działo się wokół niego, całkowicie przeczyło wszystkim tym założeniom.

Większość ludzi wyraźnie trzęsła się jedynie o siebie, swoich najbliższych. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozpadło się poczucie społecznej więzi. W ogarniającej dosłownie wszystkich panice ci wspaniali skądinąd obywatela zetracili zdolność trzeźwego myślenia. Sierżant Grinberg nie wierzył własnym oczom. Dla nich wróg nie krył się gdzieś daleko poza granicami kraju. Dla nich wrogiem był każdy kto usiłował na powrót zaprowadzić porządek, kto uspokajał i nawoływał do rozsądku. Wszelkie próby wyjaśnienia, jak należy się zachować w czasie ataku atomowego nie miały żadnych szans powodzenia.

Sierżant Aleksander Grinberg, który otrząsnął się już z przerazenia, jakim i on przecież uległ, zdawał się odzyskiwać zimną krew, próbując wreszcie działać zgodnie z ogólnymi zaleceniami na wypadek wybuchu paniki. Powoli tracił jednak nadzieję, że jego obecność na ulicy ma w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Prawdę mówiąc, nikt już nie zwracał na niego uwagi. Może gdyby od razu przystąpił do działania, gdyby był w mundurze? A broń? Dlaczego dotąd nie użył broni? Miał wszakże pistolet. Nie, teraz i tak nic by to nie dało. Kto wie zresztą, czy nie zostałby złinczowany. W takich sytuacjach... Był przecież sam, zdany tylko na własne siły, a tak naprawdę — bezsilny. Czy może jeszcze coś więcej zrobić? Ile pozostało czasu? Dalsze przebywanie na odkrytym terenie to niechybna śmierć. I tak nikogo już nie uratuje. Nie, nie ma na co czekać. Nic tu po nim.

Puścił się biegiem w kierunku jednego z pobliskich magazynów. Budynek, chociaż parterowy, wyglądał dość solidnie. Miał też zapewne piwnicę, a to dawało jakąś szansę.

Na niego uwagi. Może gdyby od razu przystąpił do działania, gdyby był w mundurze? A broń? Dlaczego dotąd nie użył broni? Miał wszakże pistolet. Nie, teraz i tak nic by to nie dało. Kto wie zresztą, czy nie zostałby złinczowany. W takich sytuacjach... Był przecież sam, zdany tylko na własne siły, a tak naprawdę — bezsilny. Czy może jeszcze coś więcej zrobić? Ile pozostało czasu? Dalsze przebywanie na odkrytym terenie to niechybna śmierć. I tak nikogo już nie uratuje. Nie, nie ma na co czekać. Nic tu po nim.

Puścił się biegiem w kierunku jednego z pobliskich magazynów. Budynek, chociaż parterowy, wyglądał dość solidnie. Miał też zapewne piwnicę, a to dawało jakąś szansę.

Brama otwarta była na oścież, stróżówka — także, na placu manewrowym i na rampie — ani żywej duszy. Wszyscy pracownicy zdążyli już, widać, uciec, zostawiając powierzone im mienie na pastwę losu. Grinberg chwycił wiszącą w stróżówce dużą kłódkę i jednym z nich otworzył pospiesznie wejście do głównego budynku magazynu. Wnętrze zastawione było po sufit wielkimi kartonami i skrzynkami po owocach. W samym końcu znajdowały się schody prowadzące w dół. Nie zapalając światła szedł nim do piwnicy, w której przechowywano co w równie wielkich pudłach. Magazyn jak magazyn, pomyślał i nie tracąc czasu zaczął przyskakiwać całe pomieszczenie. Odnalazł wejście do toalety — całkiem niestety zdezastrowanej, jakiś podręczny składzik narzędzi, a także — zamknięte na kłódkę niewielkie metalowe drzwi. Z łomem w ręku błyskawicznie uporał się z kłódką i przekroczył próg, znalazł się zupełnie ciemności. Zapalił kilka zapalek w bladym świetle których dostrzegł następne drzwi — bez kłódki czy zamka — za to opatrzone napisem: niebezpieczeństwo. Tuż obok, na wysokości twarzy, w nie domkniętej skrzynce ukryta była tablica rozdzielcza. Kartyło się na niej kilka kolorowych lampek. Niewiele myśląc, zbliżył dłoń do umieszczonego na środku przełącznika i odciągnął rączkę w dół.

Myślał, więc był. Istniał. Jego ciało żyło. Krew obiegająca cały organizm, płuca dostarczały tlen, we wszystkich komórkach zachodziły nadal skomplikowane reakcje chemiczne, pracował mózg.

Więc jeszcze był. Nie wiedział jednak, jak długo. Zupełnie stracił poczucie czasu. Tego czasu, który na powierzchni odmierzali zegary. Teraz miał

swój własny czas. Nie dzielił go na sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące, lata. Nie widział wschodów i zachodów słońca, ani pór roku. Noc była wtedy, kiedy spał. Resztę czasu nazywał dniem. To wszystko.

Na początku nie mógł tego znieść. Nie podzielił czasu budził obawy. Obezwładniał lub też doprowadzał prawie do szaleństwa. Ale w końcu przyzwyczaił się. Zgubiwszy jeszcze na powierzchni zegarek, tu, głęboko pod ziemią, zawierzył musiał własnemu organizmowi. On stał się jego jedynym chronometrem. Miał wrażenie — nawet bardzo precyzyjnym.

Na ziemi bardzo bał się śmierci. Był oczywiście gotów oddać życie za ojczyznę, ale w niczym nie zmieniało to faktu,

że przecież się bał. Myślał o niej nieraz — żeby przyszła jak najpóźniej. Wiedział jednak, że i tak kiedyś przyjdzie. W dniu alarmu poczuł jej zimny oddech. Miał trzydzieści trzy lata. Jeszcze nie tak dawno myślał, że to dużo. Gdy zabrzmią syreny, chciał zaplać jak dziecko. Przecież dopiero teraz mógłby zacząć żyć!

Szok trwał bardzo długo. Był u kresu wytrzymałości psychicznej. Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Różne dziwne myśli chodziły mu po głowie. Pełno w nich było sprzeczności. Najgorsza okazała się cisza. To właśnie z powodu tej ciszy raz bliski był popełnienia samobójstwa. Po co żyć, pomyślał, jeśli nie mogę się stać wydatkiem? I tak w końcu umrę, co więc za różnica... Ale zaraz zdał sobie sprawę z paradoksu, jaki tkwił w tym poście. Przecież wojnę atomową tylko po to, żeby potem popełnić samobójstwo! I zaczął się śmiać — tak długo i głośno, aż chwycił go atak kaszlu. Wkrótce zasnął. Rano wiedział już niezbicie, że po tym, czego doświadczył, nigdy nie targnie się na swoje życie. Poczul wyraźną ulgę. I wtedy stało się coś dziwnego. Po prostu zaczął słyszeć — czyjeś głosy, muzykę, hałas ulicy, szum wiatru, śpiew ptaków. Zerwał się z łóżka i przeskakał, po raz nie wiadomo który, całe wnętrze schronu. Nie znalazł jednak ani jednego głośnika, ani śladu urządzenia, które mogłoby być źródłem owych dźwięków. Szybko wykluczył też możliwość, że słyszane odgłosy dochodzą spoza schronu, na przykład przez kanały wentylacyjne, których wprawdzie dotąd nie zauważył, ale które niewątpliwie istniały, skoro miał jeszcze czym oddychać. Po pewnym czasie zwrócił uwagę, że w każdym miejscu nате́nie dźwięku było dokładnie takie samo. Mało tego: często słyszał to, co właśnie chciał usłyszeć. Pragnienie znaleźć się w filharmonii niemal

natychmiast materializowało się w postaci fal akustycznych odpowiadających danej symfonii, czy arii operowej. Co ciekawsze, oprócz kompozycji, które znał prawie na pamięć, powoli zaczął też obcować z muzyką, jakiej przedtem na pewno nie słyszał.

Wszystko to doprowadziło go w końcu do wniosku, że to on sam jednocześnie emituje i odbiera owe dźwięki. Czyżby zaczął cisze swoim śmiechem? Ale była też jeszcze samotność. Zawsze wydawała mu się przerażająca, choć właściwie nigdy jej dotąd nie zaznał. Bywały, co prawda, okresy, kiedy czuł się przez wszystkich opuszczony, zapomniany, odrzucony, ale czymże to było wobec obecnej sytuacji? Ech, szkoda mówić.

Gdyby tamtego pamiętnego dnia rano ktoś powiedział mu, co go wkrótce czeka, gotów byłby przysiąc, że to kłamka lub prowokator. Kapitan stwierdziłby krótko: nie-moż-li-we, z naszego punktu widzenia nie-do-przy-ję-cia! A przecież nie miałby racji. Takiego scenariusza nie wymyśliłby nawet sam dowódca okręgu, choć twierdził, że nie ich nie zaskoczy, gdyż wszystko zostało dokładnie przewidziane. Tak, teraz dobrze wiedział, czym może być samotność. Poczł jej smak, jak chyba nikt na świecie. I choć trudno byłoby przyznać, że ją polubił, to — że zrozumiał — na pewno. Nie była ani tak straszna, jak myślał, kiedy był pierwszy raz zakochany, ani tak słodka, by dobrowolnie został pustelnikiem, chociaż... Czy jest coś pewnego?!

Spotkanie z samotnością nastąpiło jeszcze na powierzchni, wtedy, gdy zawiódł niezawodny radiotelefon, a może — nawet wcześniej. Głęboko musiał sięgać jej korzenie. Od tej jednak chwili naprawdę nie miał już z nikim kontaktu, chociaż nadal przebywał wśród ludzi. Ono coś do nich mówił, oni coś — do niego... Patrzyli na siebie, lecz już się nie widzieli. A później wszystko zniknęło, była tylko ciemność, z której powoli wynurzać się zaczęło ponure wnętrze schronu.

Najpierw zauważył ciężkie ołowiane wrota. Zamknęły się za nim bezszelestnie, gdy opuścił klatkę windy. Mimo szaleńczych wysiłków nie zdołał ich już otworzyć. Dopiero potem zobaczył, że są tu także łóżka, szafy, jest kuchnia, sanitariat, magazyn z żywnością, wreszcie — że są również książki, tysiące książek, wielka podziemna biblioteka. Długo chodził między regałami niczym ślepiec, zanim ze spokojem i pełną świadomością sięgnął po pierwszą książkę. Nie przez przypadek chyba była to powieść Daniela Defoe.

Po przeczytaniu analizował

ją setki razy, przypominając sobie jednocześnie rozliczne fakty ze swojego przepełnionego życia.

Do niedawna żył marnotrawnie i bezmyślnie. Nie umiał nawet postawić najprostszego pytania o sens swego istnienia, gdyż w bezgranicznej naiwności sądził, że przecież doskonale zna już odpowiedź. Nauczono go wszak kilku pięknie brzmiących formułek, które raz na zawsze wyjaśniały miły wszystko, w tym także — dlaczego nie należy pytać. Teraz zrozumiał, że nie wyjaśniali niczego.

Dalej: żył w poczuciu ciągłego zagrożenia. Bał się prawie każdej rzeczy, prawie każdej myśli, każdego człowieka — również i siebie samego. Gdy zawiły syreny, jego strach osiągnął apogeum. Ale był to też jednocześnie sygnał wyzolenia. Życie w schronie okazało się nie tylko możliwe, a i wcale nie gorsze niż na powierzchni. Tu przynajmniej nie było złudzeń.

Pogodziwszy się jakoś z przeznaczeniem, stał się teraz całkiem innym człowiekiem. Chociaż przeszłość ciągle bolała, przyszedł czas na dokonanie rachunku sumienia. W krytycznym momencie zawiódł, można powiedzieć nawet — zdradził, ale czyż i on nie został zdradzony, zawiedziony? Myślał tylko o sobie, a czy ktoś pomyślał właśnie o nim? Zresztą nie złożył swego życia w ofiarę na ołtarzu apokalipsy nie dlatego, że nie chciał. Zadecydował przypadek. Szczegółowy zbieg okoliczności. Przecież gdyby mógł od razu opuścić ten schron, dawno by już pewnie wyszedł. Wrociłby na powierzchnię — chociażby tylko ze strachu przed samotnością. Był jednak w pułapce, istnienie której nie mógł nawet przewidzieć. Dużo w niej rozumiał.

Miał tutaj pod ręką całą wiedzę świata. Encyklopedie, dzieła naukowe, literackie — największe osiągnięcia ludzkiego rozumu. Nie ludił się, że zdołał je wszystkie przestudiować, ale czuł, że gdyby tam, na powierzchni, wiedział tyle, ile wie obecnie, mógłby zostać profesorem, nie zaś — sierżantem policji. Żałował, że w młodości nie chciało mu się uczyć. Mogłoby dużo lepiej służyć społeczeństwu. Teraz, choć poznał i rozumiał tak wiele, jest już na to za późno. Lecz jeśli tak, zastanawiał się nieraz, to dlaczego czytał wciąż i czytał? Czyżby tylko z braku innego zajęcia? Na pewno nie. Coś w tym musiało być! Ale co — nie wiedział.

Nie wiedział też dwóch innych ważnych rzeczy. Kto, kiedy i w jakim celu zbudował ten schron-bibliotekę. Jak to się dzieje, że tak długo można w nim żyć. Dlaczego tylko on znalazł w nim schronienie. Czyżby był wybrany? A jeśli tak, to przez kogo?

I jeszcze: co naprawdę wydarzyło się na powierzchni. Czy przeżył ktoś oprócz niego? A może alarm był jednak fałszywy i wszyscy przeżyli? O tym w książkach nie było ani słowa, nawet między wierzeniami.

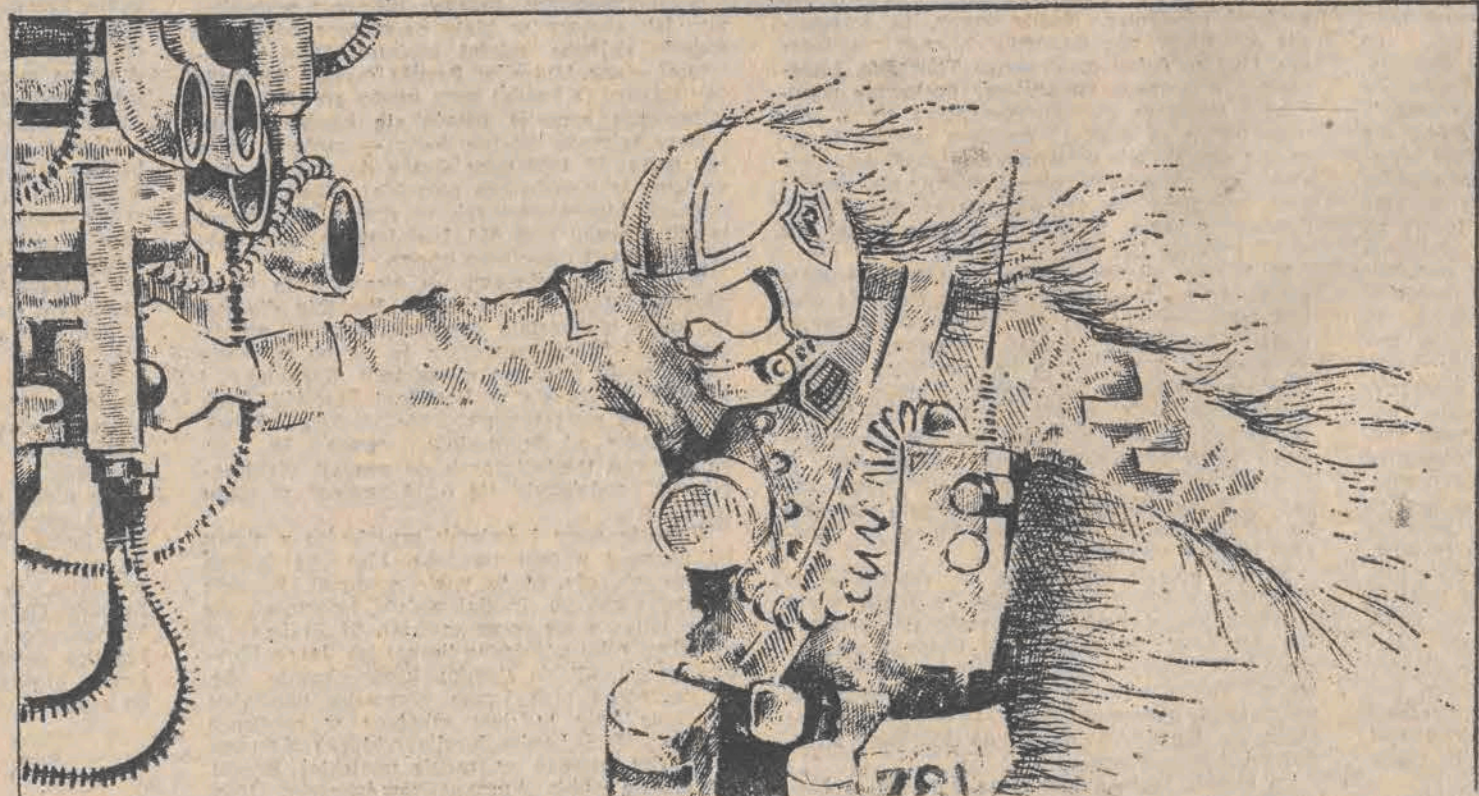
Po przeczytaniu analizował

Któregoś dnia, to znaczy po którymś przebudzeniu Aleksander Grinberg — były sierżant policji, mieszkaniec stolicy, znaków szczególnych brak, samotny — usłyszał nagle, że ktoś go woła. Przetarł zaspane oczy, zrobił kilka przysiadów, włożył głowę pod kran z zimną wodą. Głos wołał nadal: „Grinberg, Grinberg, schron jest otwarty, możesz wyjść!”

Rzeczywiście, ciężkie ołowiane wrota dały się otworzyć — i to bez większego trudu. Wiedział, że to był naprawdę wolny. Mógł wreszcie sam dokonać wyboru. Nikt go w tym nie ograniczał. Po raz pierwszy w życiu. Wystarczyło wejść do windy, przesunąć dźwignię do góry i...

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Głos stawał się coraz bardziej natarczywy: „No, na co czekasz?! Śmiało śmiało!” Aleksander Grinberg obejrzał się za siebie. Nie, nie teraz, odpowiedział. Odwrócił się na pięcie i podszedł do stołki, na którym leżało kilka książek, zeszyt do notatek i długopis. Nie śpiesząc się otworzył grubą tom i spokojnie zagłębił w lekturze.

Rys. Krzysztof Wieczorek



1

Lewym
okiem

„Żadnej nie znajdując różnicy...”

Trzeci Maja świętuje cały nasz naród jako rocznicę konstytucji, która w ostatnim momencie przed katastrofą rozbiórów dawała szansę uniknięcia tej tragedii. Sławimy tę konstytucję jako dowód patriotycznego ducha, jaki ożył Polaków, dowód ich wielkiej politycznej mądrości, demokracji, oświecenia.

Historycy wiedzą dobrze, że trzeciomajową konstytucję uchwalili mniejszość sejmowa pod nieobecność znacznej części posłów, znudzonych długotrwałymi obradami. Przeciwnicy reform byli silni i nawet po uchwaleniu wielkiego aktu nie pozwolili go wcielić w życie — to oni, niestety, byli górami. Ze zgrozą dziś czyta się argumenty i wypowiedzi owych „obroncówładu”, a w rzeczywistości — obrońców warcholskiego nieładu, którym „Polska stała”.

Posel Borzecki pisał: „Choćby za wszechstronną rewolucją nastąpił podział Polski, równym to dla niej widzę być i tosem, jak gdy się utrzyma rząd 3 maja, żadnej nie znajdując różnicy między niewolą a niewolą, którą by Polacy gniebił, albo pod własną monarchią, albo pod monarchią tych potencji, które by ich między siebie podzieliły. W Moskwie wsparcia szukać i z nią się łączyć powinniśmy”.

Posel Hulewicz w „Akcje konfederacji generalnej koronnej” uważał, że „w dniu trzecim maja roku zeszłego wykopano grób dla wolności. Zniesiono Rzeczpospolitą, szeregami spełnionych zbrodni narzucono despotyzm. Skoro partia gniebiąca zagarnęła w swe ręce wszystkie władze rządowe, dla ugruntuowania despotyzmu ogarnęła skarby i wojsko, słowem, skoro posiadła wszystkie środki uduku odjęła obywatelom możliwość obrony — powinnością dla dobrego patrioty szukać dla ojczyzny „a granicę, wzywać obcych bogów sprzyjających wolności, skoro zaginęły domowe”.

Znamy i dziś dobrych patriotów, co „wzywają obcych bogów sprzyjających wolności” i kłęcząc przed tymi bogami proszą ich o zyskanie dalszych klęsk na Polskę. Więcej sankcji, więcej restrykcji, mniej lekarstw, surowców kredytów i odzywek dla niemożliwej! Tym razem jednak większość narodu opowiedziała się za tradycją trzeciomajową, wskazującą własne siły jako jedyne odwoły do ciężkich okoliczności historycznych. Niech się święci Trzeci Maja!

Siedem miast kłóciło się o to, w którym z nich urodził się Homer. Kilka miast europejskich spiera się o miejsce działalności i śmierci świętego Wojciecha. „Przekrój” relacjonuje nie kończące się spory o to, gdzie znajduje się naprawdę serce Kościuski i innych wielkich ludzi. Łatwo pobić w gąszczu niekompletnych przekazów i dokumentów, w zachodzącej mgli, uciekającej szybko w tył przeszłości.

Z zastrzeżeniem godziwych proporcji — będziemy może mieli nowy spór, tym razem o miejsce urodzenia osoby żyjącej, Marleny Dietrich Marlena, „nie może sobie przypomnieć domu, w którym się urodziła”.

— pisze Teresa Grądzka w „Tu i Teraz”, w artykule o biograficznym filmie, poświęconym słynnej aktorce. „Adresu nie pamiętam, skąd, zresztą co to znaczy gdzie się urodziłam i tak dalej, nie mam pojęcia, jak by to mogło mieć sens. Nie interesuję się w ogóle przeszłością”.

Szperacze gotowi są jednak wspomóc pamięć Marleny. Wszperali, że urodziła się 27 grudnia 1901 roku w Berlinie, przy dzisiejszej Leberstrasse 65. I to by było na tyle, gdyby nie króciutka notatka, jaką akurat przypadkiem znalazłem w „Wiadomościach Literackich” aż z 1931 roku (nr 377). Marlena Dietrich nazywa się naprawdę Techow i pochodzi z miasta Usti (Aussig) w Czechosłowacji”.

Komentarza ani źródła do tej notatki nie podano, ale może wtedy jeszcze Marlena pamiętała miejsce swych narodzin? Może to Usti, nie Berlin?

WŁODZIMIERZ
KRZEMIŃSKI

2

Sport

Świąteczny prezent dla piłkarzy NRD

Z meczu, jaki odbył się w pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy należy wyciągnąć kilka wniosków. Po pierwsze — nie grać nigdy w święta, bo myśli się wtedy raczej o tradycji niż o pilce. Tradycja bowiem nakazuje, aby w pierwszy dzień świąt zasiąść w rodzinnym gronie przy świątecznym stole i spożywać kartkową szynkę oraz inne własny już przemyślenie zdobyte wiktuały. Kto w takim dniu będzie poważnie traktował spotkanie nawet z najsłabszym przeciwnikiem? Być może przedstawiłoby innych nacji, ale Polacy w żadnym wypadku. No i mieliśmy tego najlepszy przykład w meczu z olimpijską drużyną Danii.

Po drugie — należy uczyć się bajek. Jest taka bajka o lisku chyturku, który już był w ogrozie, już witał się z gąską, już się obliżywał na samą myśl, jaka ta gąska smaczna i... pozostał tylko z apetytem. Otóż nasi kibice, a w tym i sprawozdawcy sportowi, po meczu z NRD kazali polskim olimpijczykom zjeść garnitur i robić zdjęcia do paszportów. Garnitury dla piłkarzy miała zjeść bodaj spółdzielnia w Tomaszowie Mazowieckim. Mam nadzieję, że miary jeszcze nie wzięto i do świąt nie przystąpiono, bo inaczej nie będzie teraz co robić z tymi garniturami. Chyba, że podarujemy je piłkarzom z NRD. Jak już robić prezenty, to do końca!

Katowicki „Sport”, przed meczem w Lublinie, dał piękny tytuł: „Bilety na Olimpiadę w sejfie Duńczyków, trzeba go spokojnie otworzyć”. I obok: „Z Hamleta bierzemy tylko „być” Owszem, bilety na Olimpiadę w Los Angeles leżały w sejfie u Duńczyków i zadaniem Polaków było ten sejf otworzyć. Ale można ten sejf było otworzyć dla siebie lub dla kogoś innego. I Polacy sejf otworzyli, ale po paszporty sięgnęli piłkarze NRD. Nikomu iakoś to wcześniej do głowy nie przyszło, że Polacy mogą zremisować lub nawet przegrać. „Tylko wygrana!” — pisał „Przegląd Sportowy” i cytował wypowiedź trenera Waldemara Obrebskiego który nie zmienił w przygotowaniach do niedzielnego meczu i chwalił się, że nasi zawodnicy wszystko wiedzą o przeciwniku. Żeby jeszcze umieli grać!

Muszę jednak oddać sprawiedliwość „Przeglądowi Sportowemu”, który po klęsce Polaków w Lublinie miał odwagę napisać: „Pomylił się pisząc po niedawnym spotkaniu reprezentacji olimpijskiej z NRD w Szczecinie, że nasi zawodnicy mogą robić sobie zdjęcia do paszportów”. Odwaga przyznania się do błędów, to duża sprawa i rzadko dziś spotykana.

Tylko — skoro już sprawozdawcy sportowi sięgają po przekłady i pomoc do literatury — przytoczyć cytaty z „Pani Bovary” Gustawa Flauberta: „słowo, jak maszyna do walcowania, wydłuża zawsze uczucia”. Obietnice rzucane kibicom przed decydującymi meczami rodzą nadzieje, które nie mają pokrycia w rzeczywistości. Jak Polacy grali w Lublinie każdy widział kto miał czas i ochotę włączyć telewizor między wielkanocnym śniadaniem a obiadem.

A po meczu? Po meczu trener drużyny NRD, Sepp Piontek był wielce kurtuazyjny i gratulował Polakom, choć nie mógł powstrzymać się od krytycznej uwagi, że o porażce polskiego zespołu zdecydował brak skuteczności. Sepp Piontek powiedział też, że „to jest sport i nikt nie mógł od nas wymagać, abyśmy im ten awans ułatwili”. „Im” — to znaczy Polakom. Pewnie, że trudno było oczekiwać, że drużyna NRD przegra ze słabszymi Duńczykami tylko dlatego, aby równie słabi Polacy mogli wykorzystać zrobione już zdjęcia do paszportów i włożyć garnitury z Tomaszowa Mazowieckiego.

Po meczu trener Waldemar Obrebski mówił, że nasi wspaniali chłopcy bardzo chcieli wygrać ten mecz, tak bardzo chcieli, że aż im to przeszkodziło. Nasi wspaniali chłopcy zawsze mają jakieś przeszkody, a to trema, a to złe boisko, a to buty niewygodne, a to deszcz, a to brak zwycięstwa, a to... Mogłabym tak jeszcze długo wyliczać, bo jakoś mało kto zauważa, że nasi wspaniali chłopcy na ogół źle grają, mają słabą kondycję, są technicznie źle wyszkoleni, bywają leniwi.

Jeszcze przed meczem trener Waldemar Obrebski wyraził swój niesmak z powodu „mało ambitnej postawy Duńczyków” w meczu z NRD w Magdeburgu. Tylko, że ci mało ambitni Duńczycy okazali się nie do pokonania dla naszych wspaniałych chłopców.

No, i trzeba zacząć wszystko od początku. Od nauki gry w piłkę nożną.

BOGDA MADEJ

3

Felieton
pe-
symistyczny

Jutro poniedziałek...

Niedzielne wyprawy na samochodową giełdę to imprezy ze wszech miar godne upamiętnienia. Bo nie jest prawdziwym mężczyzną ten, kto nie lubi zapachu smarów, benzyny, nagrzanego słońcem wnętrza samochodu, kogo nie fascynuje choć na moment szcziocylindrowe cacko z turbosprężarką, komu jest wszystko jedno czy podróżuje (nawet w myślach) BMW czy Syreną-Bosto...

Giełda. Relaks po tygodniu ciężkiej roboty. Tu wolno ci wszystkiego dotknąć. Choćby facet Jaguara sprzedawał — na twoje żądanie silnik odpalić musi, bez żadnej łaski. Ze potem z kupna rezygnujesz wyłącznie z powodu brudnej klamki — to inna sprawa. On się pieni, a ty, możesz tylko zyskać w oczach pań, które z tych też względów należy na giełdę zabierać.

No, więc tak idziemy sobie leniwie między wypucowanymi wozami, ja z psem, magister B. z kuzynem i jego żoną, która ponoć jest samą esencją kryzysowej zaradności. W międzynarodowym wymiarze, bo będąc w ubiegłym roku w Bulgarii sprzedawała bodaj w Słonecznym Brzegu wyłowione tamże muszle. To jest numer: sprzedaj Bulgarom ich „własne” muszle, po „własnych” małżach, po lewa za sztukę...

To się staje nie do zniesienia — magister nie był dziś zbyt optymistycznie usposobiony. — Zalatwiając najprostszą sprawę ma się wrażenie, że wlaży ciowiek na Mount Everest. Zimą, nocą i w pepegach. Te umizgi do każdego urzędnika od kobitki za ładą, mechanika w Polmozbycie i listonosza. Doprowadziły do perfekcji umiejętność utrudniania sobie życia. Zaprzyjaźniony profesor stał trzy dni w kolejce w „paszportówce” po odbiór tegoż dokumentu. Autentyk; z wykładów zrezygnował, z miejsca w „ogonku” — nie, bo termin naglił. Pewnie wyjeżdża do Pernambuco? Skąd, do Czechosłowacji, na siedem dni...

A nie mówił ten profesor czy znaczki na kwestionariuszu zdradzały? — spytał niespodziewanie kuzyn. Chwając do kieszeni cienki śrubokręt, którym od czasu do czasu sprawdzał jakość lakieru niektórych wozów. A raczej próbował, co groziło rękoczynami i już dwa razy salwował się ucieczką.

A czemu miały zdradzać? — Nic nie słyszałem w telewizji, ani w żadnej gazecie... — próbowałem coś wturcić, lekko przerażony.

Eee tam. Przecież to nie towar luksusowy, ani wolowina z kością, więc wszyscy cicho siedzą. Ale opłaty skarbowe skoczyły w górę jak cholera.

Coś ty, Jasiu? Jakże opłaty? — magister też nie bardzo rozumiał.

Niedowiarki widzę jesteście — kuzyn wyciągnął mały notes i spytał garścią szczegółów.

To jest rozporządzenie Rady Ministrów ze stycznia tego roku, ukazało się w Dzienniku Ustaw nr 13 z 12 marca, a zmiany obowiązywać zaczęły piętnaście dni później, czyli od 28 marca br.

Spojrzał na nas z triumfem. Posmutnieliśmy obaj z magistrem — to musiała być jakaś niewesoła nowina. Nawet nie chciało nam się podejść do tego pękłego Opla Ascony. Kuzyn walił dobitnie.

Proszę bardzo, na przykład w paragrafie 30, ustęp 2a mówi się o przedłużeniu ważności prawa jazdy. Włecie, niektórzy muszą w oparciu o zaświadczenie lekarskie co rok je przedłużać. No więc dotychczas należało się na stosowne zaświadczenie znaczek skarbowy za pięć złotych teraz — za pięćset. Niezłe, prawda? Ile to będzie procentowo? Inny przykład: za przejeżdżanie samochodem placimy w znaczkach 600 złotych motocykla — 500, dotychczas było to bezpłatne. Za wypożyczenie tablic rejestracyjnych za pierwsze 4 dni — 500 złotych (było 200), każdy dzień następny — 100 złotych (było 50). Natomiast w ustępie dwunastym...

Jasiu, daj spokój, bo mnie zaraz szlag trafił! Przecież jest niedziela! — magister jakiś dziwnie siny się zrobił.

Czego się wściekasz, to są fakty, wczoraj byłem w wydzielone komunikacji, to też mnie

tak ruszyło... — kuzyn znów zaczął cytować niesympatyczne ustawy.

Jak na komendę przyspieszyliśmy z magistrem kroku. Wiśniowa „Granada” lśniła chromami, z przylutnego wnętrza dobiegały dźwięki aktualnego przeboju, na tylnym siedzeniu baraszkowało dwóch mładców.

Słyszał pan coś bliższego o naszym „Beskidzie”? — magister wystawił twarz do słońca. — Podobno ma rewelacyjnie niski współczynnik oporów powietrza?...

Impreza należała do udanych. Tylko ten nieprzyjemny grzyzt z kuzynem i znaczkami skarbowymi. Ale to jeszcze młodzień. Nie wie, że system nerwowy w niedzielę jest odporny i takie wiadomości są wręcz zabójcze. Poniedziałek jest dopiero jutro...

STEFAN
ŻYCIOWY

4

Nagle
zastępstwo

I ty możesz zostać uzdrowicielem!

Uzdrowicieli co prawda nam przybywa, ale że chorych — niestety — też, zapotrzebowanie na uzdrowienie praktyki nie maleje. Świadczą o tym tłumy na seansach Nardellego czy Fellmanna, świadczą o tym tłumy w łagiewnickim klasztorze w dniach „występów” (nie wiem czy to właściwe określenie?) Clive’a Harrisa. Ta wielka ilość chętnych, pragnących poprzez uzdrowienie dotrzeć do dion, emanowaną przez uzdrowiciela bioenergię, poratować nadwerżone zdrowie, stwarza konieczność organizowania seansów zbiorowych. Niektórzy wprawdzie mają wątpliwości, czy siła biopłędów przekazywana przez łańcuch złączonych rąk, nie ulega osłabieniu zanim dopłynie do ostatniego ognia, tj. do chorego. Czy jest również skuteczna jak przekazana bezpośrednio dotykiem. Stąd, po zbiorowym seansie wielu próbuje jeszcze indywidualnie dotrzeć do mistrza, żeby uzyskać dawkę uzdrawiającej siły już tylko dla siebie, bez dzielenia się nią z innymi. Niektórym się udaje, niektórym nie.

Cóż — uzdrowicieli ciągle mamy za mało! Wydaje się wszakże, że jest szansa przezwyciężenia tej kryzysowej sytuacji. Trzeba tylko dokładnie przejrzeć szafy i kufry ze starymi książkami. Może właśnie gdzieś na strychu, może w piwnicy, zakurzone książki kryją tę WIELKĄ TAJEMNICĘ? Oto mam przed sobą broszurę — rok wydania nie oznaczony, ale zdaje się z okresu mniej więcej sprzed pierwszej wojny światowej — wydaną przez „Psychologiczne Wydawnictwo” („adres dla obywateli: Warszawa, ulica Wierzbowa 8”), informującą o rewelacyjnym wydawnictwie pod nazwą „KOLLEKCYJA FLOWERA” (cena — aż? — tylko? — 10 rubli).

„Kolekcja Flowera” — jak informuje „Psychologiczne Wydawnictwo” — „składa się z czterech oddzielnych kursów podzielonych na wykłady. Każdy kurs jest całkowicie”. A i szata edytorska piękna, bowiem „każdy kurs jest oprawiony w złotą obwódkę. Wszystkie cztery włożone w fioletową jedwabną okładkę i połączone ciężkim ponsowym jedwabnym sznurem. W ogóle kolekcja nasza jest arcydziełem sztuki drukarskiej i introligatorskiej” — zapewnia „Psychologiczne Wydawnictwo”.

Nam wszakże nie o formę chodzi, lecz o treść. Cóż za treści kryje owa „kolekcja”? Otóż każdy kurs, który „jest całkowicie”, to:

1. Kurs Magnetizmu osobistego (w tym „Magnetizm leczniczy”)

2. Hypnotyzm

3. Kształcenie pamięci

4. Siła Myśli w życiu codziennym i w walce o byt

A jako „bezpłatne premium dla każdego nabywającego”, „Psychologiczne Wydawnictwo” przewidziało wykład dodatkowy pt. „Przezwyciężanie Trwogi” — sposób natychmiastowego opanowania wszelkich wzruszeń moralnych”. Wydawnictwo zapewnia, że „Przezwyciężanie uczucia trwogi” jest odkryciem jednego z uczonych pracujących w naszym przedsiębiorstwie. Uczony ten, jest jednym z najznakomitszych amerykańskich lekarzy”.

(Wróćmy jednak do wykładów zasadniczych. „Kurs magnetizmu osobistego”, „magnetyzm leczniczy”! — To jest właśnie TO! Wątpliwości nie może być, bowiem autor (Van Ness Stillman) reklamując swój wykład, pisze: „magnetyzm leczniczy jest to sztuka leczenia chorób drogą podawania pacjentowi „prądu życia” przez magnetyzera. Uskutecznia się to za pomocą rąk”.

Czy jednak „magnetyzerskie” zdolności są właściwością tylko niektórych osób? Otóż nie! Jak zapewnia autor wykładów „dawniej zdawało się, że tylko niektórzy posiadają urodzoną siłę leczenia”, jednakże „uczeń dowiódł, że każdy ją może w sobie rozwinąć”.

Broszura wydana przez „Psychologiczne Wydawnictwo” nie mówi jak to osiągnąć. Tego nauczyć ma dopiero „Kolekcja Flowera”.

W każdym razie wiadomo, że „magnetyzem nie używa lekarstw i w ogóle materialnych środków. Zadanie jego polega na tym, żeby bezpośrednio wzbudzić w pacjencie siłę naturalną, a raczej dopełnić ją ukrytą siłą, którą czerpie z własnego organizmu”. Wykłady „dają mnóstwo cennych informacji. Jest to jedyny kurs, który uczy jak wytwarzać więcej siły leczniczej niż jej posiadamy z natury” i jak „w przeciągu kilku chwil wywołać w sobie święty „prąd życia”. Ponadto wykłady zawierają wskazówki o zastosowaniu rąk i o specjalnym traktowaniu pewnych chorób”. Autor zapewnia też, że „dzielo moje jest jedynym, które zawiera wskazówki o oddziaływaniu na odległość”.

„Magnetyzm leczniczy” to nie tylko „szlachetne zajęcie dla tego, kto przystępuje doń z pobudek altruistycznych, chcąc czynić dobrze”, ale także dla tego, „kto chce zdobyć środki do życia” (1).

W wykładach w sposób szczególny „uwzględnione są rady tych, którzy biorą jako zawód magnetyzm leczniczy”.

Kończąc informację o swoim „dziele”, autor pyta retorycznie: „czy chcecie niby zarodzić cudownie leczących innych? Czy chcecie obrać ten wzniosły i korzystny zawód? W każdym wypadku mogę wam gorąco polecić przestudiowanie mojego kursu”.

„Psychologiczne Wydawnictwo” dodaje zaś od siebie: „ruch ten jest nowym szczytem zdobytym w nieustannym dążeniu ludzkości w dal i w przyszłość”.

Myślę, że na zadane przez autora wykładów pytanie, może być tylko jedna odpowiedź. Dlatego wstrzymuję się od wszelkich komentarzy. Od jutra penetruję leżące na strychach moich przyjaciół stare księgi. Może gdzieś, w przysypanym kurzem kuftrze, natrafiam na „Kolekcję Flowera”?

PS. W cytatach zachowałem język i pisownię oryginału. Podkreślenia w cytatach moje.

Wydawnictwo”.

Nam wszakże nie o formę chodzi, lecz o treść. Cóż za treści kryje owa „kolekcja”? Otóż każdy kurs, który „jest całkowicie”, to:

1. Kurs Magnetizmu osobistego (w tym „Magnetizm leczniczy”)

2. Hypnotyzm

3. Kształcenie pamięci

4. Siła Myśli w życiu codziennym i w walce o byt

A jako „bezpłatne premium dla każdego nabywającego”, „Psychologiczne Wydawnictwo” przewidziało wykład dodatkowy pt. „Przezwyciężanie Trwogi” — sposób natychmiastowego opanowania wszelkich wzruszeń moralnych”. Wydawnictwo zapewnia, że „Przezwyciężanie uczucia trwogi” jest odkryciem jednego z uczonych pracujących w naszym przedsiębiorstwie. Uczony ten, jest jednym z najznakomitszych amerykańskich lekarzy”.

(Wróćmy jednak do wykładów zasadniczych. „Kurs magnetizmu osobistego”, „magnetyzm leczniczy”! — To jest właśnie TO! Wątpliwości nie może być, bowiem autor (Van Ness Stillman) reklamując swój wykład, pisze: „magnetyzm leczniczy jest to sztuka leczenia chorób drogą podawania pacjentowi „prądu życia” przez magnetyzera. Uskutecznia się to za pomocą rąk”.

Czy jednak „magnetyzerskie” zdolności są właściwością tylko niektórych osób? Otóż nie! Jak zapewnia autor wykładów „dawniej zdawało się, że tylko niektórzy posiadają urodzoną siłę leczenia”, jednakże „uczeń dowiódł, że każdy ją może w sobie rozwinąć”.

Broszura wydana przez „Psychologiczne Wydawnictwo” nie mówi jak to osiągnąć. Tego nauczyć ma dopiero „Kolekcja Flowera”.

W każdym razie wiadomo, że „magnetyzem nie używa lekarstw i w ogóle materialnych środków. Zadanie jego polega na tym, żeby bezpośrednio wzbudzić w pacjencie siłę naturalną, a raczej dopełnić ją ukrytą siłą, którą czerpie z własnego organizmu”. Wykłady „dają mnóstwo cennych informacji. Jest to jedyny kurs, który uczy jak wytwarzać więcej siły leczniczej niż jej posiadamy z natury” i jak „w przeciągu kilku chwil wywołać w sobie święty „prąd życia”. Ponadto wykłady zawierają wskazówki o zastosowaniu rąk i o specjalnym traktowaniu pewnych chorób”. Autor zapewnia też, że „dzielo moje jest jedynym, które zawiera wskazówki o oddziaływaniu na odległość”.

„Magnetyzm leczniczy” to nie tylko „szlachetne zajęcie dla tego, kto przystępuje doń z pobudek altruistycznych, chcąc czynić dobrze”, ale także dla tego, „kto chce zdobyć środki do życia” (1).

W wykładach w sposób szczególny „uwzględnione są rady tych, którzy biorą jako zawód magnetyzm leczniczy”.

Kończąc informację o swoim „dziele”, autor pyta retorycznie: „czy chcecie niby zarodzić cudownie leczących innych? Czy chcecie obrać ten wzniosły i korzystny zawód? W każdym wypadku mogę wam gorąco polecić przestudiowanie mojego kursu”.

„Psychologiczne Wydawnictwo” dodaje zaś od siebie: „ruch ten jest nowym szczytem zdobytym w nieustannym dążeniu ludzkości w dal i w przyszłość”.

Myślę, że na zadane przez autora wykładów pytanie, może być tylko jedna odpowiedź. Dlatego wstrzymuję się od wszelkich komentarzy. Od jutra penetruję leżące na strychach moich przyjaciół stare księgi. Może gdzieś, w przysypanym kurzem kuftrze, natrafiam na „Kolekcję Flowera”?

PS. W cytatach zachowałem język i pisownię oryginału. Podkreślenia w cytatach moje.

W wykładach w sposób szczególny „uwzględnione są rady tych, którzy biorą jako zawód magnetyzm leczniczy”.

Kończąc informację o swoim „dziele”, autor pyta retorycznie: „czy chcecie niby zarodzić cudownie leczących innych? Czy chcecie obrać ten wzniosły i korzystny zawód? W każdym wypadku mogę wam gorąco polecić przestudiowanie mojego kursu”.

„Psychologiczne Wydawnictwo” dodaje zaś od siebie: „ruch ten jest nowym szczytem zdobytym w nieustannym dążeniu ludzkości w dal i w przyszłość”.

Myślę, że na zadane przez autora wykładów pytanie, może być tylko jedna odpowiedź. Dlatego wstrzymuję się od wszelkich komentarzy. Od jutra penetruję leżące na strychach moich przyjaciół stare księgi. Może gdzieś, w przysypanym kurzem kuftrze, natrafiam na „Kolekcję Flowera”?

PS. W cytatach zachowałem język i pisownię oryginału. Podkreślenia w cytatach moje.

PIOTR
SIKORSKI

Tygodnik społeczno-kulturalny „Ogłosy”, al. Mickiewicza 11, kod. 90-433 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja naczelną 30-53-44, sekretariat redakcji 30-50-89. Redakcja nie zamówionych reklam nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótności. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy sfinalizowane w miastach wojewódzkich zamawiają prenumeratę w trzech oddziałach: — instytucje i zakłady pracy sfinalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 2. dla osób fizycznych: — w terenach wiejskich, oddziałami meratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 3. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 4. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 5. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 6. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 7. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 8. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 9. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 10. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 11. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 12. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 13. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 14. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 15. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 16. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 17. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 18. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 19. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 20. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 21. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 22. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 23. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 24. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 25. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 26. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 27. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 28. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 29. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 30. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 31. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 32. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 33. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 34. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 35. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 36. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 37. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 38. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 39. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 40. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 41. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 42. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 43. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 44. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 45. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 46. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 47. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 48. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 49. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 50. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 51. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 52. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 53. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 54. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 55. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 56. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 57. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 58. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 59. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 60. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 61. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 62. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 63. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 64. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 65. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 66. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 67. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 68. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 69. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 70. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 71. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 72. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 73. dla osób fizycznych w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch” — Książka — Ruch; 74. dla osób fizycznych w

O tym, jak trudno uwierzyć, że nie zawsze czarne bywa czarne, a białe jest białe

Zofia Pasemko nie uрониła ani jednej łzy i, zacisnąwszy swoje wąskie wargi, powiedziała z nienawiścią do kapitana Sledzika: — Tak, to on zrobił. I niech go za to powiesz.

Następnego dnia, poinformowana, że jako matka może odmówić wszelkich zeznań, skorzystała z tego prawa, a nawet oświadczyła Sledzikowi, że Antek jest niewinny.

Z kart drogowych wynikało, że w noc, gdy zginęła w Skirolawkach mała Haneczka, Antek Pasemko znajdował się na trasie między Wybrzeżem a stolicą. Wbrew przepisom jechał bez pomocnika i mógł skrócić z głównej trasy na drogę przez Skirolawki. Nikt jednak tej nocy nie widział we wsi ani jego, ani jego samochodu.

Podobnie w dzień po weselu na północy kraju jechał Antek Pasemko, także bez pomocnika, z Wybrzeża do stolicy i mógł spotkać na trasie tamtą dziewczynę, która chciała autostopem dostać się na południe. Ale dokładnej daty śmierci owej dziewczyny nikt nie był w stanie ustalić. Bowiem zwłoki jej znajdowały się w pełnym rozkładzie. Mogła zginąć w tę noc, gdy Antek jechał z Wybrzeża do stolicy, albo o dzień lub dwa później. Z takimi dziewczynami różnie przecież bywa, potrafiła na jedną lub drugą noc zatrzymać się u jakiegoś przygodnie spotkanego mężczyzny. A zresztą, czy na pewno odjechała z wesela autostopem?

Późnym popołudniem w dzień, w którym została napadnięta Renata Turoń, także jechał Antek Pasemko ciężarowym samochodem z Wybrzeża do stolicy. I znowu bez pomocnika. Wyliczone, że gdyby z głównej trasy skręcił na Skirolawki, o zmroku miałyby właśnie wioskę i leśniczówkę Blesy. Nikt go tu jednak o tej porze nie widział i nie było dowodów na to, że skręcił z głównej trasy.

Wezwana na przesłuchanie aż ze stolicy pani Renata Turoń nie potrafiła określić, jak dokładnie wyglądał samochód ciężarowy, który ją mijał na szosie na krótko przed napadem, gdyż oślepił ją reflektorami. Nie była też pewna, czy ów ciężarowy samochód zatrzymał się za zakretem, czy też pojechał dalej. Ekspert — ku oburzeniu pani Turoń — bardzo szczegółowo kazali jej opowiadać, jak długo zalałowała swoją potrzebę fizjologiczną. Musiała im wskazać miejsce, gdzie to uczyniła i w jaki sposób, a jeden z nich nawet pojechał ciężarówką za zakretem, zatrzymał się tam i, jak się okazało, zdążył nadbiec skrajem szosy właśnie w chwili, gdy pani Turoń uznała, że już zaczęła kończyć powszechnie praktykowaną czynność podcierania tyłka.

Z opisu Renaty Turoń wynikało, że osobnik, który na nią napadł, był młody, drobny i słaby fizycznie, tak samo jak Antek Pasemko. Rysów twarzy nie widziała i nie mogła z całą pewnością stwierdzić, że pokazany jej w areszcie człowiek jest napastnikiem z lasu.

Pytano dziewczętą w Skirolawkach, czy któraś z nich miała przyjemność kochać w obcowaniu z Antkiem Pasemką i wszystkie jednogłośnie stwierdziły, że nigdy nie im się takiego nie przydarzyło. Gdyby jednak było inaczej — też by tak samo powiedziały, ponieważ każda z nich twierdziła, że jest jeszcze cnotliwa. Kulawa Maryna zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek mówiła doktorowi, że najpierw miała z nią stosunek Franek Szulc, a potem młody Galembka, ale zeznawała, że dziecko ma z Antkiem Pasemką. Wie o tym z całą pewnością, gdyż wówczas wcale nie była pijana, nigdy zresztą, wedle jej zeznań, pijana nie była. Co wtedy grup krwi — zerowej u dziecka i AB u Pasemki — co rzekomo naukowo wyklucza ojcostwo Antka, kulawa Maryna oświadczyła z całą mocą, że nie wierzy w żadne grupy krwi i ci co podobne historie wymyślają, mogą ją w tyłek pocałować. Ona chce w dalszym ciągu otrzymywać pieniądze od Zofii Pasemkowej. Zapytana przez kapitana Sledzika, czy na temat pieniędzy na dziecko rozmawiała ostatnio z Zofią Pasemkową, przyznała się, że była między nimi o tym mowa. A mianowicie Zofia Pasemkowa rzekła jej po prostu: „Jeśli dziecko nie jest od Antka, nie będę ci płaciła. Jeśli jest od Antka — płacić ci będę”. Taka postawa Pasemkowej wydała się Marynie szusna, bo niby dlaczego miałaby Pasemkowa płacić na dziecko, jeśli ona, Maryna, zezna, że dziecko nie jest Antkowe? W sądach zaś takich spraw nie zamierzają rozstrzygać, gdyż obydwie — i Zofia Pasemko, i kulawa Maryna — są na to zbyt honorowe.

Młody Galembka też zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek łączył go coś z kulawą Maryną. Ma dosyć własnych dzieci i nie da sobie zrobić dziecka kulawej Maryny. Co do Antka Pasemki, to przyznał, że nigdy go nie widział podczas męskiego załatwiania sprawy z jakąś dziewczyną czy kobietą, choć bywał ku temu rozmaite okazje. Na przykład w noc, gdy przy drodze koło cmentarza wspólnie z panem Porwaszem czynili żadość życzeniu żony gajowego Widłaga i przyszła kolej na Antka Pasemkę, on zaczął wymlotać i męskiej powinności nie dokonał.

Niechętnie i po długim namyśle potwierdził to również malarz Porwasz.

Erwin Kryszczak opowiedział milicji, że ilekroć jak zwykle na laweczce przed sklepem rozmaite świnstwa o kobietach rozpowiadał, Antek Pasemko mienił się na twarzy i robiło mu się niedobrze, a kiedy Stasiak, Ziętek i Jarosz chwalił się swoją gonitwą za Kruczkim, aby mu jądra wyciąć — aż zzieleniał jak gdyby ze strachu i podjął decyzję opuszczenia Skirolawek i wyjazdu na Wybrzeże. To znaczyło, zdaniem Kryszczaka, że czegoś lub kogoś się zląkł. Być może wyobraził sobie, że i jego, po jakimś strasznym czynie, ścigać będą ludzie po lesie i jądra mu zechcą wyciąć.

Powiedziała Porowa, że ukrywać prawdy nie zamierza — prawie ze wszystkimi mężczyznami i chłopakami w wiosce miała okoliczność, z wyjątkiem pisarza Lubińskiego i malarza Porwasza oraz leśniczego Turleja, ba, nawet doktor ją używał przed wieloma laty, gdy była znacznie młodsza — ale Antek Pasemko nigdy u niej nie był, co jej się wydaje dziwne, a nawet podejrzane.

Psychiatrów zainteresowała sprawa bata, którego Zofia Pasemkowa używała dla trzymania w ryzach swoich synów i męża. Jak to jednak z psychiatrami się zdarza, każdy był innego zdania. Jeden mówił, że bicie batem młodego chłopca przez matkę i dominująca rola kobiety w domu rodzinnym doprowadza do błędnej identyfikacji seksualnej w okresie dojrzewania, powoduje lek przed kobietami i trudności w nawiązywaniu kontaktów seksualnych, a tym samym rozbudzić może nienawiść i sadyzm wobec dziewcząt. Drugi oświadczył, że używany przez Pasemkową bat zrodził w Antku nie sadyzm, ale raczej masochizm, który wyklucza dokonywanie czynów sadystycznych. Trzeci skłaniał się ku poglądom obydwu i określił Antka Pasemkę jako sado-masochistę. Nie mogło być między nimi zgodnych poglądów, ponieważ każdy z nich reprezentował inną szkołę psychiatryczną: jeden północną, drugi stołeczną, a trzeci południowo-zachodnią.

Antek Pasemko zeznał do protokołu, że nigdy nie miał do czynienia z kulawą Maryną, poza tym, że u niej raz zasnął i rzeczywiście zwiłmotał w jej pościeli. Dziecko nie jest jego, zawsze to publicznie oświadczał. Ale jego matka, nie wiadomo dlaczego, ufała się, aby je uznać i płacić Marynie. Nie miał męskiej ochoty ani do kulawej Maryny, ani do Porowej, ani do Widłagowej czy innych kobiet i dziewcząt w wiosce, ponieważ



Rys. Janusz Szymański-Glanc

budzą w nim wstręt. Wszystkie one są puszczalskie, a jemu matka od dziecka mówiła, że takich dziewcząt i kobiet należy się strzec, gdyż zarażają chorobami wenerycznymi, których on, Antek Pasemko, bardzo się obawia. Kiedyś czytał książkę, a także widział w telewizji rozmaite filmy, w których mężczyzna spotyka piękną i cnotliwą kobietę, budzi się między nimi miłość, z nią się, płodzą dzieci i są szczęśliwi. Wierzy, że i jemu-kiedys się taka historia przydarzy, dla tej kobiety chce chronić swoje męskie nasienie, a nie narażać się na chorobę weneryczną. Nie jego, Antka, wina, że porządnych dziewcząt jest ostatnio coraz mniej, on jeszcze takiej nie napotkał, a te, które poznaje — są nachalne, łatwe i wstrętne.

Co tyż zabójstw — on ich nie dokonał. Ani mu nawet przez myśl nie przeszło, żeby coś podobnego zrobić. Zawsze jeździł z Wybrzeża do stolicy główną trasą, nigdy nie zbacał do Skirolawek, ponieważ w ten sposób wypalałby więcej benzyny i miał więcej kilometrów na liczniku. Owszem, od czasu do czasu licznik cofał lub podkręcał, ale tak wszyscy kierowcy robią, żeby móc odsprzedawać zaoszczędzoną benzynę.

Po dziesięciu dniach od chwili aresztowania, pewnej nocy Antek Pasemko leżąc w celi na przyty zaczął głośno płakać oraz skarżyć się, że czuje, jak mu trzy nagie dziewczyny zaciskają sznur na szyi, gdyż je okrutnie zabił i przez to zmarłował swoje życie. Drugi aresztant pukaniem w drzwi celi obudził strażnika, ale zanim ten wezwał kapitana Sledzika, Antek wyplakał się i wyszochał. Sledzikowi przysięgał, że nie płakał i nie szlochał, a ów aresztant kłamał, aby otrzymać mniejszy wyrok za popełnione przestępstwa.

Trzecia dziewczyna? Pojechał kapitan Sledzik do Skirolawek i znowu chodził po domach i ludzi wypytawał. Ale przecież, jak to wszyscy zgodnie twierdzili, tylko dwie dziewczyny były w Skirolawkach zabite. Dopiero starszy sierżant Korejwo, przejrzawszy dokładnie stare książki wydarzeń, odnalazł w nich meldunek, że przed dwoma laty w lipcu gromada młodych chłopców i dziewcząt przyjechała na niedzielę aż z Bart, aby się kąpać w jeziorze. Jedną z dziewcząt, trzynastoletnią Anetę Lipską, z powodu braku kostiumu oddaliła się nieco od gromadki, i kapłała samotnie, nago, za krzakami i trzcinami. A kiedy nie wróciła do przyjaciółek, powiadomiono milicję, że chyba się utopiła i rozpoczęto przeszukiwanie sieniemi tej części jeziora. Zwłok nigdy nie wyłowiono. Co roku zresztą jezioro Baudy pochłaniało po kilka ofiar, zwłoki odnajdywano po dniu, tygodniu, pół roku albo i nigdy. Na liście nigdy nie wyłowionych było aż czterech mężczyzn i tylko jedną trzynastoletnią dziewczynkę o imieniu Aneta. Jej rzeczy pozostały na brzegu jeziora — dlatego nikomu nie przyszło do głowy, aby szukać innych przyczyn zaginięcia.

Czy to ją miał na myśli Antek Pasemko, wspominając o trzeciej nagiej dziewczynie?

„W sprawie podejrzanego A.P. śledztwo trwa” — napisano w miejscowej gazecie.

W Skirolawkach powoli cichły i kurczyły się rozmowy o Antku Pasemce i jego zbrodniach. Nie tego oczekiwali i nie tego się spodziewali. Chcieli, aby milicja pokazała im jakiegoś obcego człowieka z twarzą, która lek wzbudza jak diabeł na obrazie, z wystającymi kłami i błędnym wzrokiem, z rękami długimi jak u małpy i pianą na ustach. Antek był drobnej budowy, miłym i ładnym chłopcem. Zawsze grzecznie się wszystkim kłaniał i nawet na zabawach nie czynił awantur. Jeśli więc taki chłopiec dokonał w tajemnicy czynów tak przerażających, żył wśród nich i zachowywał się tak jak gdyby nigdy młody nie skrzywdził, siadywał na laweczce przed sklepem i słuchał opowieści Kryszczaka — czymże w takim razie jest, tak naprawdę, istota ludzka i jakiego to potwora każdy w sobie nosi? Jak oceniać siebie i innych, jeśli nie wedle widocznego dla wszystkich zachowania? Kto jest dobry, a kto zły, skoro, jak się okazało, lepszym człowiekiem od Antka Pasemki był wiecznie pijany cieśla Sewruk albo Erwin Kryszczak, który bez przerwy rozmaite świnstwa opowiadał? Tak myśląc można zejść na jakieś straszne manowce, gdy okaże się, że dobrą i porządną kobietą jest Maria Porowa, która biegała nago wokół swego domu z widelcem włożonym między nogi, a zła Zofia Pasemkowa, ponieważ bijąc batem swego syna, aby był posłuszny i karny, uczyniła z niego okropnego zbrodniarza. Przypomniło sobie i córkę Jonasza Watrucha, tak piękną i czystą jak wietrzyk majowy, a przecież zmarła, jak to twierdziła Galembkowa, na skutek włożenia sobie w pochwę przedmiotu, którego wyjąć nie potrafiła. Jak żyć wierząc, że człowiek jest takim oszustem, że nie nie znaczą jego uśmiechy, słowa, uzewnętrznione dla ludzi uczynki? Czyż czarne nie powinno być czarne, a białe nie powinno być białe?

Malarz Porwasz do obrazu trzcin nad jeziorem używał wielu barw i odcieni, opowieści pisarza Lubińskiego przypominały motylek tak splątanej wótki, że nie wiedzieć, gdzie szukać początku, a gdzie końca nitki. Doktor Niegłowicz ostrzegał, że każde lekarstwo, które daje na wyleczenie jakiejś choroby, powoduje inną chorobę, leczą a zarazem truje — człowiek prosty jednak opróżniał widzieć świat pełen prawd ułożonych jak drewniane bale w sęgu, jak meble w mieszkaniu. Krzesło, zdybel, ława — są do tego, aby na nich siadać, łóżko zaliczyć trzeba do sprzętów służących do spania, na stole zaś należy kłaść chleb, sól, stawiać talerze z jedzeniem i pół litra wódki. Jeśli miły i grzeszny chłopak nazwiskiem Antek Pasemko, którego wszyscy znali i lubili, w okrutny sposób mordował dziewczyny — to było to

samo, jakby ktoś powiedział ludziom, że na łóżku należy kłaść chleb, a spać na stole. Aż się w głowie mąciło od myśli i obrzów świata wywróconego do góry nogami. Nie chciało się wierzyć w winę Antka, ale przecież rozsądek i fakty przemawiały okrutnie przeciw niemu. Nie posłaby mała Haneczka z kimś obcym do lasu i to w nocy — z Antkiem by to uczyniła. Kto mógł przywieźć do lasu w Skirolawkach obcą i nikomu nie znaną dziewczynę, jeśli nie ten, kto jeździł samochodem z Wybrzeża do stolicy i w każdej chwili mógł skrócić w boczną drogę. Tylko swój stary dół do sadzonek, ukryty w lesie, Czeemu Zofia Pasemko płaciła na dziecko kulawej Marynie, skoro sam Antek twierdził, że nie jest od niego? Domyslała się jego czynów, a może i pewność co do nich miała — był u matki wtedy, gdy rzekomo miało go nie być — i kryła jego sprawki, jak to robi każda matka. Udowodnić wszystkim chciała, że Antek jest jak inni mężczyźni, ponieważ zbrodniarzem nie był taki jak inni. Milicja miała wiele swoich powodów, aby aresztować Antka, nikt tej decyzji nie stawiał w wątpliwość i nie negował. Co innego jednak od razu uwierzyć i przedstawić sobie, że to Antek okazał się owym wściekłym psem, bestią w ludzkiej postaci o miłej powierzchowności. Tedy już lepiej coraz mniej o tym mówić i jak najmniej się zastanawiać, cierpliwie czekać i po dawnemu myśleć swoje porządkować wedle starodawnych nauk, z których wynikało, że człowiek ładny, grzeszny i miły — musi być dobry, a złego Pan Bóg piętnuje — zezem, krzyżem, brzydką posturą, rudymi włosami. „Zyz, ryz i kuternoga — takich się strzeż” mówiło przysłowie. A w Księdze Świętej czy nie pisało wyraźnie: „I włożył Pan na Kaina piętno”? Nie miał żadnego piętna Antek Pasemko, nawet najmniejszego znamienia czy brodawki. Dał mu Pan drobna budowę, ale miłą powierzchowność i nauczył kłaniać się starszym. Tedy nie mógł być zbrodniarzem jeszcze straszniejszym od Kaina.

I oto trafił kapitan Sledzik jakby na wielką znowu milcznia ludzi w Skirolawkach. Nikt nie chciał przeciw Antkowi świadczyć, nikt nie powiedział o nim złego słowa, nikt go nie widział w wiosce w nocy zbrodni. „Szukajcie po naszych lasach Wilkołaka — radziły kapitanowi kobiety ze Skirolawek — bo tylko Wilkołak zdolny jest zabijać młode dziewczęta”. Inni zaś twierdzili uparcie, że zbrodni dokonał któryś z Kawalerów Maltańskich, o których wiadomo, że tam i ówdzie za granicą mają jeszcze swoje siedziby. „Czarne jest czarne, a białe jest białe — mówili ludzie do Sledzika. — Białe jest dobre, a czarne złe. Nawet na filmach, które mądzy ludzie tworzą, kobieta z jasnymi włosami bywa dobrą i uczciwą, a kobieta z ciemnymi włosami zawsze czyni zło. Czy mógł być złym człowiekiem Antek Pasemko z jasnymi włosami? Czy nie po to tlenią się kobiety w miastach, aby mężczyznom wydawać się dobrymi? Naruszył pan owdieczny porządek rzeczy — słyszał Sledzik od ludzi. — I posłał pan nieufność między nami. Jeśli Antek Pasemko zabił dwie dziewczyny, to oddał żona będzie podejrliwie spoglądać na męża, a matka na syna, siostra przestanie ufać bratu. Dlatego o Antku nic pan złego od nas nie dowie”.

O nocy, która nadejść miała

Z początkiem września pisarz Nepomucen Maria Lubiński — jak co roku o tej porze — wyruszył swym jachtem na kilkudniowy samotny rejs po jeziorze Baudy lub jeszcze dalej. Za każdym razem powracał potem do Skirolawek jak gdyby odmłodzony i odświeżony, pełen nowych planów literackich, rozmaitych przemysłów i zaskakujących sądów o sobie i świecie; kiedyś powołał również z panią Basienką, która teraz żyła przy jego boku. Kochał Lubiński tych kilka dni swojej swobody i samotności, krótką wędrówkę bez określonego wyrażenia celu i kierunku, przyjemność przebywania na bezmiarze wód jeziora tylko z sobą samym. Znała tę jego miłość pani Basienka i godziła się z nią, gdyż była na tyle mądra, aby wiedzieć, że nie zagraża ona w niczym jej osobie, przeciwnie, po każdym powrocie Nepomucen Lubiński stawał się dla niej czulszy i bardziej gorliwie spełniał meżowskie obowiązki. Być może jak Odys w drodze do Itaki przepływał nie tylko między Scyllą i Charybda literackich niepokojów, ale i dobre wiatry niosły go ku rozlicznym przystankom i ośrodkom wypoczynkowym, gdzie opalały się na pomostach rozmaite Kirke albo nimfy Calipso. Na myśli o tym pani Basienka cichutko wzdychała, odrzucając jednak od siebie uczucie zazdrości. Była bowiem pewna jego powrotu, jak owa Penelopa i jak tamta niewiasta też miała zalotników, którzy budzili w niej żywsze biele serca. Nie zdradziła dotąd Nepomucena, choć on — wiedziała o tym — uczynił to kilka razy, jak choćby z Elwirą na jachcie za Czaplą Wyspą. Ale skazana przez Nepomucena na samotność podobną do tej, na którą on podczas rejsu skazywał siebie, odnajdywała w tym możliwość zdrady, a taka możliwość dla niej jednej kobiety stała się czymś cudowniejszym i bardziej podniecającym niż sama zdrada. Jeśli Nepomucen wyruszał naprzeciw burzom i wiatrom, aby gdzieś w dali spotkać się z sobą samym, to i dla niej pozostawała podobna nadzieja na spotkanie z sobą lub kimś innym. Nadzieja rozkoszna i miła, ożywcza i odmładzająca.

Tedy w słoneczny i upalny ranek (bo i takie bywały z początkiem września) wsparta o poręcz tarasu, bez leku i trwogi patrzyła pani Basienka z wysokości skarpy, na której stał dom, jak jej mąż podnosił główny żagiel na maszcie jachtu i jak potem, ghały lekkim wiatrem od rufy, odbijał od brzegu, machając ku niej dionią na pożegnanie. Wiatr wywał zaraz białe płótno, jacht zaczął się oddalać jak wielki labędy, potem już tylko ostry trójkąt grotu — coraz mniejszy i mniejszy — rysował się na tle brunatnozielonkawej linii leśnistych brzegów. A gdy zniknął zupełnie za Czaplą Wyspą, odrzuciła się z uczucia smutku, które położyło ciepłą dłoń na jej sercu, weszła do domu i zajęła się gorliwie sprzątaniem pracowni męża, czynnością konieczną, choć przez niego zabronioną, dokonywaną od czasu do czasu mimo jego nieustannych protestów.

Najpierw starannie odkurzyła grzbiety książek ustawionych na półkach regału zajmującego niemal całą ścianę. Później pozbierała rozrzucone po całej pracowni kamienie lub otwarte książki. Leżały na podłodze, na ogromnym pulpicie pod oknem, na stole, na krzesłach, na ławie, nawet na parapecie. Miał bowiem ten zwyczaj Nepomucen Maria Lubiński, że pracując nad kolejną powieścią lubiła niekiedy sięgać do utworów starych i dobrych autorów. Otwierał ich dzieła na dowolnej stronie i czytał przez chwilę — jakby zasięgając rady. Otwarte na owej dowolnie wybranej stronie odkładał zazwyczaj byle gdzie, choćby na parapet okienny i zapominał. Pani Basienka używała w dwa potężne stosy; książki największe rozmiarom i najgrubsze — na spódzie, mniejsze i cieńsze — na wierzchu. Gdzieś w owych stosach znalazła się także dzieła Gottloba Frege, bez którego Lubiński żyć nie potrafił. Wiedziała więc pani Basienka, że po powrocie z rejsu Nepomucen będzie przez jakiś czas głośno narzekał, a nawet kłął i zlorzczył, iż wreszcie w którymś ze stosów odnajdzie swoje ukochane „Pisma semantyczne”. Lecz choć zdawała sobie sprawę z następstw swego sprzątania, zakorzenione w niej głęboko poczucie ładu nie pozwalało wyróżnić dzieła Gottloba Frege, które z powodu swej średniej wielkości i grubości winno, jej zdaniem, znaleźć się w środku jednego ze stosów, a nie na samym wierzchu. Pani Basienka lubiła bowiem sprzątać. W jej wyobraźni łączyła się ta czynność nie tylko z odkurzaniem, zamiataniem, myciem popielniczek i pastowaniem podłóg, ale także tworzeniem swego ładu wśród rzeczy, ustawianiem ich w ściśle określonych i przynależnych im miejscach. Sprzątając miała w sobie coś z twórcy małego świata; nie tworzyła nowych wartości, ale swoistą wartość bywał dla niej ład i porządek.

c.d.n.